

Wstęp

Dobiegając powoli trzydziestki, zacząłem się coraz częściej oglądać za siebie. W sumie, dni, miesiące i lata mijały sobie fajnie, w moim życiu nigdy nie zagościły banał i nuda. Poczułem jednakże niepokój, że to wszystko co pozostawiam za sobą - ogrom przygód, wydarzeń, ludzi, miejsc i wrażeń zbieranych podczas podróży, zaczyna tracić ostrość, zlewając się w jednolitą masę. Postanowiłem więc jak najszybciej zatrzymać ten proces, utrwalając wrażenia i myśli. Szczęściem, zawsze robiłem notatki. Wystarczyło je teraz uporządkować, oczyścić z rzeczy zbędnych, których nie zamierzam zatrzymywać w pamięci, ani też się nimi z Wami dzielić. Zbierając wspomnienia i zapiski, zachowałem oryginalną stylistykę pisania i formułowania myśli, dzięki czemu książka jest również zapisem mojego dojrzewania.

Pierwszy rejs Zawiszą Czarnym jest więc relacją szesnastolatka, nieustannie „nagradzanego” karnymi wachtami buntownika, który nie tylko bosmanowi załazł za skórę. Tę opowieść, mimo iż chronologicznie powinna otwierać moje przygody, umieszczam w środku, ponieważ stanowi znakomite wejście do wyprawy oceanicznej.

Do Moskwy, a rok później do Mongolii, wyprawia się osiemnastolatek ogromnie ciekaw świata, ale też ostrożny chwilami aż do pokory wobec otaczających go zjawisk. A za rok, w kolejnej podróży wiodącej od poradzieckich republik aż do Tajlandii, bierze udział trójka arogantów dokonujących ryzykownych eksperymentów z otaczającą ich rzeczywistością – aż po granice rozsądku. Nie chciałem nic w tym rozdziale opuścić ani wygłaszać, bo przecież skądś musiał się wziąć następna postać, dwudziestojednolatek, który rok później, zrozumiawszy że podróżuje się nie tylko przez oceany i kontynenty ale również w głąb siebie, wybiera samotność wędrując „stopem przez Atlantyk”. A potem jeszcze dalej i dalej, przez pół roku przemierzając wzdłuż i wszerz kontynent południowoamerykański. Wówczas dopiero, zbierając kolejne doświadczenia, skazany na niezależność i samotność, zacząłem odnajdować samego siebie.

Nie usiłując dostosować tekstu do siebie, jakim jestem dzisiaj, uzyskałem zapis zmian zachodzących we mnie w miarę dojrzewania i zdobywania doświadczeń. Odmienne formy poszczególnych rozdziałów, również nie są przypadkiem. Czasem poprzestaję na krótkich zapiskach, fragmentach, żeby Czytelnik ledwie skosztował przysmaków i mógł mknąć dalej, nie przedzierając się przez miazgę opisów, które po stokroć czytał w stu innych książkach. W innym miejscu staram się opowiedzieć nieco dłuższą historię, bo jest tego warta.

Preludium

Szkoła pokory

W wieku siedmiu lat uprawiałem badminton, przez heretyków zwanego kometką. Miałem wówczas mnóstwo fajnych kumpli, z których jeden został olimpijczykiem, drugi utopił się w Bałtyku, a kilku zmieniło uprawianą dyscyplinę na organizację przestępczą... Wówczas jednakże, podczas obozu treningowego, łączył nas sport oraz wspólnie uprawiana sztuka przetrwania w świecie, którym rządziły rygorystyczne zasady wprowadzane przez zakompleksioną zgraję wuefmenów.

O 6:50 pobudka. O 7:00 zbiórka na korytarzu, wszyscy gotowi na zaprawę poranną. W ciągu dziesięciu minut trzeba było się ubrać, idealnie pościelić łóżko, zrobić porządek na półkach i zdążyć jeszcze do toalety. Najmniejsza fałda na pościeli czy mikroskopijny nieład w ubraniach oznaczały karne ćwiczenia. Specjalna komisja nadgorliwych belfrów wychowania fizycznego czerpała niezwykłą przyjemność z karania nas, wiecznie niedoskonałych, ciągle nieposłusznych. Wyniki inspekcji oznaczano na wielkiej tablicy kolorami. Czerwony, czyli syf z malarią, panował u nas. U pań na tablicy wiecznie radośnie zielono, a w pokoikach nieustannie czysto.

Po inspekcji wybiegaliśmy na nudną i męczącą rozgrzewkę. Po niej śniadanie i kolejne treningi. Czasem dwa, a zazwyczaj trzy dziennie. Cały dzień w ruchu i cały dzień pod kontrolą. Nie wiem, czy to my nie potrafilimy się zachować, czy po prostu wszelkie działania były zabronione. W efekcie łapaliśmy kolejne kary za niezjedzony obiad, podglądanie dziewczyn, czy nierówno ustawione kaptcie. Po kilku godzinach treningowej wyrypy, kiedy czystioszki miały czas wolny, my, grzesznicy, biegaliśmy dookoła ligowego boiska. Pilot, czyli rozwalenie łóżka, kosztował siedem okrążeń i dla mnie stanowił dzienną bazę, bo pilota miałem codziennie. Do tego dochodziły inne premie lotne które łapałem w ciągu dnia. W sumie mogło się nzbierać parę kilometrów biegiem, czyli czwarty, wieczorny trening.

Trenowałem konsekwentnie pięć lat, nie odnosząc wprawdzie wybitnych sukcesów sportowych, ale uodparniając się ogromnie na serwowane przez trenerów procesy wychowawcze w wyniku czego mój kręgosłup usztywnił się w tym czasie ogromnie. Rezygnując z uprawiania badmintonu, wspaniałej skądinąd dyscypliny, czułem się jakbym wyszedł do cywila po dwudziestu latach służby w Legii Cudzoziemskiej. Mój pierwszy obóz był też ciekawą wskazówką wychowawczą dla moich rodziców. Mama dała mi na wyjazd 5000 starych złotych, banknot z Szopenem, na oranżadę i inne drobiazgi. Nigdy wcześniej nic sobie sam nie kupowałem i nie za bardzo wiedziałem, na czym to polega. Do domu wróciłem więc z nierozmienionym Szopenem i całą plejadą wybitnych postaci drukowanych na banknotach, bo nie dość, że nic nie wydałem, to jeszcze udało mi się zarobić kilka stów. Niespodziewanie okazałem się mistrzem masażu. Po ciężkich treningach masowałem starszym chłopakom zbolałe plecy, zarabiając przy tym pierwszą kasę w życiu. Mama nie mogła się nadziwić zdolności dziecka do pomnażania majątku. Do dziś zresztą została mi skłonność do oszczędzania, a nadto, przez kilka lat pracowałem jako masażysta. Co jednak najważniejsze, dowiedziałem się, że do podróżowania nie są potrzebne pieniądze.

Flagi wszystkich państw

Zanim na serio zainteresowałem się panienkami, życie moje wypełniały sport i przeróżne zajęcia podwórkowe. Całe dnie, niezależnie od pogody, spędzałem, kopiąc piłkę. Babcia Krysia wprawdzie tłumaczyła, że ligowe mecze trwają dwa razy po 45 minut, a nie raz sześć godzin ciurkiem plus dogrywki, jednakże podwórkowe turnieje miały odrębne zasady. Po prostu graliśmy tak długo, aż jedna z drużyn się rozpadła, bo jej zawodnicy musieli już iść do domu.

Poza olimpijskimi dyscyplinami sportu, oddawałem się także durnym grom, wśród których prym wiodły kapsle. Wprawdzie nie rozwijały inteligencji ani sprawności fizycznej, no może poza muskulaturą mięśni palca wskazującego. Okazały się jednak w moim życiu bardziej przydatne, niż można było się wówczas spodziewać. Najpierw używaliśmy do gry zwykłych kapsli od butelek po piwie, potem zastąpiły je delikatne, miniaturowe opakowania po chińskich maściach od bólu głowy. Na plastikową „poduszkę” wyjętą ze zwykłego kapsla kładliśmy flagę, wszystko razem owijaliśmy folią, po czym wciskaliśmy do wnętrza pudełeczka. W ten sposób każdy kapsel stawał się niepowtarzalnym okrętem podróżującym pod banderą jednego z blisko dwustu państw świata, popychanym pstryknięciami po asfalcie osiedlowych uliczek.

Niezwykle trudne do zdobycia, a przez to najcenniejsze, były „flagi z brązem”, na których w tym właśnie kolorze wypisana była nazwa kraju. Miałem ich całą kolekcję. Chociaż od tamtego czasu minęły już ponad dwa dziesięciolecia, dziś jeszcze pamiętam flagi niemal wszystkich państw świata. Nawet przez myśl mi wówczas nie przeszło, że dziwny „robot” na fladze Mongolii czy wschodzące słońce Antigua i Barbuda będą mi kiedyś tak bardzo bliskie. Nawet w najśmielszych marzeniach nie mogłem wówczas myśleć o tym, że pewnego dnia odwiedzę niemalże wszystkie miejsca, których nazwy znałem z tej głupawej zabawy.

Sporty ukształtowały we mnie wytrwałość w dążeniu do celu, a kapsle znajomość państw świata. Rodzice, odkąd skończyłem pięć lat, systematycznie poddawali surowym testom mą dojrzałość na obozach przetrwania i poligonach komandosów. W domu, odkąd pamiętam pojawiali się różnej maści szaleńcy i wariaci, w postaci podróżników, ekstremalnych nurków, wspinaczy, żeglarzy i tym podobnych. Ci przedziwni ludzie opowiadali fascynujące historie, byli pełni energii i mieli w oczach jakiś niesamowity błysk. Chciałem być sportowcem,

komandosem, nurkiem, podróżnikiem – co chwilę to się zmieniało. Wiedziałem tylko tyle, że drogę muszę znaleźć sam. Jeszcze nie znałem kierunku, ale jak to w życiu bywa, kiedy otwieramy się na świat, nagle odpowiedzi zaczęły przychodzić same.

Rozdział I

MOSKWA ZACZAROWANA

Wiedząc, że szukanie własnego miejsca na świecie przynależy naturze ludzkiej, jeszcze na etapie szkoły średniej intuicyjnie czułem parcie na wschód. Nie wiem czemu, ale tak było, dokładnie odwrotnie niż u większości spośród moich poukładanych rówieśników.

Ruska dusza

Uczyłem się rosyjskiego. Na początku była to jakaś makabra, ale po obozie rusycystycznym w Szczecinie zacząłem wreszcie czuć poetykę języka Aleksandra Puszkina i Włodzimierza Wysockiego. Tam właśnie poznałem Janę, nauczycielkę z Moskwy, dziś moją wspaniałą przyjaciółkę, dzięki której najbliższy przystanek, w drodze do Azji, zawsze wypadał na Kuznieckim Prospekcie. Dzięki Janie, a także jej rodzinie i przyjaciołom, poznałem i pokochałem zarówno rosyjską stolicę, jak i „ruską duszę”.

Nie rozumiałem dlaczego Jana zaprosiła właśnie mnie do Rosji. Byłem niegrzeczny, po rosyjsku mówiłem tak sobie. Na obozie głównie kompromitowałem się grając na gitarze rosyjskie piosenki. Słuch mam słaby, a głos jeszcze gorszy, ale rosyjskim nauczycielom tak bardzo zależało żeby ktoś z nas wystąpił, że za każdym razem jakoś wkręcali mnie w występ solo. Ze względu na mój talent muzyczny na pewno nie zostałem wybrany. Jednak to właśnie mnie zaproszono do Moskwy. Postanowiłem wyjechać jeszcze w tym samym roku. Gdy ruszyłem w podróż, zacząłem się zastanawiać, z czym dotąd kojarzyła mi się Moskwa. Historycznie ze Stalinem i carami Wszechrosji, z Kremlen i Placem Czerwonym, a współcześnie z setkami zamierzających zimą bezdomnych i nowymi Ruskimi zapełniającymi petrodolarami kasy szwajcarskich banków. Słyszałem o gigantycznych budowach epoki stalinowskiej, o szerokich ulicach dzielonych pasami rządowymi. Nie wiedziałem zaś absolutnie nic o, niepojętej dla innostrąca, nieobliczalnej naturze mieszkańców tego przeogromnego kraju.

Sznurek bezpieczeństwa

Przygoda rozpoczęła się już w „Polonezie”, w przedziale dzielonym z dwoma Rosjanami: spokojnym biznesmenem z Moskwy i chemikiem z Nowosybirsk. Rozmawialiśmy o Rosji, Polsce, kulturze, muzyce, o tym, co nas dzieli, a co łączy, a także o bezpieczeństwie podróży pociągiem. Zderzyliśmy opowieści i teorie dotyczące tego zjawiska. Zdaniem Rosjan, najgorzej było po przekroczeniu polskiej granicy. Zgodnie z zasadą: boimy się tego, czego nie znamy, uważali, że „w domu” nic złego wydarzyć się nie może, a dopiero nasz „dziki Zachód” jest kolebką kryminalistów i mafiosów.

Chemik, który bał się przede wszystkim Polaków, a Rosjan nie, przekraczając poprzednio granicę pod Brześciem, o mało nie został ofiarą napadu. Do pociągu wdarła się grupa bandziorów i rozpoczęła płądrowanie przedziałów. Usłyszawszy hałas w korytarzu, sprytny chemik przywiązał klamkę drzwi do łóżka. Po sąsiedzku uzbrojone bandziory wyciągały od pasażerów, co się tylko dało, a jemu sznurek uratował sporo kasy, a być może i życie. Od tamtej pory woził ze sobą metr porządnej linki. Na szczęście, tym razem nie była mu potrzebna. Dla mnie, niedoświadczonego młodziaka, sama wizja napadu była wystarczająco przerażająca. W myślach powtarzałem sobie, że odtąd nigdzie się nie ruszę bez kawałka sznurka.

Pod Terespołem gaduła z Nowosybirsk zapowiedział, że na granicy wymieni nam koła. Szotka? Okazuje się, że nie. W Brześciu, wagon razem z zawartością podnieśli na półtora metra wysoko i wyciągnęli wózki z kołami.

Zaskoczyła mnie absolutna oczywistość, że Rosjanie mają rozstaw kół szerszy o 17 centymetrów. A to ponoć car Aleksander II, za panowania którego rozpoczęto budowę kolei żelaznej, dość swobodnie traktował kwestie konstrukcyjne. Specjaliści rozważający w obecności władcy, czy tory nie powinny być szersze od europejskich, usłyszeli komentarz: „Na chuj szirje!” No i tak już zostało.

Wsio balszoje

Wysiadłem na Białoruskom Wokzale, gdzie, wbrew oczekiwaniom, nikt po mnie nie wyszedł. Zatelefonowałem, nikt nie odbierał. Nikt nie odbierał, bo przecież jechali po mnie w tym czasie. Jakoś nie budziło to we mnie obaw, czułem przez skórę, że wszystko będzie w porządku. Trochę mi tylko przeszkadzał kurewsko zimny klimat, bo było na minusie dobre dwadzieścia stopni Celsjusza. Po kwadransie odnalazłem Janę, która w futrze i wielkiej czapie, nie przypominała Jany poznanej latem w Szczecinie. Marnie jeszcze władałem rosyjskim, ale skoro przysła, to znaczy, że się dogadaliśmy. I że wszystko będzie „normalnie”, jak to w Rosji.

Moskiewskie metro jest stare i piękne, a ruchome schody tak długie, że wchodząc na nie, nie można zobaczyć drugiego końca. Spod Kuznieckiego Prospektu, w pobliżu którego mieszkałem, mknąłem pod ziemią do Centrum. Wydobywałem się na powierzchnię i teraz dopiero widziałem, jak przestronne i rozległe było miasto. I wszędzie daleko. A tubylcy, na pytanie „jak daleko?”, zwykli odpowiadają: rjadom, czyli obok, co znaczyło, że w obrębie Moskwy, dłużej na grubo ponad sto kilometrów. I zawsze z życzliwością wskazywali drogę, bez względu na to, czy wiedzieli, czy nie.

Szybko też zacząłem rozumieć polski żart, że u Rosjan nawet krasnoludki są największe. Moskwa to gigant: wielkie są Teatr Balszoi i Uniwersytet Łomonosowa, niesamowicie szerokie ulice, a „pałaców kultury” mają aż siedem. Ponoć Stalin postanowił uczcić 800-lecie miasta, wystawiając osiem gigantycznych budowli – jedną za każde sto lat. Moskwa jest położona na wzniesieniach. Giganty miały więc stać po jednym na każdym z... siedmiu wzgórz. Ósmy batiuszka upchnął w Warszawie. Co ciekawe, opowieść tę usłyszałem w Moskwie a nie w Warszawie. Opowiedziałem ją więc potem kilkadziesiąt razy, oprowadzając po naszej stolicy... grupy niemieckich turystów.

Moskiewskie osobiennosti

Miałem niezwykle szczęście odkrywać Moskwę pod opieką Włodzimierza, profesora historii z Uniwersytetu Łomonosowa, który oprowadzał mnie po osobiennostkach rosyjskiej stolicy. W swoich opowieściach zaczarowywał dla mnie Moskwę, oprowadzał po miejscach znanych i nieznanach, po starych księgarniach, cerkwiach zagubionych gdzieś w nowoczesności miasta. Zdawał się znać na wylot każdy zakątek, a wszystkie zwiedzane miejsca miały swoje legendy i niezwykle historie.

Sam zaś szukałem punktów zaczepienia z tym, co znałem, z czym kojarzyłem miasto wcześniej. Największą więc przygodą była dla mnie wycieczka szlakiem „Mistrza i Małgorzaty”. Podróż po krainie ze stron książki Michaiła Bułhakowa rozpoczęliśmy na Patriarszych Prudach, gdzie Berlioz poznał Wolanda. Siedzieliśmy na tej samej ławce, co książkowi bohaterowie. Zarówno mojego przewodnika jak i mnie dziwiło jedynie, iż nigdzie w okolicy nie jeździł tramwaj, pod którego kołami miał za chwilę zginąć Berlioz. Więc może nadal żyje? Ot, szczególnie rozmijający się z rzeczywistością. Oglądaliśmy domy, na dachach których lądowała Małgorzata. Włodzimierz opowiadał mi książkę i krok po kroku pokazywał miejsca odwiedzane przez jej bohaterów. Poza literaturą, pasją Wołodii była socrealistyczna architektura Moskwy.

Najsławniejszym bohaterem dziwacznych historii i anegdot związanych z tą materią był nikt inny jak sam Stalin. Jedną z tych opowieści dotyczyła znanego wszystkim hotelu Ukraina. Otóż batiuszka, podjąwszy decyzję o budowie kolejnego monstrum, ogłosił anonimowy przetarg na projekt budowli. Nieszczęśliwie zwycięzca konkursu zachorował na serce akurat wtedy, gdy wielki wódz zażyczył sobie obejrzyć projekt. Ktoś, niewiele myśląc, poszedł do pracowni, zdarł płachtę ze ściany i zaniósł przywódcy. Gdy pomysłodawca wyszedł ze szpitala, mało nie dostał zawału po raz wtóry. Na ścianie wisiały obok siebie dwa projekty, a Stalin zatwierdził je

jako jeden. A któż później ośmieliłby się podważyć jego decyzję? Hotel Ukraina jest dziś obrzydliwie niesymetryczny, zaś kondygnacje prawej i lewej części są względem siebie przesunięte o pół piętra. Anegdota już nie dopowiada, który z dwóch sławnych architektów wówczas zaniemógł a i gdzie był jego współnik, jako że autorami dzieła byli dwaj mistrzowie Arkadij Miordwinow i Wiaczesław Ołtarzewski.

Również Dima, mąż Jany, u której mieszkałem, był znakomitym przewodnikiem. Tyle że jego świat nie opierał się na literaturze, ale na tradycji i kulturze, czyli piciu wódki i piciu wódki. Pewnego dnia pokazał mi zegar, w którym na godziny parzyste, zamiast kukułki, wyskakiwał zając, a na nieparzyste niedźwiedź. Natomiast godzinę przed południem pojawiał się wilk. W czasach Breżniewa wódkę sprzedawano od godziny 11.00, więc utarło się powiedzenie, że nadchodzi wremia wołka (czas wilka) i będzie można dokonać zakupów. Dima wiedział, że takie zakupy są bardzo ważne, bo lubił strzelić sobie kieliszeczek. Najchętniej co kwadrans. Stąd też drugi dzień pobytu w Moskwie rozpoczął się dla mnie o godzinie szesnastej, gdy wreszcie odzyskałem przytomność, utraconą poprzedniego wieczoru w efekcie wypicia z Dimą dwóch butelek jakiejś dziwnej substancji. Ocucili mnie jakąś specjalną wodą mineralną – smakowała okropnie, ale skutecznie stawiała na nogi. Od tamtej pory już nie dziwiłem się, gdy stałem w kolejce w sklepie spożywczym i słyszałem, jak kolejne osoby zamawiały: ogórek i pół litra, chleb i pół litra, pasztet i pół litra. Wyróżnialiśmy się z Dimą wśród tłumu, zamawialiśmy pielmieni – rosyjskie pierożki i... pół litra.

Wśród opowieści o „cudach” Moskwy Dima najczęściej przytaczał historie ze swojej ulubionej dyskoteki (w której był tylko raz w życiu), charakteryzującej się tym, że do godziny 22.00 wchodziły jedynie dziewczyny, zaś alkohol jest za darmo. Następnie wpuszczani są panowie. Płacą wprawdzie słono, ale panie są już „zrobione” i gotowe do... i tu Dima nigdy nie kończył zdania. Był jednakże tym zachwycony. Marzył nawet o tym, że kiedyś uda mu się wyrwać z domu i ponownie odwiedzić owe magiczne miejsce. Oboje z Janą byli bardzo mili i w każdej sytuacji pomocni, a kiedy pytam co u nich, zawsze słyszę: „Normalnie”. Nigdy nie wiem, czy to źle, czy dobrze, bo odpowiadają jakoś bez emocji.

Drechy w Balszom

Pewnego wieczoru poszliśmy do Teatru Balszom na „Jezioro Łabędzie”. Ponieważ Jana była nauczycielką francuskiego, towarzyszyła nam grupa Francuzów, przebywających akurat w Moskwie na wymianie językowej. A tam, taka historia: Oprócz stałych miejsc dostawia się całe rzędy krzesel. Ponieważ siedzący na nich słabo widzą, więc przesuwają krzesła do przodu. Siedzący za nimi, by cokolwiek dojrzeć, muszą robić to samo. W najciekawszych momentach przedstawienia, ludzie na balkonach i w łóżach, którym nie udało się zająć miejsca przy balustradzie, wstają, żeby lepiej widzieć scenę. W pewnym momencie, gdy już cały teatr stał w komplecie, pani pilnująca porządku podeszła do zawczasu upatrzonej pary i kazała obojgu usiąść. Zdumienie ofiar było bezgraniczne: „Dlaczego my, skoro tysiąc innych ludzi stoi?”. Groźba wezwania służb porządkowych posadziła krnąbrnych widzów na tyłkach. Siadać! Tak sobie właśnie wymyśliła kobieta sprawująca władzę, kobieta w mundurku, **kobieta - nikt**. Usiedli więc zdumieni, niemalże zszokowani, bo to trafiło właśnie na naszych Francuzów, w dodatku nauczycieli opiekujących się grupą. Zastanawiałem się jednakże, czy wpływu na wybór ich właśnie nie miał przypadkiem fakt, że przyszli do przybytku kultury narodowej... w adidasach i dresach.

Był to zarazem pierwszy przypadek, kiedy moją uwagę zwróciła nieodparta potrzeba wykorzystywania władzy przez Rosjan, jeśli już ją posiadali. Ileż razy później nawyzywał mnie policjant, kiedy tylko zszedłem z chodnika na jezdnię w niedozwolonym miejscu, czy operatorka ruchomych schodów, kiedy źle trzymałem się poręczy. Zawsze zwracali się jak do kogoś gorszego – z pogardą i arogancją, tak bardzo byli dumni ze sprawowanej przez tę chwilę władzy. Pewien policjant zarezerwował sobie stanowisko kontroli na wjeździe do bardzo bogatej dzielnicy [**jakiej dzielnicy?**] Moskwy. Upatrzył tam sobie najnowszy model mercedesa, który codziennie

zatrzymywał. Samochód podjeżdżał, właściciel jedynie wystawiał rękę podając policjantowi sto dolarów. Policjant żył jak pączek w maśle. Pewnego dnia jednak samochód się nie pojawił. Kolejnego też nie. Przez cały tydzień nic. W kolejnym tygodniu mercedes ponownie przejeżdża i policjant go zatrzymuje. Właściciel opuszcza szybkę, a policjant mówi: Co się z tobą działo? Cały tydzień nic. Nowy Ruski na to: Wiesz, żona narzekala, dzieci się nudziły, musiałem ich zabrać na wakacje na Malediwy. Na to policjant: Rozumiem, ale czemu za moje pieniądze?

Tak niezwykle przygody spotykają mieszkańców Moskwy na każdym kroku. Znajdując się w tłumie, czułem, że nie mogę liczyć na uprzejmość, uśmiech czy miłe słowo. Ludzie pędzili zapatrzeni w przestrzeń, byleby prędzej uciec z tego piekła. A całe miasto oblepione było plakatami: „Nikt nam nie pomoże, oprócz nas samych”. Slogan ten, niestety, miał zachęcać obywateli jedynie do płacenia podatków.

Nowi Ruscy

Kontrasty jak u nas, z małym wyjątkiem, bogaci byli jeszcze bogatsi, biedni jeszcze biedniejsi, a średnich ani widu, ani słyhu. Ulicami jeździły pojazdy dwóch kategorii: tanie, stare rosyjskie łady i moskwicze oraz nowe, najczęściej najnowsze i najdroższe modele zagranicznych marek. Ostatnie w większości ozdobione „kogutami”, które kierowcy włączali, gdy się im spieszyło. A spieszyło się im zawsze. Na główniejszych ulicach, poza dziewięcioma lub dwunastoma pasami w jedną stronę, znajdował się dodatkowo pas rządowy dla wozów szczególnie uprzywilejowanych. **Co najlepsze**, samochody jeździły nim w obu kierunkach. Podział finansowo - klasowy dostrzegałem tu w każdej dziedzinie życia. Zarówno na ulicy, jak i w teatrze, gdzie bilety można było nabyć w cenie od 20 do 1000 rubli. Różnice powodowały izolację bogatych od biednych. Do drogich sklepów, gdzie ceny przypominały numery telefonów międzynarodowych, zwykli ludzie po prostu nie wchodzili. Już wówczas funkcjonował żart, jak jeden Rosjanin mówi do drugiego że kupił piękny zegarek Patek za pięćdziesiąt tysięcy dolarów. A drugi odpowiada: Ale jesteś frajer, taki sam zegarek mogłeś kupić ulicę dalej za siedemdziesiąt tysięcy.

Wszystko zmieniało się w zawrotnym tempie. Być może, gdy ktoś z was pojedzie tam za jakiś czas, pomyśli: „Co ten facet napisał?”. Jednak jeszcze 20 lutego 1999 roku taką właśnie Moskwę widziałem. Potem byłem tam jeszcze wiele razy. Do dziś pamiętam jednakże pierwszy obraz, który zostawił niezatarte wrażenia. A ten pierwszy wyjazd na Wschód zafascynował mnie tak bardzo, że postanowiłem koniecznie zobaczyć, co tam jest za horyzontem. Parę miesięcy później ponownie byłem w rosyjskiej stolicy, tym razem stanowiącej nie cel, ale początek podróży. Celem bowiem była poradziecka Azja.

Rozdział II

TRANSSYBEREM NA WSCHÓD

Syberia, Mongolia, Chiny, Bajkał, Sankt Petersburg

Marzenia trwały kilka miesięcy, a przygotowania, od decyzji do wyjazdu, zaledwie trzy dni: ambasada, internet, zakupy, pakowanie... Zupełnie spontanicznie zapytałem pewnego dnia na uczelni, podczas zajęć z angielskiego, kto jedzie ze mną do Mongolii? Zgłosił się Kuba Szczęsny. Ze szkolnego atlasu wydarliśmy mapę w skali 1:10 000 000 i z warszawskiego Dworca Wschodniego wyruszyliśmy do Terespoła. Wkrótce daleko za nami pozostała granica Polski, polskie jedzenie, za którym tak bardzo później tęskniliśmy, a także poczucie bezpieczeństwa. Dopiero po kilku latach zdałem sobie sprawę, ile niesamowitego szczęścia mieliśmy, wychodząc cało z kolejnych opresji podczas tej podróży. Zanurzyliśmy się w przedziwny świat, w którym już od Brześcia nie ma żadnych biletów w żadnej kasie, ani

jednego wolnego miejsca w hotelu, nawet pustym. Po czym, jak się pogadało z ludźmi, wszystko można było załatwić. Wschodnia praktyka cwaniacko-dyplomatyczna była jednym z ciekawszych i ogromnie przydatnych doświadczeń.

Monotonia krajobrazu

W Azję zanurzyliśmy się już na Dworcu Jarosławskim. Wchłonął nas obładowany tysiącami kartonowych pudeł i tobołów tłum Mongołów, co chwilę bezpardonowo porządkowany przez rosyjskich mundurowych, którzy przy tych małych ludzikach wydawali mi się olbrzymami. Nagle jeden z nich uderzył z całej siły w brzuch stojącego przy mnie człowieka, ot tak, trochę jakby dla rozrywki. Jednak bardziej niż ta przemoc przeraziło mnie jego spojrzenie pełne pogardy. Widać w tym było absolutny brak tolerancji, potrzebę udowodnienia swojej wyższości. Zacząłem się zastanawiać, kto jest straszniejszy, czy „dzicy”, śniadzi Mongołowie z wielkimi tobołami, czy bezwzględni rosyjscy służbiści. Zacząłem utożsamiać się z tymi pierwszymi, przez to pokrzywdzenie i poniewieranie właśnie oni stali mi się bliżsi. Łączył nas wspólny los, a może wspólny bunt przeciw idiotycznej przemocy. Płynąc wśród tłumu rozkrzyczanych Azjatów, przedzierając się przez zwaliska ich niezliczonych bagaży, wdarliśmy się z Kubą do pociągu.

W rosyjskim wagonie w jednej chwili mija uczucie zagubienia i obcości. Pięć dni na szlaku transsyberyjskim jest przede wszystkim niezwykłym wydarzeniem towarzyskim. Pękamy ze śmiechu na myśl o snobistycznych turystach z Zachodu, którzy skazani sami na siebie, w ekskluzywnych wagonach legendarnej kolei kontemplują monotonię krajobrazu: Rosja – las, las, las..., a potem Azja – step, step, step... Zapłacili za tę przyjemność tysiące dolarów, a dla „normalnych” ludzi bilet do Irkucka kosztuje 35 „papierów”. I mamy iście rosyjską atmosferę, ze śpiewaniem, długimi dysputami o ludzkim losie i popijaniem Stolicznoj. Podróżujący z nami Rosjanie, bo zaczynamy podróż w rosyjskim wagonie są bardzo dobrze przygotowani do podróży. Witają się serdecznie, szczerze uśmiechają, powolnie wykonują rytualne czynności, takie jak parzenie herbaty, mycie zębów, zmiana skarpet, otwieranie kolejnych butelek, czy słoików z ogórkami i znowu butelek... Podróż „transsyberem” ma w sobie więcej z transu niż z Syberii. Pociąg pędzi, za oknem nuda powtarzającego się jak w kalejdoskopie krajobrazu, a w środku przyjazny, magiczny spokój.

Sto wagonów

Pociąg mknął, zmieniały się strefy czasowe, a tu biesiadując przy wódce i śmierdzącej, suszonej rybie trwaliśmy w opowieściach o carach Rosji. Drugiego dnia daliśmy czadu, flaszka goniła flaszkę, zakąszaliśmy ogórkami i tą rybą. Zapomnieliśmy o niebezpieczeństwach, przestrojach i zdrowym rozsądku. Odpłynęliśmy. Nie wiem czy przełomowa była ilość alkoholu czy jego jakość. Szczęście, że wzrok obaj mamy nadal dobry. W rezultacie libacji przez dwie doby nie podnosiliśmy się z łóżek, nie przyjmowaliśmy pokarmu, nie wydawaliśmy żadnych dźwięków. Kuba cudem znalazł w sobie jakąś magiczną siłę, która uniosła go do kas, gdzie kupił bilety na dalszą podróż, ryzykując, że nie zdąży ponownie wsiąść do pociągu. Wrócił i padł. Leżał tak kolejną dobę. Ja byłem z żelaza. Przez dwie doby nie drgnąłem.

W jednym z przedziałów podróżowała samotna dziewczyna z dzieckiem. Była piękna, a samotność nie pasowała do niej. Wręcz brakowało nam odwagi, żeby zagadnąć... ale nieustannie prowadziliśmy całym przedziałem rozmowy na temat jej urody i potencjalnych korzyści ze nawiązania znajomości. Rozpraszała naszą uwagę i zajmowała myśli.

Na szczęście, bo w Nowosybirsku odbierał ją koleś wyglądający na szefa miejscowej mafii. Do podziwiania pozostał nam już tylko syberyjski krajobraz za oknem.

W drogę zabraliśmy psychodeliczny horror „Desperacja” Stephena Kinga oraz „Buszującego w zbożu” J.D. Salingera. Czytaliśmy na zmianę, chwilami sami nie wiedząc, czy bardziej nierealny był psychopatyczny morderca z thrillera, czy to że byliśmy tysiące kilometrów od domu i w zasadzie nie mieliśmy pojęcia, dokąd jedziemy. Dla treningu, żeby nie zwiotczały nam mięśnie, wędrowaliśmy po pociągu. A to prawie pół kilometra, kilkadziesiąt wagonów – niezły spacer. Obserwowaliśmy z fascynacją, jak kolos wygina się na zakrętach. Musiało to być wygodne dla maszynisty, który zawsze mógł policzyć, czy nie zgubił któregoś z wagonów. Co jakiś czas mijaly nas z łomotem pociągi towarowe, mające nawet do stu wagonów. Liczyłem je, gdy podczas mijania następowała przerwa w rozmowach, bo huk nie pozwalał zebrać myśli. W końcu cichł i powracał stukot, a w jego monotonii chwilami nie bardzo wiedzieliśmy, co ze sobą zrobić. Obserwowaliśmy godzinami prawie nie zmieniający się krajobraz stepu, nie stepu, lasu nie lasu, rozległych przestrzeni, rzadko porastających krzewinek, pęków wątych brzózek i przycupniętych gdzieniegdzie dierewni.

W pociągu były wagony rosyjskie, podobne do tych, które znamy. Jednakże przemierzając skład, docieraliśmy do wagonów mongolskich, z czteroosobowymi przedziałami, piękną wiśniową tapicerką, przedziałami o wyższym standardzie, a do tego nowych. Panował w nich totalny chaos - Mongołowie grali w karty, wszędzie było mnóstwo porozrzucanych rzeczy. Świat już tutaj dzielił się na dwie części: europejską i azjatycką, do której zmierzaliśmy. I te dwa tak różne światy wcale nie miały ochoty się mieszać. W przeciwieństwie do nas – po pierwsze, chętnie zgodzilibyśmy się na upgrade przedziału, a po drugie, mieliśmy już dość melancholii naszego świata, byliśmy ciekawi egzotycznego kolorytu i spontaniczności. Cieszyliśmy się, że jedziemy do Azji. Zaraz, zaraz, przecież już byliśmy w Azji. Kiedy wysiedliśmy z pociągu, próbowałem policzyć, ile dni minęło nam w podróży, ale nie udało mi się. Część w komie, część na bani, kilka stref czasowych... Coś między pięć a siedem... Chyba.

Stacja Nauszki

Wtapiając się w klimat, szybko zrezygnowaliśmy z zapasu chińskich zupek, gdyż na każdej stacji babuszki sprzedawały za parę rubli kartoszki, chleb i placuszki, takie że palce lizać. A do tego mleko, śmietanę... Szybko staliśmy się koneserami i co przystanek niuchaliśmy za coraz bardziej wyrafinowanymi przysmakami. Chciałem czy nie, jako student handlu zagranicznego, na całej trasie pobierałem bezcenne darmowe lekcje tej sztuki. Mongolscy kupcy i rosyjscy biznesmeni wiozący towary z Moskwy, prowadzili nieustanne transakcje, w dzień i w nocy. Sprzedawanie, kupowanie, wymiana jednych towarów na drugie, było ich żywiołem. Na każdym, nawet najkrótszym postoju peron zamieniał się w kipiące życiem targowisko.

W pogranicznych Nauszkach zmiana wagonów i zmiana światów. Peron zalali Mongołowie. Za kratą dworca bazar czekający na podróżnych z bezlitośnie wyśrubowanymi cenami. Wbiłem się do środka i kupiłem dwa wielkie, okropnie tłuste szaszłyki. Jeszcze wtedy nie wiedziałem jak zatęsknimy za czymkolwiek co nie jest baranem lub jakiem. Przez kolejny miesiąc monotonne jedzenie miało stać się naszą wielką udręką. Tymczasem piękna pogoda i osiągnięcie granicy z Mongolią cudownie nas nastrojały. Holenderski turysta wymyślił kolejną zabawę. Biegał ze znajomą gąbką i proponował mycie szyb w pociągu. Młoda Rosjanka, przemycniczka z naszego przedziału, nie patrząc nawet na faceta, rzuciła kilka rubli. Szokujące zachowanie Europejczyka zadziwiło nas. Gość wierzył w otaczającą go ochronną aureolę systemu prawa i tolerancję dla zachodnich, niekonwencjonalnych zachowań. Mimo zachęty, nie włączyliśmy się do jego gry. Nam nowy świat wydawał się obcy, napęłniał pokorą i obawą, nakazywał zachowanie spokoju i wyczekiwanie, póki głębiej nie poznamy jego obyczajów, nie zrozumiemy zasad.

Przemysłowcy

Kupiliśmy bilety na ten sam pociąg, jedynie na tyle żeby przejechać przez granicę, bo na tym polegała nasza sistema. Bilety wewnątrz każdego kraju kosztowały grosze, jeśli się jednak umiędzynaradawiały, musieliśmy bulić jak za zboże. W przedziale dołączyliśmy do wielkiej przemysłowiczki. Wraz z nami podróżowało tysiąc par butów, wiele ton sproszkowanego mleka, dwa wielkie pudła lekarstw. Kanapy zaś przykryto warstwą pięknych i z pewnością bardzo drogich dywanów, udających wyposażenie wagonu. Towarem wypchane były ściany, sufity i podłogi... Jakież to niezwykle pojemny pociąg...

Gdy ruszyliśmy, młoda Mongołka, która studiowała w Czechach, przyniosła mongolską słoną herbatę. Zrobiło się swojsko i sympatycznie. Co chwilę ktoś następny odwiedzał nasz przedział i wykorzystując strzępki znanych mu języków, wypytywał nas o cel podróży i pobudki skłaniające do tak dalekiej wyprawy. A my przecież nie mieliśmy pojęcia po co i dokąd jedziemy, bo nad tym nie zdążyliśmy się jakoś zastanowić. Wjazd do Mongolii był jakby przekroczeniem granicy między naszą cywilizacją, a jej absolutnym brakiem, cofnięciem się o setki lat wstecz, do świata przyrody, koni i bezkresnych przestrzeni. Zamiana lokomotywy na parową, bo w Mongolii nie ma elektrycznych. Całe szczęście, że Rosjanie ułożyli tu tory. Z wielkiego komina wydostawała się gęsta chmura czarnego dymu, który przy dobrym wietrze wpadał do wagonów, leciutko nas przyduszając.

W pobliżu granicy tysiące Mongołów zakopywało w przedziałach tysiące butów, paczek mleka w proszku, pasków

klinowych, czajników, telefonów komórkowych, butelek

alkoholu, pudeł lekarstw, słodczy... Wbici na górne łóżko, siedzieliśmy z Kubą w kucki, obserwując wydarzenia z galerii

i drżąc z niepokoju, gdy współpasażerowie rozmontowywali na kawałki pędzący pociąg. Dopiero podczas dyplomatycznej wizyty celników, przebiegającej w atmosferze wzajemnego zrozumienia, pojęliśmy, że wbrew naszym obawom wszystko jest w porządku – perskie dywany na podłogach stanowiły wyposażenie pociągu, lekko odgięta pokrywa

w suficie nie sugerowała, że ukryto za nią siedemdziesiąt pudeł ze skarpetami, a nasi współpasażerowie byli turystami jadącymi wypocząć nad morzem, na plażach słonecznej Mongolii. Pozory jednak należało zachować, żeby nie robić z celników idiotów. Wreszcie mundurowi przeszli, wszystko wróciło do realu, ruszyły szeregi mrówek – robotnic. Ktoś przynosił buty, zabierał lekarstwa, pytał o swoje cukierki... i z podejrzeniem patrzył na nas. A my, dwaj

studenci elitarnego uczelni ekonomicznej, kierunek handel zagraniczny, skuleni na skrawku jedynej wolnej pryczy, patrzyliśmy na to wszystko, oczom nie wierząc. Bo na studiach nikt nie wykladał „zarządzania kanałami przemysłowymi”, ani „logistyki i handlu na dworcach kolejowych Rosji”. Może powinni takie przedmioty wprowadzić?

Ulaanbataar!

I wreszcie, po tygodniu jazdy – Ulaanbataar! Na peronie witały nas tysiące ludzi – jedni odbierali towar, drudzy natychmiast chcieli kupować. Kierownik pociągu gwizdał dla zasady, że niby na dworcu nie wolno handlować, a starsza kobiecina usiłowała nabyć od nas puste pięciolitrowe bańki po wodzie oligoceńskiej. Przez chwilę myśleliśmy czy może lepiej ich nie sprzedawać, skoro są takie cenne, ale wygoda przeważyła. I tak mieliśmy na plecach po trzydzieści kilogramów, w tym głównie jedzenie z Polski.

Musieliśmy prędko dobić się do Jerry'ego, poznanego w Niemczech weterana wojny w Wietnamie, który woził bogatych Niemców po dzikich zakątkach świata. Umówił się z nami, że dołączymy do grupy i pomożemy mu podczas wyprawy. Tylko czy o nas pamiętał? Powinien być jeszcze w mieście. Mieliśmy zamiar na jego współnika, tubylca Niambata. Próbowaliśmy zadzwonić – karty były drogie, więc kupiliśmy od zaczepionej na

ulicy dziewczyny używaną, z połową impulsów. W żaden sposób nie mogliśmy się dodzwonić, a tłum Mongołów napierał na telefon. Gdyby znali coś takiego jak kolejka, a nie próbowali wejść wszyscy naraz! Na dodatek snuł się za nami wąż taksówkarzy i ludzi, którzy chcieli wynająć nam pokój, przed którymi uciekaliśmy i ta ucieczka nadawała tempa naszej podróży po Ulan Bator.

Zaledwie wyszedłem na ulicę, a Kuba już siedział w autobusie, bo mu się wydawało, że dojedziemy nim do poczty. I dojechaliśmy do tej poczty, bo Kuba – co mnie strasznie wkurza – zazwyczaj ma rację. Po setnej próbie wylądaliśmy w słuchawce jedyne zrozumiałe słowa: „Jerry, hotel Grand”. Chwilę później dotarliśmy do hotelu Grand, gdzie, niestety, nie czekały na nas dobre wiadomości. W busie do odległego o 700 km Moron, skąd wyruszyć miała niemiecka konna wyprawa prowadzona przez Jerry’ego, nagle zabrakło dla nas miejsc. Bo coś tam! Wprawdzie za trzy dni miał tam lecieć samolot... Samolot? Latania samolotem, jak na razie w żadnym przypadku nie mieliśmy w planach. Samolot kosztował wówczas około 100 dolarów, co dla nas było kosmiczną sumą. Mogliśmy sobie pozwolić tylko na transport naziemny.

No to się zaczyna

Zatelefonowaliśmy do mówiących po angielsku dziewczyn, które na dworcu wręczały cudzoziemcom wizytówki z reklamą prywatnych kwater. Przyszły po nas, tak samo życzliwe, uśmiechnięte jak wcześniej. Po chwili wylądowaliśmy w guesthousie, kilkupokojowym mieszkaniu, gdzie materac przy materacu koczowali włóczykije z całego świata,

a przynajmniej z tej jego części, w której standard życia na to pozwalał: Niemcy, Australijczycy, Belgowie, Szwedzi... Dwie Holenderki przez sześć miesięcy objechały na rowerach Wietnam, Chiny, Kambodżę, Tajlandię. Wcześniej sprzedały domy, samochody i postanowiły do końca życia jechać rowerami przez świat. Wszyscy mieli na karku powyżej

trzydziestki i nikt nie wierzył, że nie mamy nawet po 20 lat. Śmieli się, że zdecydowaliśmy się na taki spontan i wyruszyliśmy bez przygotowania. Polacy byli wówczas dość rzadko spotykani na trasach podróży, więc samym pochodzeniem budziliśmy zainteresowanie. Inny podróżnicy udzielali dobrych rad i przyjmowali szerokim gestem do wielkiej rodziny. Rozsiadliśmy się na dobre i syciliśmy się atmosferą, a tu nagle wybuchła wiadomość: do Moron, do Jerry’ego możemy pojechać rano busiem, który za dobę dotrze na miejsce.

Zebraliśmy więc dopiero co uprane ciuchy, spakowaliśmy w pośpiechu plecaki, cały czas rozmawiając z ludźmi. Nie mogliśmy się na sycić tymi rozmowami. Wymienialiśmy się doświadczeniami, opowieściami. Tu po raz pierwszy trafiliśmy do świata backpackersów, ludzi będących w drodze, nieustannie poszukujących, otwartych na nowe. Często tych, którzy rzucili korporacyjne życie by ruszyć na szlak. My pochodziliśmy ze świata SHG, gdzie korporacje były marzeniem, a tu dowiadywaliśmy się że kiedy się w nich jest to marzeniem jest podróżować po Mongolii. Coś chyba nie pasowało? Docenialiśmy jednak szansę jaką dawało nam życie i planowaliśmy przedłużyć nasz pobyt w Azji Bardzo szybko powstał więc nowy projekt: „Czemu nie mielibyście jechać do Chin? Przecież to tak blisko”.

No właśnie, że też wcześniej o tym nie pomyśleliśmy.

Z pełnym zaufaniem powierzyliśmy gospodyniom forszę i paszporty. Wszyscy podróżni bez strachu zostawiali tu swoje rzeczy. Nikomu nawet nie przyszło do głowy, że mogłoby się coś złego przydarzyć. Następnego ranka już od ósmej siedzieliśmy w samochodzie. Odjechaliśmy przed południem, gdy zebrał się komplet pasażerów. No i teraz się zaczęło!

Titanic w stepie

Kto nie przejechał mongolskimi bezdrożami ponad pół tysiąca kilometrów w czternaście osób (później w dziewiętnaście), dziesięcioosobowym, starym, rozklekotanym rosyjskim minibusie UAZ, z prędkością 30 km/h, kto nie przeżył trwającego 28 godzin piekła miksowania na gorąco ludzkiej masy, ten nie wie nic o prawdziwej podróży. Siedzieliśmy na trzech siedzeniach we czwórce wraz z małą dziewczynką i brzydkim

starcem. Dzieciaki w pojeździe były chyba wsje obszcze (należące do wszystkich), bo jedna osoba je karmiła, inna na nie krzyczała. Samochód nieustannie obijał się na kamieniach, a my uderzaliśmy na zmianę, raz głową o metalowy dach, raz tyłkiem o twarde siedzisko. Nasz sąsiad, któremu warunki podróży w ogóle nie przeszkadzały, knuł od początku, żeby się wygodnie przespać. Najpierw delikatnie oparł się o moje plecy i zaczął swoją ciężką głowę wbijać mi w krzyż. Szybko zrozumieliśmy zasady dobrego zachowania w podróży – nie było żadnych zasad, zaś przestrzeń intymna, o której tak wiele można przeczytać w podręcznikach do psychologii, wynosiła zero centymetrów. Sąsiad zabrał się za Kubę, teraz z niego próbując sobie zrobić legowisko. Kuba odsuwał się, koleś leciał na dół, zabierając Kubie miejsce siedzące. Nie było rady – Kuba siadał mu na głowie, więc gość się budził i udawał, że nie wie, co się stało. My też udawaliśmy. W ogóle wszyscy udawali, bo każdy robił swoje i nie zwracał uwagi na pozostałych. Byle się jakoś przespać. Szukając alternatywnego rozwiązania, Mongoł wziął jedno z dzieci i posadził obok siebie, wykorzystując je jako podglówek. Wielkie oczy dziewczynki wyrażały lekkie niezadowolenie, a stary uciał sobie drzemkę. Aż w końcu mała zaczęła wymiotować, a inne dzieci za nią. Oczywiście nikt specjalnie się tym nie przejmował, tylko jedna z potencjalnych matek, jakby od niechcienia, uchyliła okno, jakby w ogóle nikomu nie przeszkadzał smród.

Wieczorem dojechaliśmy do miejsciny, w której nieustannie ryczał megafon. W ten sposób usiłowano zdobyć publiczność na wyświetlanego wieczorem „Titanica”. Byliśmy pośrodku jałowego stepu, a tu „Titanic” w kinie! Do morza tysiące kilometrów, najbliższy większy zbiornik to położone kilkaset kilometrów na północ jezioro Khovsgol. Jakież ten film musi zrobić na nich wrażenie.

Weszliśmy do knajpy. Cofnęliśmy się i jeszcze raz weszliśmy. Co tam film o oceanie! My tu dopiero mieliśmy niespodziankę: we wnętrzu muzyka i stepowe disco bandžo, a do tego śliczne dziewczyny. Najczęściej Mongołki miały twarze jak piłki Spaldinga (piłki do koszykówki), z dwoma czerwonymi kołami na policzkach od mrozu. A tu, w dyskoteci na pustyni, prawdziwe piękności. Jedyne dyskomfort polegał na tym, że tymi dwiema dziewczynami byli zainteresowani wszyscy zgromadzeni mężczyźni. Niektórzy mieszkańcy wioski prawdopodobnie czekali na ich wdzięki od urodzenia, bo innych dziewczyn w okolicy nie było. Nam po prostu nie mogło się udać, bo kandydatów na miejsce było więcej niż na Prawo na Uniwersytecie Warszawskim. Mieliśmy wrażenie, że Mongołowie postanowili szybko wyeliminować niespodziewaną konkurencję. Dyskoteka była maleńka, w tłoku co chwila dochodziło do zamieszek i uwielbianego przez młodych Mongołów mordobicia, a nam wcale nie zależało na tym, żeby się do tej zabawy przyłączyć. Co jakiś czas ktoś próbował wyciągnąć nas na sparing, ale na szczęście, nasi towarzysze otoczyli nas opieką, strzelając to tu, to tam miejscowym z bańki. O bliższym kontakcie z dziewczynami lepiej było zapomnieć, może dzięki tej decyzji mamy dziś w miarę proste szczęki i po komplecie żeber.

Ziemia nomadów

O temperamencie Mongołów więcej dowiedzieliśmy się w ciągu kilku dni poprzedzających wielkie święto Nadom. Podczas włączki zakurzonymi ulicami obserwowaliśmy coraz większą wojowniczość młodych ludzi, którzy z byle powodu brali się za czuby. W tych dniach bójki na ulicy wybuchały niemal nieustannie i jakby bez powodu. Pamiętam opowieść Sylwka, pomocnika piekarza spod Poznania, który w drodze do Chin przejechał na rowerze Mongolię. Szczęściem, niezły był z niego zakapior i szybko odnalazł się w nowej rzeczywistości, bo co rusz się z kimś w tej Mongolii bił, gdyż miejscowi koniecznie chcieli się zmierzyć z Europejczykiem. A jak któregoś rozłożył, to zaraz następnego dnia już miał poumawiane sparingi, bo inni też chcieli spróbować.

Skłonność do bójek tłumaczyliśmy tym, że w Mongołach, ludziach wielkich przestrzeni, ciasnota budzi agresję. Odwieczni pasterze, mieszkańcy nieograniczonego stepu, stłoczeni w wielkim mieście znajdowali się zbyt blisko siebie. Nie nauczyli się, jak żyjący od wieków w zagęszczeniu Chińczycy, budowania sobie przestrzeni intymnej, zamykania się w niej, izolowania od otaczającego tłumu, bo takiego zjawiska do niedawna nie znali. Wolność Mongołów zawierała się tysiącach kilometrów kwadratowych otwartych

przeestrzeni. Mongolia to jedno z najrzadziej zaludnionych państw na świecie, bez prawa własności ziemi. Tu do niedawna każdy stawiał dom tam, gdzie było wolne miejsce. Potomkowie Czyngis-chana dopiero niedawno zaczęli oznaczać swoje terytorium – wcześniej, jako nomadowie, nie mieli takiej potrzeby, ich teren był tam, gdzie przebywali. Zmienił się styl życia, zaczęło się znakowanie miejsca. Więc lepiej nie wchodzić Mongołom w drogę albo od razu umówić się na sparing z lokalnym mistrzem zapasów.

Tymczasem stół, przy którym zasiedliśmy z pozostałymi pasażerami, ugiął się od alkoholu i żarcia. Z Kubą zaniepokoiiliśmy się o koszty biesiady. Fundatorem był kierowca, który poinformował nas, że podróż wydłużymy o mniej więcej sześć godzin, bo jeszcze pojedziemy po jego brata, a jak się później okazało, również po należąca do rodziny kozę. Za chwilę, po raz kolejny, przyczepił się do nas jakiś osiłek, ale momentalnie dostał „z bańki” od jednego z naszych współpasażerów, co już powoli przestało robić wrażenie. Po uczcie chwilę przespaliśmy się w autobusie i ruszyliśmy dalej. Głęboko w nocy, po kilku godzinach kolebania i walenia podwoziem o muldy, zmęczony szofer nadaremnie usiłował wypatrzeć we wstecznym lusterku zmiennika, który twardo spał po kilku piwach. Kilka razy się odwrócił i wreszcie jego wzrok padł na mnie: „Umiesz prowadzić? To pojedziesz dalej”. I naprawdę zatrzymał busa. „Tylko nie rozpędzaj się ponad sześćdziesiątkę”. Prawie nie widziałem drogi, ale gość znał ją na pamięć i podpowiadał, jak mam jechać. Nalewając sobie w miseczkę herbaty, chwalił nowego kierowcę: „Parzcie, ani kropli nie wylałem, tak dobrze jedzie”. W złą chwilę to powiedział, bo akurat wpadliśmy w dziurę. Chlup... i wszyscy ryczeli ze śmiechu.

Katowałem pojazd

trzydziestką, z trudem utrzymując go na „drodze”, którą

moim zdaniem już dawno zgubiliśmy. Dla oszczędności zgasiłem światła, więc nie widziałem nawet

kierownicy. Kompania jednakże była już lekko podchmielona i nikt nie przejmował się kierownicą, drogą, a tym bardziej mną.

Po przesiadce zdobyłem lepszą pozycję i usnąłem kołysany na stepowych muldach. Obudziłem się o świcie. Przede mną majaczył niewyraźny kształt dziecięcej buzi i pomyślałem: „Ależ ten bachor wstrętny. Ma brodę? Rany, przecież to koza!”. Jasne, przecież to koza brata kierowcy. Stała i tak się na nas gapiała, a jak Kuba pociągnął za sznurek, to robiła „meee”. Zupełnie sprawna koza. A obok miałem jeszcze lepszy numer. Długi Niemiec złożony w scyzoryk: podciągnął kolana pod brodę i chrapał. Naprzeciwko dwaj starsi Mongołowie z zachwytem wpatrywali się w jego obnażoną goleń. Prawdopodobnie pierwszy raz widzieli owłosionego faceta. Grubszy zbliżył drapieżnie zgięte w obcęgach palce i ruchem kobry wyrwał Klausowi rudy włos. Oglądali zdobycz pod światło i byli zachwyceni.

Dyrektor Gambat

Dotarliśmy do Moron, gdzie miła pani z Czerwonego Krzyża miała za zadanie dostarczyć wszystkich pasażerów „pod sam dom”. Wiedzieliśmy tylko tyle, że na Jerry’ego mamy czekać nad rzeką, na wysokości lotniska lub w okolicy domu Gambata. Gambat, brat Niambata, był ponoć znanym w całym Moron przedsiębiorcą. Ale za cholerę nie wiedzieliśmy gdzie mieszka. Długo jeździliśmy w kółko, zanim znaleźliśmy właściwy trop. Dwa pokoje z kuchnią w trzypiętrowym, szarym bloku, na ścianach rodzinne zdjęcia, wielka sofa, telefon. Gospodarz dyrektorał starej, pokomunistycznej fabryce. Na bramie

i nad drzwiami wejściowymi wisały jeszcze wizerunki wielkich wodzów i przodowników pracy. Przed zakładem zaś znajdowały się tablice z podobizną Lenina i cytaty z dzieł ojca, jak widać, wielu narodów. W miasteczku, jak w całej Mongolii, trwała kampania wyborcza do parlamentu. Kandydaci startowali ze swoich rodzinnych okręgów, w których chcieli zyskać poparcie sąsiadów. Samochody były oblepione zdjęciami, po mieście jeździły uazy obwieszane megafonami, przez które wygłaszano komunikaty agitacyjne. Podobno ostatecznie w wyborach w Mongolii wygrywa ten który dysponuje „rulonem” (pieniędzy), chodzi po domach i daje po stówce zielonych w rękę każdemu wyborcy. W sumie to duży wysiłek, bo domy są porzucane daleko po całym stepie.

Niewiele starszy od nas chłopak, widząc cudzoziemców, zaczął Kubę śmiałą angielszczyzną. Proponował mieszkanie, konie, jedzenie, samochód, wszystko, co tylko sobie życzymy. Podziękowaliśmy, byliśmy bowiem umówieni z Jerry'm. Koleś oprócz angielskiego znał również rosyjski i o wszystko nas wypytywał. Był krawcem wyspecjalizowanym w szyciu tradycyjnej odzieży mongolskiej. Wprawdzie, kiedy spytaliśmy o konie, okazało się, że już nie był krawcem, tylko właścicielem stada i instruktorem jazdy... Mniejsza z tym, liczy się elastyczność młodego przedsiębiorcy. Rosyjskiego nauczył się w szkole. Uznał jednak, że dla przedsiębiorczego ducha jest to zdecydowanie za mało. Zdobył kasety, książki i sam opanował angielski na całkiem niezłym poziomie. Rozmawiało się z nim tak, jakby mieszkał w sąsiednim bloku na naszym osiedlu. Tylko ciuchy miał niemodne, a zamiast dobermana - kozę.

Noc w stepie

Cudowny, niewyobrażalny zachód słońca przy akompaniamencie plusku rzeki i syku płomieni ogniska. Wdrapaliśmy się na najwyższe wzgórze w okolicy, graliśmy na harmonijce, śpiewaliśmy i chyba jeszcze nie docierało do nas, gdzie tak naprawdę byliśmy. Nie czuję się na siłach opisywać urzekającej monotonii stepu, piękna gór, rzek i jezior, nieznaney mi dotąd przyrody. Kto ciekaw, niech sięgnie do literatury i pomnoży wszystkie opisy przez sto. Może jeszcze jest szansa na podróż przez dziką Mongolię, która dziś stanowi wielką kopalnię minerałów i cel wielkich inwestycji z całego świata. Może. Lecz miejsca które opisuję, z pewnością wyglądają już inaczej.

Wędrówka przez step z Jerry'm, weteranem oddziałów specjalnych armii amerykańskiej, była przeżyciem szczególnym. Wojskowy porządek nie psuł przyjaznej atmosfery w oddziale złożonym z czwórki Niemców – profesora fizyki, bankowca, renomowanego konsultanta, wysoko wykwalifikowanej sekretarki – i dwóch polskich studentów. Niezależnie od pogody i zmęczenia, błyskawicznie rozbijaliśmy namioty. Niemal w tej samej chwili gotował się na ognisku posiłek.

Drugiego dnia wieczorem odwiedziliśmy Caatanów. Kupiliśmy od nich jakieś drobne wyroby ze skóry zwierząt i z drewna. Jerry wywołał ogromną radość, kiedy obdarowywał koczowników zrobione polaroidem zdjęcia. Pstrykał fotkę, a potem podawał ją małej Mongołce i kazał ukryć pod kurteczką. Wówczas wypowiadał całą masę niezrozumiałych zaklęć i gdy dziewczynka wyciągała białą kartkę zza pa-zuchy, widziała na niej siebie i rodziców. Nie mogła się nadziwić, podobnie jak ja, bo polaroid widziałem drugi raz w życiu i wydawał mi się równie zaskakujący jak miejscowym. Caatanowie żyją nad podziw skromnie, utrzymując się głównie z hodowli reniferów. Za poroże dostają od handlarzy z miasta jakieś nędzne w stosunku do wartości towaru grosze, które wydają głównie na herbatę i tytoń. W swoim gierze mają nieliczne przedmioty pochodzące z cywilizowanego świata: lusterko, długopis, zapalniczkę, prezenty darowane przez turystów w zamian za gościnę. Wówczas to wszystko nas dziwiło, pierwszy raz stykaliśmy się z ludźmi żyjącymi w tak ubogich, z naszego punktu widzenia, warunkach. A przecież mieli stado reniferów, mieli gier, mieli wszystko czego potrzebowali do życia, byli szczęśliwi. Zajęło mi kolejne osiem lat podróży żeby to zrozumieć.

Cały tydzień jechaliśmy dolinami, nocowaliśmy nad rzekami, wieczorami słuchaliśmy długich opowieści Jerry'ego o polowaniach, zwierzętach, przyrodzie. Byliśmy w środku baśni, zatracając świadomość istnienia zewnętrznego, realnego świata. Nigdy nie opowiadał nam jednakże o wojnach, w których uczestniczył. Co najwyżej o tej pierwszej, czyli o II wojnie światowej. Wiedzieliśmy że walczył w Wietnamie i w Pustynnej Burzy, ale nie mieliśmy śmiałości by o to pytać. Któregoś dnia, gdy zadumany siedziałem na kamieniu, nagle poczułem uderzenie w okolicy łędźwi, a potem duszenie i spadłem na trawę. Koło szyi śmignęła mi łyżka, jakby ktoś podcinał mi gardło. Wszystko trwało moment. To Jerry się wygłupiał. A w tych jego wygłupach było coś groźnego, coś, czego nie mógł ukryć.

Zaatakował mnie z wprawą i wyuczoną perfekcją, nie pozostawiającą żadnych wątpliwości – opowieści Jerry’ego to nie były bajki, choć często tak brzmiały. Podejrzywałem, że to, co słyszeliśmy o jego życiu, to tylko ułamek niezwyklej historii, pełnej wydarzeń, o których wołał milczeć.

Wiatr wolności

Kolejnego dnia na rozległej polanie mijaliśmy stado dzikich koni. Zawsze w takim momencie przewodnicy krzyczeli, byśmy mocno trzymali swoje wierzchowce, w każdej chwili mogły bowiem poczuć wiatr wolności i wyrwać się za stadem. Czuliśmy niepokój, wręcz podniecenie zwierząt. Mój gniadosz nerwowo dreptał w miejscu. Wtem jeden z jucznych, zrywając pęta i zrzucając z siebie krępujące toboły, ruszył za stadem dzikich koni. Gdy galopował za wolnymi braćmi, cały otaczający nas świat zwierząt zdawał się kipieć energią, potęgą swobody. Zgłupieliliśmy. Dla Mongołów nie była to pierwszozna. Przewodnik momentalnie ruszył w pościg i po krótkiej pogoni doprowadził uciekiniera, po czym spętał mu nogi powrozem.

Stepowe zwierzęta w niczym nie przypominały hodowlanej, kapryśnej i delikatnej europejskiej arystokracji. W ekstremalnych sytuacjach nie głupiały, lecz przejmowały inicjatywę, ignorując zabiegi niewprawnych jeźdźców. Podczas niesamowitej przeprawy przez bagna, brnąc przez kilka godzin w grząskim lesie, bez oporów zdawaliśmy się na instynkt i doświadczenie naszych koni. Luzowaliśmy wodze, konie ostrożnie wchodziły w bagno i od tej chwili decydowały już o wszystkim. Uważnie stąpając, wybierały drogę. Chwilami zapadały się po brzuchy, wówczas gwałtownie wyszarpywały nogi z błota i szukały stałego oparcia. Powoli i konsekwentnie pokonywały rozległy, śmiertelnie niebezpieczny obszar.

Zdarzało się ponoć, że również stepowe zwierzęta instynkt zawodził. Czasem, atakowane przez gzy, dostawały świra. Wówczas ginęły w błotnej głębinie. Twarde stepowe życie nie pozbawiło jednakże rumaków charakteru, za to nauczyło obchodzenia się z ludźmi. Wierzchowiec Kuby był nie mniej przebiegły od jeźdźca, więc od pierwszej chwili toczyli między sobą walkę o pozycję lidera. Niestety, wszelkie próby wspólnego wejścia w galop inicjowane przez kolegę kończyły się ostrym hamowaniem. A mój ogierek, delikatnie pobudzony, ruszał niczym wiatr i mógł pędzić długo, nie czując zmęczenia.

Przed nami roztaczała się płaszczyzna cudownie zielonej przestrzeni, trawa była niska, sporo kamieni. Po lewej stronie Shishked Gol, mongolska część Jeniseju, przybierająca z biegiem na sile, by przemienić się w jedną z największych rzek Azji. Po prawej stronie strome zbocze, a na nim rzadki, iglasty las. Ściągnąłem wodze konia, zaś Kuba tłukł swoją szkapę, ile wlezie, dzięki czemu obaj lecieliśmy tym samym, szalonym pędem. Łeb w łeb wypadliśmy zza skał, prosto w ogromne stado kóz i baranów. W oczach mgła, pęd i wiatr. Nie próbowaliśmy nawet zwalniać i wierzchowce nie powstrzymywały biegu. To była prawdziwa wolność, wolność przestrzeni, wolność od strachów i obaw, wolność doskonała. Byliśmy szczęśliwi. Fale zwierząt z bekiem rozplywały się przed nami, a konie ,jakby nie czuły zmęczenia, szły w pełnym galopie. Erdene, nasz przewodnik, wiele opowiadał o koniach. Na przykład mój, nauczony ciągłego galopu przez kilkadziesiąt kilometrów, przed kilku laty był zwycięzcą nadamu w Moron. „A mój, a mój?“, pytał Kuba o swoją szkapinę. „Tego konia zjemy zimą“, odrzekł pasterz. „Najlepsze jest serce. Wyrzywa się je, kiedy zwierzę jeszcze żyje“. Kuba i jego koń wyraźnie się zasmucili.

Pot z sierści

Podobno w Mongolii więcej jest koni niż ludzi i zawsze można sobie złapać kolejnego wierzchowca w stepie. Za to samochód, czy to stary, rozwalony uaz, czy też nowiutki cherokee, tubylcy pielęgnują jak gejsza paznokcie. Mimo zakurzonych dróg auta były nadzwyczajnie zadbane. Widzieliśmy ich dziesiątki wjeżdżających do czystej rzeki, która pełniła rolę myjni. Konie myje się jedynie przed świętem nadom, gdy stają się świętymi zwierzętami, podczas wielkiego wyścigu, podczas którego pędzą w dzikim tempie z małymi, kilkunastoletnimi dziećmi na grzbietach. Żeby wyścig został zaliczony, muszą dojechać razem. Ponieważ dzieci ledwo wytrzymują taki wysiłek, przywiązują się im nóżki pod brzuchem konia, aby nie spadły. Po zakończeniu wielkiej gonitwy mały

jeździec ginie w tłumie, a mężczyźni rzucają się jeden przez drugiego, żeby zebrać z sierści zwycięskiego zwierzęcia odrobinę potu, zapewniającego szczęście i sukcesy. Czasami miałem wrażenie, że Mongolia to bardziej świat koni niż ludzi, bo po pierwsze widziałem ich więcej, a po drugie chwilami łatwiej mi było się z nimi porozumieć.

Bolesna nauczka

Naiwność i oszołomienie wrażeniami uspiły naszą czujność. Nie przyszło nam do głowy, że Mongoł Niambat oraz niejaki Bolek z Polski, pijawka Jerry'ego, chcieli na nas zarobić. Nie rozmawialiśmy nawet z nimi o wyjeździe, jedynie z Jerry'm, którego wspólnik Niambat wykorzystywał na każdym kroku. Jerry kupił od niego stado koni, jednakże za każdym razem, kiedy przyjeżdżał z grupą, sprytny Mongoł twierdził, że konie są w stepie i nie ma czasu, żeby je łapać. Więc Jerry musiał wynająć od niego inne konie. Kupno stada przypominało zakup udziałów dawno upadłej spółki w Zambii – były twoje, ale nie mają żadnej wartości. Kiedy Niambat wieczorem, ostatniego dnia naszej wspólnej podróży, zażądał od nas po 500 dolarów, osłupieliliśmy. Stacjonowaliśmy nieopodal Moron, znajdującym się głęboko w stepie. Wyszliśmy z Kubą na najbliższą górę, obserwowaliśmy wijącą się w dole rzekę i rosnącą u jej brzegów oazę, pośród bezmiaru pr-zestrzeni. W dole widzieliśmy rozwidlenie dróg. Rozważaliśmy, czy zwinąć się w nocy, dotrzeć do miasta i uciec Niambatowi, czy też czekać do następnego dnia i zobaczyć, co się wydarzy. Zostaliśmy. Rankiem nie przejechaliśmy nawet kilometra, gdy zatrzymał nas patrol. Na polecenie Niambata policja zabrała nam dokumenty – legitymacje studenckie. Pewnie mogliśmy stamtąd po prostu wyjechać, ale nieznanne miejsce i niezrozumiałe zasady kazały nam zostać. Wahanie skończyło się tym, że Niambat ukrył gdzieś nasze plecaki i ponownie zażądał kasy. Tymczasem Kuba znalazł autobus wypchany po brzegi pasażerami i gotów do odjazdu. Uparł się, że właśnie tym pojazdem wyjedziemy z Moron. Negocjacje z Niambatem trwały parę godzin, a Kubie udało się przekonać dwadzieścia osób i kierowcę busa, aby posiedzieli sobie na trawie i poczekali na nas. Ludzie nawet specjalnie się nie denerwowali, że muszą czekać na dwóch zagranicznych cymbałów. Siedzieli na tej trawie i patrzyli w słońce, które pięknie świeciło tego dnia. Niambat wydarł z nas po 300 dolarów albo i więcej, a my odzyskaliśmy nasze plecaki. Dziś nie zwrócilibyśmy uwagi na Niambata, na nasze śmieszne legitymacje. Mogliśmy zabrać bagaże i wyjechać pierwszym transportem, ale wówczas... Uczyliśmy się dopiero drogi i tego, że nie wszystkim wolno ufać, co wówczas wcale nie było dla nas takie oczywiste. Uczyliśmy się kalkulować ryzyko, ale wciąż przerażał nas świat tyle tysięcy kilometrów od domu. Udało nam się wreszcie wyjechać z Moron, a kac po tej niemiłej sytuacji pozostał we mnie na długo. Po latach pamiętam jednakże już tylko piękno mongolskich stepów. Legitymacje studenckie przyszły pocztą wiele miesięcy później.

Gość w stepie

Wracaliśmy do Ułan Bator, ale nie wytrzymałyśmy długo w mieście. Zabraliśmy ze sobą zaprzyjaźnioną Amerykankę o wdzięcznym imieniu Q i wędrowaliśmy po nieodległej okolicy. Ot tak, wyruszaliśmy z miasta, jakbyśmy umówili się na ulicy Marszałkowskiej w Warszawie i poszli przed siebie, gdzieś w stronę Radomia. Jednak tu wystarczyło przejść pierwsze wzniesienia, pokonać niewielką rzekę, a za nią był już nieskończony step. Rozkoszowaliśmy się przestrzenią i ganiałyśmy krowy z nadzieją, że któraś pozwoli się wydoić.

Kolejnej nocy rozbiliśmy biwak. Było ciemno i niepokojąco cicho. Paliliśmy ognisko. Nagle w mroku ujrzeliśmy jeźdźca na koniu. Sytuacja nie wyglądała dobrze, bowiem przybysz nie dosiadł się, tylko się na nas patrzył. Zrobiliśmy to co podpowiadał nasz nowy stepowy instynkt. Zaprosiliśmy go życzliwym gestem do ogniska. Jeździec zsiadł i usiadł między nami. Kuba podał gościowi herbatę. Ten wypił. Popatrzył w ogień. Wstał.

Odjechał. Słowa nie miały znaczenia. To nie oficjalna wizyta u teściowej. Przysiadł się do ogniska, bo takie jest prawo stepu. Ognisko należy do wszystkich, tak jak ziemia, drzewa i herbata, którą piliśmy. W stepie każdemu należy udzielić pomocy. W ten sposób określiliśmy nasze zamiary, przekazaliśmy sobie wszystkie istotne w tamtej chwili informacje. Jeździec nie przysiadł się do naszego lecz do wspólnego ogniska. To ognisko było wspólne bo należało do wszystkich ludzi stepu. My tylko strześliśmy jego ognia. W miejscach gdzie nie dotarła cywilizacja, nie istniało prawo pisane, sądy. Tu znaczenie miały gesty, prawa zwyczajowe, ludzkie, intuicyjne. Od przestrzegania tych praw i zwyczajów często zależało ludzkie życie.

Na stopa kierowca bierze wszystkich, gdyż następny samochód może pojawić się dopiero za kilka dni, co zimą oznacza śmierć. Przy ognisku zawsze jest miejsce dla niespodziewanego gościa, jak u nas dodatkowy talerz podczas Wigilii. Nie zamieniliśmy ani słowa, bo i o czym tu gadać, kiedy tak pięknie świeci księżyc. A właśnie tej nocy można było obejrzeć jego całkowite zaćmienie. Q i Kuba czekali na nie, a ja miałem dość wrażeń i usnąłem.

Rankiem doszliśmy do szosy – Q chciała jechać w lewo, a my w prawo, więc się rozstaliśmy. Łapaliśmy stopa. Za kierownicą wiekowej, czarnej wołgi siedział szczupły, starszy mężczyzna, sprawiający wrażenie mocno zmęczonego życiem, a na tylnym siedzeniu kobieta z dziewczynką. Z trzeszczącego radia dochodziły dźwięki amerykańskich przebojów sprzed ćwierci wieku. Cichutko nuciliśmy. Mongoł prowadził niespiesznie, ale gdy tylko pojawiał się przed nim jakiś samochód, ruszał ostro i wyprzedzał go z dziką pasją. Milczał. W mieście pasażerki wysiadły i odeszły bez słowa. My zresztą też, tyle że kawałeczek dalej. Znowu byliśmy w mieście, ale mijał powoli miesiąc naszego pobytu w Mongolii i czuliśmy że czas ruszać dalej.

Timur i biznesmeni

Kiedy wywaliliśmy na środek pokoju wszystkie rzeczy, uświadomiliśmy sobie, że w Mongolii musimy uchodzić za niezwykle zamożnych ludzi. Skorzystaliśmy wprawdzie dość skrupulatnie z porad Ediego Pyrka, dziś sąsiada i fajnego kumpla, a wówczas, po przeczytaniu jego książki podróżniczej i jednym spotkaniu w domu, podczas którego usmażył nam naleśniki, mistrza i wyroczni zarówno w kwestii filozofii „bycia w drodze”, jak i pakowania bagaży. Posłuchaliśmy więc, jak radził, i ograniczyliśmy do minimum kłopoty, po czym... dołożyliśmy do plecaków drugie tyle rzeczy absolutnie niezbędnych z naszego punktu widzenia. W sumie plecaki o stulitrowej pojemności zawierały ciężar mogący zwalić z nóg nawet słonia.

Miesiąc podróży nauczył nas, że ciężki plecak to udręka, postanowiliśmy pozbyć się części bagażu. Wpadliśmy tym samym na kolejny genialny pomysł. Dzięki zbędnym łachom mogliśmy zdobyć bezcenne doświadczenia na bazarze. Jechaliśmy więc, jak zwykle nie wiedząc dokąd, i wypatrywaliśmy miejscowego ciucholandu. Poza centrum miasta problemem stała się nagle możliwość porozumienia się po rosyjsku. Ręce nam już opadały od gadania, gdy niespodziewanie nadszedł ratunek. Z wyglądu był przeciętnym Mongołem, jednakże zdecydowanym i bardzo pewnym siebie. Nazwaliśmy go Timurem. Problemy z porozumieniem werbalnym jednak nie znikły, choć odnosiliśmy wrażenie, że nasz przypadkowy przewodnik rozumiał nasze pytania doskonale. Było to jednak tylko wrażenie, bo nie dostaliśmy żadnej odpowiedzi, a tym bardziej potwierdzenia. Jednakże zawierzyliśmy szczeremu uśmiechowi Timura i daliśmy się prowadzić... nie bardzo wiedząc dokąd.

Timur witał się ze wszystkimi naokoło szczerym, szerokim uśmiechem. Kimkolwiek był, działał niezwykle skutecznie. Nie minęło dziesięć minut odkąd się poznaliśmy, a w zasadzie odkąd zaczęliśmy się do siebie uśmiechać, a już wbił nas na bazar. Przy wejściu kasjer – bo wszędzie, gdzie wchodziliśmy, czekał kasjer – pobierał niewielką opłatę: od kupujących symboliczną, a od sprzedających nieco większą. Jednakże zamiast kilku tugrików Timur rzucił zaklęcie i nie płacąc ani grosza dostaliśmy się na targowisko. Wyobrażałem sobie, ile z nas zedrze za taką przysługę. Na ubitej ziemi rozłożyliśmy mocno zużyte koszulki, eksponując te, które były w nieco lepszym stanie. Po pierwszym roku studiów w Szkole Głównej

Handlowej mistrzami reklamy i marketingu wyraźnie jeszcze nie byliśmy. Pierwsze poszły firanki. Miały nam służyć za moskitiery, ale komarów nie widzieliśmy, więc opyliliśmy je bez żalu. Za grosze puściliśmy również sprane ciuchy, bo w zasadzie prowadziliśmy ten interes kupiecki dla samej przyjemności handlowania i z potrzeby odciążenia plecaków. Co ciekawe, stan zużycia, zawartość kurzu i naszego potu w poszczególnych egzemplarzach odzieży nie miały większego znaczenia. Liczyła się tylko metka przy kołnierzyku, która była symbolem wielkiego świata: Ameryki, Europy... To, co nie znajdowało nabywcy, Timur obnosił po bazarze. Wymachiwał koszulkami niczym sztandarami, zachęcając chropawym głosem do zakupów. Z niezłym zresztą skutkiem.

Dziewczyna w cenie konia

Obawialiśmy się coraz bardziej, że nie potrafimy się odwdziaczyć za tę usługę. Przystępując więc do negocjacji, na wstępie ofiarowaliśmy Timurowi najlepszą z niesprzedanych koszulek. Przyjął ciuch z uśmiechem i zaraz nałożył go przez głowę napotkanemu znajomkowi. Tamten był zachwycony i z wdzięczności dołączył do ekipy. Staraliśmy się zachowywać luzacko, choć sytuacja bardzo nas krępowała. W tej nonszalancji pozwoliłem sobie nawet, używając trzech z pięciu znanych nam słów po mongolsku, na prawienie komplementów przechodzącym dziewczętom. Timur zatrzymał panienki i podał godziwą cenę, nie byliśmy tylko pewni – kupna czy najmu. Kwota oscylowała mniej więcej w okolicach wartości jednego dnia pracy konia. Dziewczyny się cieszyły, my paliliśmy raka, a zawiedziony „stręczyciel” zebrał już wokół nas cały wianuszek pań. Chyba jednak nie do końca się zrozumieliśmy.

Ocaliwszy więc cnotę mongolskich dziewic, wsiedliśmy do niemiłosiernie zatłoczonego autobusu. Opiekun najpierw „zaklął” konduktora i pojechaliśmy „zajcem”, czyli bez biletu, choć wszyscy inni musieli go kupić zaraz po wejściu. Zupełnie nie kumaliśmy, co Timur mówił otaczającym nas ludziom, ale traktowali nas z wielkim namaszczeniem. W pewnej chwili zwrócił się do wielkoluda o posturze mongolskiego mistrza zapasów wszechwag, zajmującego najwygodniejszy zakątek autobusu. Coś grzecznie, ale stanowczo mu tłumaczył. W rezultacie wielkolud, wyraźnie niezadowolony, zwolnił miejscówkę, byśmy my mogli zająć wygodniejszą pozycję. Do dziś nie wiemy, kim był Timur i dlaczego nam pomagał. Nie mamy pojęcia, co znaczyły niezrozumiałe zaklęcia otwierające po kolei wszystkie bramy i zjednujące nam ludzi. W zasadzie to nic nie zrozumieliśmy z tej sytuacji, daliśmy się prowadzić... aż nagle Timur pożegnał się i zniknął. Tak po prostu, roztopił się w tłumie „jednakowych” Mongołów.

Mimo tak wspianiałych przeżyć czuliśmy się już bardzo zmęczeni Mongolią. Byłem brudny i głodny. Miałem dość baraniny i placków. Chciałem zjeść coś dobrego. Przyszedł czas, by wyruszyć do Chin.

Granice zaufania

Gdy po dwóch tygodniach konnej włóczęgi wróciliśmy ze stepu, czekała na nas miła niespodzianka – chińskie wizy.

I dopiero teraz mieliśmy kłopot, ponieważ kupienie w Ułan Bator biletu kolejowego do Chin graniczyło wręcz z cudem. Szczęściem, specjalistkami od cudów i załatwienia rzeczy niemożliwych okazały się nasze mongolskie szamanki, gospo-ldynie guesthousu. Kiedy my jeździliśmy po stepie, one załatwiły wizy, a teraz pomogły w kupnie biletów.

Na jakiej zasadzie decydowaliśmy wówczas, kogo można obdarzyć zaufaniem? Na świecie jest tak wielu podstępnych ludzi, słyszeliśmy tyle historii o niebezpieczeństwach, o zasadzkach na turystów. Kiedyś pewien niemiecki profesor, podróżujący po świecie od kilkadziesiąt lat, opowiadał nam o swoich doświadczeniach. Otóż pewnego razu poznał na Filipinach doskonale mówiącą po angielsku parę, oboje mieli około czterdziestki. Szybko się zaprzyjaźnili i dalej jechali razem. W trójkę było weselej i łatwiej, taniej wychodziły taksówki i noclegi. Pewnego ranka obudził się z ciężarem na sercu. Czuł, że tej nocy spał niezwykle mocno. Naprawdę jednak jego sen trwał o wiele dłużej. Nowi przyjaciele, polujący na

naiwnych turystów, dosypali mu narkotyku do napoju i zgarnęli cały dobytek. Nie miał grosza, nie miał karty kredytowej, a do ambasady było daleko.

W świecie backpackersów nie ma jednak miejsca na dystans. Trzymając go, tracimy to, co podróże mogą dać najcenniejszego – kontakt z innymi ludźmi. W debiutanckiej wyprawie ufaliśmy ludziom bezgranicznie. Pierwszymi, którzy zawiedli, okazali się nasi znajomi z Europy – rodak Bolek i Mongoł Niambat. A tu zupełnie obcym powierzyliśmy na przechowanie paszporty, pieniądze i nic się nie stało. Dziesiątki razy instynkt i los skutecznie chroniły nas przed złem. Codziennie poznawaliśmy dziesiątki nowych ludzi, byliśmy naładowani pozytywną energią, przyjaźnie nastawieni i uśmiechnięci... Musieliśmy być jednak szczególnie czujni, aby ktoś nie wykorzystał naszej naiwności i nie odebrał nam poczucia bezpieczeństwa, a wraz z nim beztroskiej radości podróżowania.

Moim największym problemem było zawsze łączenie luzu i codziennej miłości do świata ze strachem przed złem. Kiedy zbyt mocno odpuszczałem, pakowałem się w kłopoty, kiedy czuwałem nad wydarzeniami, traciłem lekkość bytu. Do dzisiaj oscyluję między tymi dwiema skrajnościami i rzadko udaje mi się trafić w środek. Wtedy na szczęście było nas dwóch, wystarczyło więc wymieniać się rolami, aby wiele zobaczyć i nie dostać w łeb.

Dyplomatyczna podróż do Chin

Mieliśmy więc już bilety to Chin. Kiedyś słowo „Mongolia” brzmiało dla mnie egzotycznie, ale już ją poznaliśmy i mimo wszystkich perturbacji wydawała się nadzwyczaj swojska. Egzotyczne miały być Chiny. Znowu znajomy dworzec, tylko pociąg zupełnie niepodobny do wypchanego towarami i biznesmenami „przemysłownika”, którym przyjechaliśmy. Miejsca zajęliśmy bez walki, ułożyliśmy plecaki i... stanęliśmy oniemiała, kiedy zobaczyliśmy naszych współpasażerów. Na peronie, tuż pod oknem, odbywało się wzruszające pożegnanie licznej rodziny i przyjaciół dwojga starszy państwa. Zebrani tłumnie Mongołowie, co najmniej pół setki ludzi, śpiewali, polewali wodą koła wagonu, częstowali starszego pana wódką i jedzeniem, podawali mu do potrzymania dzieci, pstrykali zdjęcia. Jedni płakali, drudzy krzyczeli, inni z niekłamanym szacunkiem patrzyli w milczeniu. Gdy pociąg ruszył, peron oszalał. Niektórzy do ostatniego tchu biegli równoległe z wagonem, inni kiwając dłońmi, niknęli w oddali. Po kilku kilometrach przy torach gwałtownie zatrzymał się samochód, pasażerowie wysiedli i z wielką ekspresją pozdrawiali naszego sąsiada z przedziału. Byliśmy zauroczeni tym widowiskiem, a to przecież było tylko serdeczne pożegnanie w stylu mongolskim.

Trzeba dodać, że oprócz stosu ciuchów, również żarcia zabraliśmy z Polski bez umiaru, i zaraz po powrocie z mongolskiego stepu do guesthousu, urządziliśmy wyżerkę z kompozycji krajowych produktów. Kuba zmieszał wszystko, wrzucił fasolę, ryż i jakąś konserwę, dorzucił proszku z gorącego kubka i czymś to doprawił. Nasze gospodynie były zachwycone i pytały o przepis. Teraz jednak, w drodze do Chin, już się nam nie przelewało. I dobrze, gdyż współtowarzysze podróży mieli zapasy wystarczające na wyprawę do samego Nowego Jorku. I to w karawanie. A to była Azja, nie cywilizowana Europa skąpców i wszyscy się wszystkim dzielili. Zajadaliśmy się więc smakołykami, wspaniałymi plackami z mięsem i ogórkami masowo importowanymi do Mongolii od braci Urbanków z Łowicza. Serdecznym, mongolskim zwyczajem karmili nas dotąd, aż nie rzuciliśmy się na kolana błagając: „Dość!”.

Plac Niebiańskiego Pokoju

W Pekinie, zanim cokolwiek zdążyliśmy pomyśleć, taksówkarze obsiedli nas jak muchy... i już chcieli wieźć za dziesięć dolców, chociaż jeszcze nie wiedzieli dokąd. Dziesięć dolarów stanowiło tu chyba wówczas granicę ich wyobraźni, a akurat tego dnia wszyscy naraz postanowili stać się bogaci. Nie wiedzieli, że dwaj studenci uczelni ekonomicznej konsekwentnie realizują program naukowy: jeżeli coś kosztuje więcej niż trzy dolary, należy poszukać tańszej okazji. I raczej poszlibyśmy na piechotę, niż trzykrotnie przepłacili. Często koczowaliśmy na

dworcach, plażach, a nawet w ruinach domów, nigdy jednakże nie przepłacaliśmy. Więc i tym razem taksówką za trzy dolary dotarliśmy do hotelu, również za trzy dolary. Co prawda pokój który dostaliśmy i wydawał nam się duży, zmniejszył się znacząco, kiedy okazało się że oprócz nas mieszka w nim jeszcze wielu Chińczyków.

Następnego dnia, bardziej z poczucia obowiązku niż z potrzeby zwiedzania zajrzeliśmy na Plac Niebiańskiego Pokoju, gdzie milicja kilkakrotnie, w sposób nie tyle brutalny co zdecydowany, rozpędzała nasz „trzyosobowy tłum”.

W Pekinie bowiem można się gromadzić, gdzie się chce, ale nie na Placu Niebiańskiego Spokoju, gdzie powinien panować spokój iście niebiański. Wieczorem chcieliśmy zajrzeć do Zakazanego Miasta, ale bramy były już zamknięte. Na pustym już placu Tian'anmen spotkaliśmy się z Q. W miejscu, gdzie na nas czekała, wyłożył się właśnie z całym kramem lodziarz, a tłum ludzi zbierał z ziemi, co się dało. Wszędzie było żółto od lodów. I już po chwili przybiegli żołnierze, bo wydarzyło się coś niespodziewanego, niezaplanowanego...

Koneserzy sztuki

Gdy dołączyła do nas Q, we trójkę zanurzyliśmy się w ludzkim oceanie. Poza szlakami turystycznymi nigdzie nie widać europejskiej twarzy. Wieczorem, ze skośnookiego tłumu wyłowiła nas para młodych przemiłych Chińczyków.

Mówili bardzo ładnie po angielsku, co było dla nas pewną ulgą. Byli studentami na praktykach i chcieli pokazać nam swoje obrazy, a także dzieła swych mistrzów. A przynajmniej tak głosiła opowiadana przez nich historia. Nie mieliśmy planów, więc postanowiliśmy im towarzyszyć. Odeszliśmy od głównej ulicy, drepcząc wąskimi, coraz ciemniejszymi ścieżkami. Wreszcie weszliśmy do galerii, dwóch niewielkich sal wypełnionych malowidłami na papirusach. Dziewczyna opowiadała fantastyczne historie, tłumacząc znaczenie pieczęci na obrazach, wyjaśniała zapisane na obrzeżach malowideł legendy. Mówiła o chińskich duchach strzegących ludzi, o symbolice kwiatów, aż w końcu zapytała, które obrazy nam się podobają.

W tym czasie mistrz malował na papirusie znaki oznaczające przyjaźń i podarował nam je w prezencie. Był to jakoby niezwykle gest z jego strony. Wspaniały nastrój trwał nadal, ale już zajarzyliśmy, co jest grane. Piliśmy powoli herbatę, jak się później okazało, myśląc o tym samym – czy nie jest doprawiona środkami nasennymi. Dostaliśmy studencką zniżkę. Gospodarze zapewniali, że takich obrazów nigdzie indziej nie znajdziemy. Gdy przyszło do pożegnania, mimo obietnicy powrotu i wykupienia pół galerii, atmosfera robiła się coraz gęstsza. Na pożegnanie zaprowadzili nas do jednej z małych knajpek. Byli nawet gotowi zapłacić, ale na wszelki wypadek to my zafundowaliśmy kolację, po czym szybko się zmyśliśmy. Wspaniali ludzie, świetna atmosfera, a chodziło jedynie o twoją kieszeń bez dna, szczęśliwy Europejczyku. Nigdy wcześniej nie mieliśmy okazji jeździć po świecie turystycznym. Nie braliśmy udziału w zorganizowanych wycieczkach i polowania na turystów były dla nas zaskoczeniem. Tylko my wiedzieliśmy, że nie mamy kasy. Dla chińczyków biała twarz oznaczała, że jednak kasę mamy. Aby nie wchodzić w konflikt tej sprzeczności, staraliśmy się poruszać jak najdalej od typowych turystycznych szlaków, z nadzieją, że takie spotkania się nie powtórzą.

Świtem w parku

Szukaliśmy miejsc w których dzieje się coś prawdziwego. O świcie znaleźliśmy się w parku, wśród miliona Chińczyków uprawiających tai chi. Weszliśmy tam o szóstej, jako jedni z pierwszych. Jednak w Chinach być pierwszym w czymkolwiek, jest w zasadzie nie możliwe. Z każdą minutą przybywało porannych gości, przeważnie osób starszych. Szli niespiesznie. Acz siwy, skurczony staruszek dreptał nadzwyczaj żwawo nad brzegiem parkowego stawu. Wtem stanął, odwrócił się twarzą do jeziora i wydał przeraźliwy, przeciągły krzyk, który odbił się od tafli wody. Wykonał wydech, skulił się z powrotem i począł przed siebie. Początkowo odnosiliśmy wrażenie, że każdy z tych ludzi wykonywał ćwiczenia niezależnie od innych. A jednak – grający w badminton, gimnastykujący się w wieloosobowej grupie, malujący wodnym pędzlem chińskie litery na betonie – każdy z nich, cokolwiek by robił, poruszał się wraz z innymi, w rytm tej

samej niesłyszalnej muzyki, będąc częścią ludzkiej fali unoszonej siłą kilku tysięcy lat tradycji. Cały park zdawał się być lasem starych ciał, które poruszane wiatrem kołysały się delikatnie, w spokoju i harmonii. Dwóch starszych panów rzucało dętką rowerową. Stali od siebie tak daleko, że przy każdym rzucie musieli użyć maksymalnej siły, by dętka doleciała do partnera. Chociaż ich ruchy wydawały się chaotyczne i zabawne, widać było nieznaną w naszych zabawach zaangażowanie i koncentrację. W chwili rzutu zdawały się istnieć dla nich tylko dętki. Pozornie błahe ćwiczenie stanowiło wytężoną, ale też i rozluźniającą gimnastykę. Za bramami samochodu, wieżowce, fabryki, nad głowami smog zasłania niebo, ale wewnątrz parku panowała atmosfera izolacji od świata i refleksji nad sensem istnienia.

Wielkie żarcie

Wieczorem nad rzeką rozbrzmiewała muzyka bębnów i chińskiego tanga. Ludzie tańczyli taniec smoka i towarzyski taniec w parach przypominający tai chi. Wszystko odbywało się w tym samym, niezwykłym klimacie, w harmonii i spokoju co poranne zajęcia w parku.

Nieco luźniej było w niezliczonych chińskich knajpkach. W przytulnych wnętrzach nie odnosiliśmy wrażenia obecności całego miliona ludzi jednocześnie. Prawdopodobnie chodziliśmy do nich w odpowiedniej porze. Później zauważyliśmy że mini restauracje pękały w szwach w godzinach ciekawych programów telewizyjnych, kiedy całe rodziny przychodziły połączyć przyjemne z pożytecznym, czyli oglądanie telewizji i kolacją. Chiny zapamiętałem jako region orgii kulinarnych, nieustającego wielkiego żarcia. Co prawda przyjechaliśmy nieco wygłodniali bo skończyły nam się polskie zupki i konserwy, ale nie w tym rzecz. Nie mogąc się nasycić, kolejnymi smakami, zapachami, wędrowaliśmy od knajpki do knajpki. Różnorodność oferty oszałamiała. Przy naszych skromnych budżetach nie mogliśmy ani się najeść do syta, ani wypełnić fantastycznymi smakami. Spędzaliśmy w knajpkach tak dużo czasu, że siłą rzeczy wypracowaliśmy pewien ceremoniał naszych wizyt.

Grę wstępną rozpoczynaliśmy podczas zamawiania dań. W Mongolii dostałem od pewnego Szweda słowniczek, w którym nazwy potraw napisane były chińskimi znakami. Potrafiliśmy się więc dowiedzieć, ile co kosztowało i werbalnie zamówić piwo. Na początku stosowaliśmy metodę prawej ręki – zasłaniasz ceny i jesz, co chcesz. Gdy Kuba zdał sobie sprawę, jak szybko wydajemy pieniądze, osiągnął wysoki stan psychozy finansowej, dlatego przenieśliśmy się na metodę ręki lewej – zasłaniasz dania i jesz to, co najtańsze, nawet jeśli ma to być... Strach pomyśleć.

Po powrocie nieustannie pytano nas, czy jedliśmy psy? Nie wiem. Chyba nie. Na ulicach Pekinu psów nie ma, co nie znaczy, że zostały zjedzone. W jednym zaułku wieczorem napotkaliśmy panie przechadzające się z maleńkimi, wyjątkowo kudłatymi szicami. Aristokrata zdecydowanie nie sprawiał wrażenia schabowego na sznurku. Należał do starej, zasłużonej na cesarskim dworze rasy, gdzie jego przodkowie ogrzewali stopy władcom i ich urzędnikom. Nie mam wątpliwości, że gdyby Chińczycy robili mielony z psa, to zmielili by go razem z budą i łańcuchem. Ryż z kurą, oznaczał w wielu miejscach dosłownie „ryż z kurą”. Kura to także pazury, i głowa, na szczęście nie pióra.

Znów there are no tickets

Wyjazd z Pekinu dokądkolwiek nie był rzeczą prostą, więc po kolejnych perypetiach, ruszając „na skrót”, wybraliśmy na naszej mapie miasto Harbin. Harbin został założony na przełomie XIX – XX wieku przed Polaka – Adama Szydłowskiego. Wówczas jednak ani o tym nie wiedzieliśmy, ani nas to nie obchodziło. Wybraliśmy Harbin, bo do miast do których chcieliśmy jechać nie było biletów. Jak się nie ma co się lubi, to się lubi co się ma. Bardziej martwiło nas, że w tym samym czasie przynajmniej miliard ludzi postanowił opuścić stolicę pociągiem. Skala tłumy w Azji nie jest porównywalna z czymkolwiek znanym nam w Europie. Kolejki w Chinach nie miały tak jak u nas kształtu węża. Kasę atakował wielogłowy smok. Wijący się, krwiożerczy potwór wyciągał wiele par łbów (rąk) jednocześnie i wciskał je w okienko, wykrzykując coś, czego nie dało się ani zapisać, ani

przeliterować. Najpierw nauczyliśmy się więc poprawnej nazwy miejscowości docelowej, wiedząc, że najmniejsze zachwianie dźwięku czy niedokładne zaakcentowanie może znaczyć coś zupełnie innego i zapewnić nam bilety, ale w przeciwnym kierunku. Kuba występował w zespole Pruszkowiaczy i miał talent muzyczny, ja zaś dawno temu cały kwartał uczyłem się języka chińskiego. Jedno i drugie nie miało w tym przypadku większego znaczenia.

Staliśmy się częścią chińskiego smoka, najpierw ogonem, potem tułowiem, wreszcie jedną z głów i siedmiu paszczy. Kuba, widząc beznadzieję rywalizacji z całym narodem chińskim jednocześnie, z dużą ekspresją starał się wywrzeć wrażenie na Chińczykach i coś tłumaczył. Trochę po polsku, trochę po angielsku, ale przede wszystkim na próżno. Ze zrozumieniem podchodziliśmy do kwestii, że wszyscy tu obecni chcieliśmy wyjechać z miasta, ale my z Kubą jakby bardziej niż inni. Krzyki Kuby miały jednak jeden znaczący efekt. Wszyscy na ułamek sekundy się na niego spojrzeli i to dało mi niepowtarzalną szansę wbić się do okienka.

Wbiłem dłoń zaciśniętą na banknotach w czarny otwór, wrzeszcząc po chińsku nazwę miejscowości i liczbę dwa.

Za chwilę poczułem, jak coś wewnątrz wyrywa mi z ręki pieniądze. Teraz masochistyczna rozkosz oczekiwania... Czy będzie bilet? Jeśli będzie, to dokąd? Czy mój wrzask oznaczał właśnie to, co miał oznaczać? Będę uczył się chińskiego... Mam! Na kartce pełno krzaczków i kilka cyferek, po których rozszyfrowaliśmy godzinę wyjazdu. Żywiliśmy nadzieję że to właściwy bilet.

Kiedy rok później wróciliśmy do Chin, na dodatek z Marcinem, mieliśmy prosty system. Chłopaki przestawiali po kolei małych Chińczyków na bok, ja zaś powoli wciskałem się aż do samego okienka.

Świnka skarbonka

Q, bidulka, jak to Amerykanka, znowu była kompletnie zaskoczona. Wyraźnie słyszała: „There are no tickets!”. A my mieliśmy bilety i jechaliśmy dalej. Cena przejazdu nie zwiastowała dogodnych warunków podróży, więc postanowiliśmy przespać się przed wyjazdem, układając się wśród miliona Chińczyków na ciepłutkich płytkach przed głównym wejściem dworca. Spaliśmy czujnie, bo co chwila ktoś chciał wysepić kasę, a przecież nasze europejskie rysy świadczyły

o tym, że plecaki mamy pełne złota, a sami jesteśmy jak świnki skarbonki, z których na pewno wysypią się pieniądze, jeśli się tylko odpowiednio mocno potrząśnie.

Zakup biletu był jedynie preselekcją, oddzieleniem tych, których na bilet stać, od pozostałych. Nie oznaczał w żadnym przypadku, że wszyscy posiadacze zarobaczonych karteczek pojedą. Przelicznik biletów na liczbę miejsc... Nocny osobowy z Warszawy do Gdańska w pierwszy wakacyjny piątek oferował mniej więcej podobny klimat. Z tą różnicą, że nasza podróż miała potrwać dobę albo i dłużej.

Na szczęście Chińczycy są drobniejsi, więc sporo ich się zmieściło na wąskich siedzeniach, półkach i w toaletach. Ludzie przytulali się do siebie, dociskali, ubijali, by wreszcie zastygnąć na parę godzin niemalże w bezruchu. A w samym środku tego pasztetu tkwiły dziwne stwory: jeden z Ameryki i dwa z Europy. Czy może być większa przyjemność od opuszczenia chińskiego pociągu po dobrej jazdy? Może! Wysiadka z mongolskiego busa po 30 godzinach jazdy! Nigdy więcej...

Hotel na plaży

Kilkumilionowy Harbin przytłaczał ogromem, tym bardziej że nie mieliśmy pomysłu, co dalej – ani gdzie spać, ani jak i dokąd jechać. Kolejny zastój intelektualny objawiający się brakiem koncepcji. Dla bogaczy wszystko byłoby proste, ale my często utykaliśmy ze względu na oszczędzanie i przestrzeganie reguł, które sami ustanowiliśmy. Konwencja – „przemieszczasz się, jesz jak miejscowi i płacisz jak miejscowi” – przynosiła wiele przygód i pozwalała pobierać bezcenne, acz często również bolesne nauki. Choć wielokrotnie „miejscowi” nie zdecydowaliby się spać w takich warunkach jak my. Harbin był naszym przystankiem, nie celem.

Mogliśmy wyjechać już następnego dnia, ale jak na razie musieliśmy gdzieś spać. Nie pamiętam, skąd się dowiedzieliśmy, a może Kuba sam to wymyślił, że można przenocować na plaży. Znaleźliśmy plan miasta i na przystanku pokazywaliśmy ludziom miejsce, do którego chcieliśmy dotrzeć. Ktoś wrzucił nas więc do małego busa i pojechaliśmy nad Songhua Jiang (a może ta rzeka nazywała się jakoś inaczej, bo za cholere nie mogę przypomnieć sobie tych dziwnych nazw). Nad rzeką spróbowałem przekonać właściciela łodzi, żeby nas przewiózł na drugi brzeg. Charon zaś, zamiast poprzestać na symbolicznym obolu, próbował zderzyć z nas skórę. Byliśmy brani za Rosjan, czyli tych innych, których należy skubać.

Po długiej rozmowie przy użyciu wszelkich kombinacji pięciu znanych nam słów i bogatej gestykulacji, wreszcie przeprawiliśmy się wodnym tramwajem za uczciwą według naszych estymacji cenę. I natychmiast natknęliśmy się na kolejny milion Chińczyków wykrzykujących coś i wskazujących na rozbite namioty oraz puste kawałki plaży. Było to z pewnością coś w rodzaju pola namiotowego, jednakże Kuba stwierdził autorytatywnie: „Nie ma tabliczki, więc zapomnijmy o płaceniu”. Nie czuliśmy się w tej sytuacji zbyt bezpiecznie, jednakże Q mająca sto siedemdziesiąt cztery centymetry wzrostu podeszła do sprawy isticie po amerykańsku: „Co oni nam mogą zrobić, przecież są tacy mali.” I miała rację. Chińczycy robili dużo hałasu, ale nie stanowili dla nas zagrożenia.

Uznaliśmy przytulny zakątek plaży za swoje terytorium i rozbiliśmy na nim namiot. Wyglądało to dokładnie tak jakbyśmy rozbili namioty na plaży nad Wisłą, tyle że po rzece pływały wielkie statki handlowe. Następnego dnia wstałem o świcie, żeby pobiegać wzdłuż brzegu. Przede mną widniało wielkie miasto, a nad nim wisiał potworny smog, kontrastujący z idealnie niebieskimi plamkami nieba. Z drugiego brzegu dobiegała muzyka i podobnie jak w Pekinie, widać było grupy ćwiczące tai chi. I nagle stanąłem jak wryty. Korytem potężnej, brudnej rzeki płynęli ludzie. Ludzkie ławice ostrożnie omijane przez wielkie statki docierały z nurtem kilka kilometrów w dół, po czym niespiesznym biegiem wracały do portu. Jakby nie dostrzegali otaczającego syfu i smrodu, jakby byli na Malediwach, wśród palm i delfinów.

Wodne łóżko

Z Harbina do Suifunhe pojechaliśmy autobusem. W pierwszym hotelu oficjalnie nie było miejsc, ale portier natychmiast zaproponował własną cenę i w tej cenie pokój by się znalazł. My jednak mieliśmy swój cennik i niezłomnie wierzyliśmy w uśmiech losu. Postanowiliśmy szukać dalej, choć nasza pozycja negocjacyjna osłabiała się z godziny na godzinę.

W kolejnym hotelu miejsc oczywiście nie było. Ale po chwili się znalazły, znowu niechęć... Dostaliśmy trzyosobowy pokój za 10 dolarów. Niech będzie. Wdrapaliśmy się na czwarte piętro. Po drodze na korytarzu dziewczyny zaproponowały nam „masaż”, więc od razu wiedzieliśmy że jesteśmy w pięciogwiazdkowym, chińskim SPA. Wreszcie dobiliśmy do pokoju numer 412 z napisem po rosyjsku „łóżko wodne”. W środku rozwalony kibel i syf, ale było obiecane łóżko wodne, a na dodatek jedyna w całym bajzlu sauna. Rewelacja. Zmęczeni i brudni po miesiącu w stepach Mongolii spędziliśmy na zmianę po pół godziny w saunie i po dwie minuty pod lodowatym prysznicem. Po raz pierwszy od miesiąca mieliśmy własny pokój z toaletą! Nie mogliśmy się też nacieszyć sauną, której działanie wzmocniliśmy dużą ilością piwa wynegocjowanego od portierów w ramach ceny za pokój przez geniusza marketingu – Kubę. I padliśmy ze zmęczenia.

Suifunhe

W pogranicznym Suifunhe znalazłem rano restauracyjkę i umówiłem się, że wieczorem przyjdę do niej ze znajomymi. Nie byłem przekonany, czy mnie zrozumieli, ale kiedy pojawiliśmy się we trójkę, wszyscy na nasz widok krzyczeli z radości. Ściągnęli nawet Chińczyka

mówiącego po rosyjsku, który, zobaczywszy mój paszport, nie chciał wierzyć, że nie jestem Rosjaninem, jakoś obecność innych narodowości wydawała się w tym miejscu mało prawdopodobna. Pomógł nam przetłumaczyć nazwy paru dań i zniknął. W jego miejsce pojawił się mały, śmieszny tłuścioszek, syn przemiętej właścicielki. Q na kartce rysowała, co chcemy zjeść, a mały przenosił znaczenie rysunku na gesty. Przez dobry kwadrans wszyscy

naśladowali kaczki i ryby, ale na szczęście nie usłyszeliśmy szczekania psa... Małemu mimowi najtrudniej wychodziło naśladowanie makaronu. Gdy zrobił się zbyt natrętny, wstałem i dałem do zrozumienia, że prosimy o przyrządzenie właśnie jego. Na to nikt się nie zgodził. Kobieta przyniosła nam jeszcze arbuza, do tego wspaniałe sałatki i nie chciała za nie pieniędzy, a nadto zaniżyła poprzedni rachunek. Korzystając z atmosfery, uczyłem się tam zasad chińskich szachów – madżonga. Rozegrałem kilka partii i nawet raz, ku niezadowoleniu przeciwnika, udało mi się wygrać.

Mieliśmy też niezły ubaw z Q, która postrzegała świat nie tylko odmiennie od miejscowej ludności, ale także odmiennie od nas. Q miała do tego jedną cechę, która fantastycznie przykuwała uwagę wszystkich, ale to absolutnie wszystkich Chińczyków. Q miała wielkie stopy. Na tych stopach nosiła wielkie traperskie buty. Jej stopy budziły podziw, a może śmiech, ale na pewno coś budziły, bo przechodnie nie mogli oderwać od tych stóp wzroku. Któregoś ranka robiliśmy z Q zakupy i kult jej nóg – gigantów wprowadził takie zamieszanie, że dopiero gdy dotarliśmy do hotelu uświadomiliśmy sobie, że za zakupy na kolejny tydzień podróży nie zapłaciliśmy ani grosza. Ekspedientki i właściciel byli tak zajęci dyskusją o stopach że w ogóle nie zauważyli, że opuszczamy sklep nie płacąc. Q czuła się osaczona i szła pewnym krokiem, byle szybciej do wyjścia, a potem do hotelu. Pewnie wróciliśmy oddać kasę, ale szczerze, to dziś już tego nie pamiętam. Do licha z Wielkim Murem i Zakazanym Miastem, gdy się jest wśród tak życzliwych i radosnych ludzi. Sam kontakt z otaczającym nas światem był znacznie ważniejszy niż zwiedzanie zabytków. Cóż jednak, byliśmy w drodze, więc pora na nas.

Koreańskie karaoke

Wyjeżdżając, wiedziałem, że z całą pewnością wrócę do Chin. Zdawałem sobie sprawę, że niczego nie zobaczyliśmy i niczego nie doświadczyliśmy, biorąc pod uwagę rozmiary i różnorodność tego giganta. A przed nami znowu była Rosja.

I znowu, po zawiłych kombinacjach wygraliśmy los na loterii, bo udało nam się przekroczyć granicę mając w paszportach wbite te same, od początku nieważne pieczętki AB. Dzisiaj nie rozumiem dlaczego pozwalano nam przekraczać granice w oparciu o śmiesznie wyglądający stempelek.

Jechaliśmy kolejnym pociągiem i przez powybijane szyby do środka padał deszcz. Z okna ujrzeliśmy jezioro, wysiedliśmy więc, żeby się wykąpać. Z góry woda, z dołu woda. Co za różnica. Dzięki kąpieli nieco czystszy dotarliśmy do Nahodki. Tam poszliśmy coś zjeść i niechcący, naprawdę zupełnie niechcący, trafiliśmy na karaoke. Jedliśmy więc

i śpiewaliśmy. Kubie nieźle szło, ale jakiś romantyczny Rosjanin kazał mu śpiewać kolejne przeboje, rosyjskie oczywiście. Kuba nie znał ani jednego, więc nie śpiewał. Facet nie dawał za wygraną i męczył go, żeby śpiewał. W końcu sam coś zajęczał pod nosem, ale ewidentnie było mu smutno i szukał jakiejś rozrywki. Szczęściem sytuacja się zmieniła, kiedy weszło dwóch Koreańczyków z pięknymi Rosjankami. Dziewczyny bardziej zainteresowały się nami (oczywiście) niż swoimi towarzyszami, ci zaś zapamiętali walczyli z karaoke. Nie wiem, jakim cudem, ale kiedy nam udało się zaśpiewać angielski przebój z maksymalną zgodnością 50 procent, Koreańczycy oscylowali między 97–98 procent, a nam się wydawało, że kwiczeli niczym zarzynane wieprze. Obaj śpiewali altem. Niespodziewanie w trakcie zabawy zaproponowali nam nocleg. Dość mieliśmy jednakże kłopotów, więc poszliśmy na lotnisko, gdzie w miarę wygodnie można było się przekimnąć na podłodze. Tu nikt nas nie kopał i nie przeganiał, co w ostatnim czasie, było pewną odmianą. Wreszcie jakieś bezpieczne miejsce.

Władystok

Do Władystoku dotarliśmy nocą. Chcieliśmy przejść się po mieście, poczuć atmosferę miasta i poszukać noclegu, ale wszyscy współpodróżni wręcz zabraniali nam wychodzenia przed świtem z hali dworca. Posłusznie zostaliśmy. Koczowanie w niewygodnych plastikowych fotelach poczekalni byłoby jeszcze do zniesienia, gdyby nie dołował nas wielki, stary milicjant prowadzący się z dworcowymi dziwkami. Bydlak czerpał szczególną przyjemność ze znęcania się nad zalegającymi wokół nas bezdomnymi. Dostawało się i pasażerom, szczególnie śpiącym w innej pozycji niż regulaminowa – siedząca. Do bandy glińiarza należała z pewnością również baba, która pośrodku nocy przepędziła zaspany motłoch i zaczęła sprzątać. Nie wierzyłem własnym oczom, gdy o trzeciej nad ranem rozdarła się w poczekalni pełnej ludzi: „Wyłazić, bo będę sprzątać!”. Co za naród? Ludziska pokornie wstali i bez słowa wyszli. Tłoczyliśmy się w sąsiednim pomieszczeniu, aż wiedźma zakończyła szorowanie podłogi. Nikt nie narzekał, nie komentował. Wszyscy pokornie słuchali się rozkazów lokalnej „władzy”. Mieliśmy wrażenie jakby naczelnik i sprzątaczką opanowali wolną wolę wszystkich zgromadzonych. To była Rosja. Kraj zniewolonych umysłów. Obserwowaliśmy te sytuacje ze zgrozą czekając świtu.

Z Ruskimi po Morzu Japońskim

Tego dnia do południa meandrowaliśmy w okolicach portu. Czuję, że mnie nosi. Nie wiem skąd i dlaczego, powiedziałem nagle do Kuby: „Idę pożeglować na Morzu Japońskim. Pewnie wrócę dopiero jutro”. A Kuba odrzekł tak zupełnie normalnie: „A ja idę do banku wymienić pieniądze”. Byliśmy ze sobą nieustannie od prawie dwóch miesięcy, przesyleni wzajemną obecnością. I każdy poszedł w swoją stronę.

W porcie było pusto. W deszcz, zimno i wietrzysko wiejące w okolicach dojrzałej piątki nikt przecież nie wypływa żaglowcem w morze. A jednak, przy balastowym jolu mogącym nieść na oko około siedemdziesięciu metrów żagla kręciło się czterech mężczyzn. Jacht robił równie dobre wrażenie jak załoga. Zapytałem, czy mogę wejść na keję. Oczywiście się zgodzili. Nie wiem, skąd to przeświadczenie, ale byłem pewny, że popłynę z nimi. Może po prostu dlatego, że tak bardzo chciałem? Język żeglarski związał nas szybciej niż rosyjski. Powiedziałem parę zdań o swoich rejsach na „Zawiszy Czarnym” i pomniejszych łódkach oraz o tym, że żeglowanie po Morzu Japońskim byłoby dla mnie wielkim wydarzeniem. „A to dobrze się składa, bo właśnie wypływamy”, zaprosili, jak to Rosjanie, tak po prostu.

Popędziłem do kapitanatu, rzuciłem się na telefon. Przecież miałem nasze klucze do pokoju hotelowego. Czort pobier! Deszcz zmył mi z ręki ostatnią cyfrę numeru telefonicznego. Zacząłem wykręcać kolejno numery, rozważając, czy jestem gotów zostawić Kubę i Q na lodzie. Kuba by zwariował, gdybym nagle zaginął. Szukałby wszędzie. Nie mogłem mu tego zrobić. Są zasady. Z drugiej strony, za żadne skarby nie zamierzałem zrezygnować z takiej okazji. Mijał czas, załoga chciała wychodzić z portu, tylko ja ich wstrzymywałem. I nagle cud! Na horyzoncie ujrziałem Kubę! Pobiegłem do niego, oddałem klucze, mówiłem coś jak w gorączce: „Wrócę za jakiś czas, chyba jutro...”

Wyszliśmy ostrożnie, z dwoma refami na grocie, mimo to łódka kładła się w przechyle. Dima spokojnie prowadził jacht ostrymi halsami. Roboty przy zrefowanym grocie i rozszarpywanym wiatrem foków wystarczało dla całej piątki. Deszcz powoli ustawał, robiło się pięknie, tylko wiatr nie folgował. Jura, najmłodszy załogant, przeniósł się do kokpitu i przygotowywał sałatkę. Przecież to niemożliwe, żeby w takich warunkach pracować w kuchni. Okazało się, że jednak możliwe. Gdy przyzwyczailiśmy się do przechyłu i bujania rozpoczęliśmy rytualne picie rosyjskiej wódki, które trwało konsekwentnie do kolejnego ranka. Picie wydawało się być tak samo istotne jak ruszanie sterem czy stawianie żagli. Wybuchnąłem śmiechem, przypominając sobie rosyjską komedię: „Osobiennosti narodnoj rybałki”. Film opowiadał o grupie przyjaciół, żołnierzy, którzy małym okrętem podwodnym wyruszyli na wakacje na daczę. Zabrali ze sobą 16 kartonów wódki.

U celu, totalnie spici, nawet nie zwracali uwagi, że nikt wokół nich nie mówi po rosyjsku. Wreszcie zorientowali się, że wylądowali w Finlandii. Zapakowali więc manatki i w nogi. Niestety, w pośpiechu zapomnieli kartonów z

gorzałą, więc m-usieli wrócić. I cały czas chłali tę wodę w niewyobrażalnych ilościach.

Na rozkaz skauta

Wróćmy jednakże do naszego rejsu. Co chwila z kokpitu wysuwała się drobna ręka chłopca podająca na zmianę kieliszki lub pomidorki. Czynił to dość regularnie, bez zbędnych przerw. Płynęliśmy tak kilka godzin, nie tracąc z oczu brzegu. Wreszcie dobiliśmy do wyspy, niegdyś carskiej twierdzy, z ocalałymi fragmentami wspaniałych umocnień.

W pobliżu stały jeszcze dwa szkolne okręty marynarki wojennej. Rozpaliliśmy ognisko i urządziliśmy biesiadę, z wielką ilością pieczonych kurczaków i sztormowej sałatki przyrządzonej przez Jurę. Ognisko tak ogromne, że nie ma mowy o skakaniu, chyba że o tyczce. Na żarze rozstawili garnki i patelnie – będzie pyszna kolacja. Rozmawialiśmy o życiu, o tysiącach spraw... Rosja to niezwykły kraj, bezwzględny wobec obcych, szczerzy wobec przyjaciół. Cudownie było w takim miejscu należeć do tych drugich.

Tego wieczoru nadzwyczaj dobrze mówiłem po rosyjsku, choć niespecjalnie pamiętam co. Byliśmy bardzo rozbawieni, gdy nadeszli pilnujący ładu na wyspie skauci. Zawzięte dzieciaki kategorycznie zabroniły śmiecenia. Mówiły to oczywiście tak, jakby wyspa i cały Władywostok były w ich władaniu. Poczułem się jak w książce 1984 rok, gdzie dzieci oskarżały o zdradę swoich rodziców i stawiały ich przed sądem, skazując na śmierć. Kiedy grzecznie sprzątałyśmy, chłopaki śmiali się serdecznie, bo dwóch z nich było policjantami, a reszta żołnierzami, zaś małych skautów mogliby udusić na miejscu i dorzucić do sałatki.

Było późno, a może i wcześniej, gdy znów postawiliśmy żagle. Nagle, jakby nikt z nas nigdy nie pił kropli alkoholu, zabraliśmy się do roboty. Muszę przyznać, że byli wytrawnymi żeglarzami – poszło z pół kartonu wódki, a oni, jakby nigdy nic robili swoje. Pośrodku nocy, gnani półwiatrem, wracaliśmy do portu niemal jednym kursem. Rankiem, gdy wychodziłem, cała czwórka słodko jeszcze spała. Dobudzenie ich, żeby podziękować, było nierealne. Skreśliłem jedynie na kartce kilka ciepłych słów, polski adres i prośbę o kontakt.

Do Listwianki, nad Bajkał

Ponownie dołączyłem do Kuby i Q. Z lotniska pojechaliśmy prosto na dworzec, gdzie oczywiście na dzisiaj ani na dzień następny nie było biletów. O biletach niższej klasy w ogóle mogliśmy zapomnieć. Szukaliśmy więc innego połączenia – może przez Kazachstan? Jeśli nie można było pojechać tam gdzie chcieliśmy, to pojechaliśmy tam gdzie się dało. Wsiadliśmy w autobus i ruszyliśmy do Irkucka, a stamtąd do Listwianki, nad Bajkał. A tam wysiedliśmy na nie właściwym przystanku, więc musieliśmy jeszcze drałować ze cztery kilosy. Próbowaliśmy zatrzymać samochód. Kolesi mijali nas chyba z pięć razy w obie strony, aż w końcu zahamował. Wczasowicz nie mógł się zdecydować, czy chce zarobić dolara, czy nie. Oczywiście trzeba było stargować z dziesięciu dolarów, bo za wysoko nas ocenił.

Znaleźliśmy hotel. Q jednakże, żeby wjechać do Rosji, musiała kupić wizę i voucher zobowiązujący do spędzenia czterech nocy w jakiejś gostinicy (hotelu), za który z góry musiała zapłacić. W Moskwie przyjemność kosztowała 46 dolarów, więc znaleźliśmy najtańszy w Listwiance, po 24 dolary za noc, i dziewczyna musiała się tam zarejestrować. To był kolejny absurd. Wjeżdżała do Rosji, ale jej pobyt i odwiedzane miejsca były zdeterminowane przez obecność wyznaczonych hoteli Intourista, w których mogła (musiała) się zarejestrować. Aby poznać dokładnie zasady jej pobytu udaliśmy się do biura Inturista. Oprócz ślicznej dziewczyny w okienku cała reszta zionęła beznadzieją. Q nie mogła dostać rejestracji, bo zrobiła rezerwację w innym hotelu i tam musiała spać. Cały legalny system, do którego usiłowała się dostosować, był tak zorganizowany, żeby wydoić

głupiego amerykańskiego turystę do końca i sprawić, że przynajmniej połowę czasu, jaki spędzimy w Rosji, poświęci się na zwiedzanie komisariatów policji i oddziałów miejscowych służb różnego rodzaju.

W hotelu zaferowano pomoc, za którą Amerykanka słono zapłaciła, tylko dlatego że była Amerykanką. W dodatku musiała jechać z powrotem do Irkucka i tam znaleźć firmę, która za 15 dolarów wlepi tę nieodzowną do istnienia na gościnnej ziemi pieczętkę. Rosyjski system wzajemnego wsparcia w obronie przed ubóstwem działał bez zarzutu – kto był przy kurku, do tego sphywała kasa zdezorientowanych turystów. Na każdym kroku było „coś” do opłacenia. Można było wszystko olać, tak jak my to robiliśmy, jednakże, gdyby Q wpadła, skasowaliby, ile im fantazja podpowie albo wsadzili ją do pudła. Woleliśmy oszczędzić dziewczynie takich atrakcji, tym bardziej że astronomiczne dla nas ceny, zdawały się nie robić na niej aż takiego wrażenia. Rosyjskie urzędasy, od czasów carów plaga tego wspaniałego kraju, głęboko zapuścili korzenie, przez trzy ćwierci wieku władzy radzieckiej.

Do domu!

Bajkał zrobił na nas ogromne wrażenie. Przesiedzieliśmy nad wielkim jeziorem kilka dni, jedząc smaczne ryby sprzedawane w kartonach po produktach polskiej Polleny. Nie zapomnieliśmy też o kąpieli w jego wodach, osiagających maksymalnie pięć stopni ciepła. Skóra siniała z zimna. Do tego nocleg na szczycie góry, nad miastem, skąd obserwowaliśmy zachód słońca. Rybacy w absolutnej ciszy wypływali na nocny połów. Ogromna, czerwona tarcza sphywała majestatycznie, gdzieś hen, pod horyzontem, do najgłębszego jeziora świata.

Nadszedł czas kiedy zaczęliśmy myśleć o powrocie do domu. Najkrótsza droga to Transsyber z Irkucka. Dowiedziałem się od przypadkowego przechodnia, że do Irkucka kursuje „rakieta” – wodolot. Podobno na niektórych przystankach trzeba mieć własny ponton, bo wodolot nie podpływa do brzegu, żeby nie tracić czasu. Czekaliśmy pół godziny i rzeczywiście, pojawiła się „rakieta”. Z pokładu, jak zwykle, krzyczeli, żeby nie wsiadać, bo nie ma już miejsc. Zapakowaliśmy się oczywiście wraz z innymi i po godzinie byliśmy w Irkucku.

I zaraz „transsyberem” wracaliśmy do domu. Po drodze jeszcze mały przystanek w Moskwie i w Sankt Petersburgu gdzie udało nam się wynająć robotnicze mieszkanie i życie wychodziło nam tak tanio, że zastanawialiśmy się czy jest sens wracać do Polski.

Po naszej stronie granicy rzuciliśmy się na schabowy

z frytkami, który jeszcze nigdy nie smakował tak wspaniale. Najbardziej się dłużył odcinek od polskiej granicy do Warszawy, może dlatego że byliśmy już tak blisko.

Już w domu

Po powrocie pytano nas: „A po co było tłuc się tyle dni brudnym pociągiem, skoro mogliście polecieć samolotem? Po jakiego diabła stwarzać sobie problemy wynikające

z braku pieniędzy? Przecież przyjeżdżając do jakiegoś miasta wystarczyło znaleźć hotel za kilkanaście dolarów (a takich było w bród), wygodnie się w nim ulokować, wieczorkiem skoczyć do knajpki, najlepiej przy głównej ulicy, bo najbezpieczniej”. Oczywiście byliśmy w stanie przeznaczyć na naszą wycieczkę znacznie więcej pieniędzy i tym samym oszczędzić sobie stresów związanych z szukaniem możliwie tanich noclegów, środków transportu, jedzenia. Jednak nie ze skąpstwa tak mocno trzymaliśmy się swoich zasad. Kierowała nami chęć poznania granic, codzienne stawianie sobie trudnych celów negocjacyjnych, wyszukiwania najtańszych rozwiązań, bo właśnie takie działanie przynosiło nam kolejne przygody i emocje podróży.

Edi Pyrek, opisując sposoby taniego podróżowania, jednocześnie ostrzegał: „Nie targuj się z biedakiem o pół dolara, bo to jest być może dla jego rodziny kwestia obiadu tego dnia”. Nie umieliśmy wówczas znaleźć równowagi. Być może niepotrzebnie targowaliśmy się, kiedy kupowaliśmy placki od babuszek czy negocjowaliśmy ceny

w małych hotelach po trzy dolary za łóżko. Mieliśmy natrętne wrażenie, że ktoś chce nas oszukać. Chcieliśmy jednak płacić tyle co inni, żeby nie obowiązywały nas specjalne ceny dla turystów. Nie chcieliśmy być frajerami.

Pamiętam, jak pewnego razu weszliśmy do restauracji na jednej z głównych ulic Harbina. Od razu zauważono, że nie do końca radzimy sobie z chińskimi nazwami i jeden z kelnerów wpadł na pomysł, żeby nam dać rosyjskie menu (od początku nie traktowano nas jak Rosjan), ale gdy wziąłem je do ręki i rzuciłem okiem na ceny, będące więcej niż dwukrotnością tych pierwszych, natychmiast poprosiłem o zwrot chińskiego. I jak zwykle, za pomocą słowniczka i paru wyćwiczonych gestów, bez problemu zamówiliśmy wybrane dania. A przynajmniej tak nam się wydawało. Tanie podróżowanie było pewnego rodzaju buntem – złościśmy się na ludzi z Zachodu, którzy płacą chore ceny, nie targują się i tym samym sprawiają, że Azjaci uważają turystów za naiwnych głupków. W Azji targowanie jest zwyczajem, elementem codzienności. Ostatecznie samo wyszukiwanie najtańszych rozwiązań było dla nas zabawą i cennym doświadczeniem.

A co zwiedziliśmy? Zwiedzanie nie miało najmniejszego znaczenia. Do Zakazanego Miasta poszliśmy, ponieważ nie mogłbym spojrzeć w oczy mojej mamie i powiedzieć, że byłem tak blisko i nie zobaczyłem. Jednakże to właśnie popularność tych miejsc odstraszała nas od zwiedzania. Staraliśmy się przecierać własne szlaki. Załatwianie spraw w urzędach, kupowanie biletów, szukanie hoteli – to wszystko wypełniało nam czas, narzucało rytm, stało się sensem naszej podróży. Gdy mieliśmy wszystko zorganizowane, zaliczone kilka ciekawych miejsc, nagle nie wiedzieliśmy, co ze sobą zrobić. Nie umieliśmy się jeszcze zrelaksować, oddać miejscu. Często szliśmy pod prąd, bo przecież dopiero uczyliśmy się, co to znaczy być drodze. Szukaliśmy przygody, a przecież prawdziwą przygodę tworzą wydarzenia najmniej oczekiwane. My szukaliśmy przygody, a zatem robienie planów miało się z naszym celem.

Rozdział III

AZJA PORADZIECKA

*Ukraina, Rosja, Kazachstan, Uzbekistan,
w drodze do Tajlandii*

Uwaga, śmiertelnie niebezpieczne!

Na kolejną wyprawę, rok później, ruszyliśmy z zupełnie innym bagażem. Zamiast obaw – beztroska, zamiast puszek z konserwami – „zośka” i frisbee, a nadto, co jest nie bez znaczenia dla wydarzeń, wzięliśmy ze sobą Marcina. Wbiliśmy też, jak za poprzednim razem stempelki AB, które, wbrew temu co myśleliśmy, do niczego nas nie uprawniały. Nasza wyprawa była igraniem z władzami, policją, wojskiem i własnym bezpieczeństwem, i dziś stanowi znakomite studium tego, jak w podróży nigdy nie należy postępować. A jest też przykładem na to, jak dużo można mieć szczęścia, wykazując się na każdym kroku skrajną głupotą. Wypada więc poprzedzić rozdział ostrzeżeniem skierowanym do tych, którzy chcieliby iść w nasze ślady: Uwaga, śmiertelnie niebezpieczne!

Najbliższe morze...

Znowu na wschód. Przez Moskwę już nam się znudziło, więc teraz ruszyliśmy inną drogą, przez Przemysł, Lwów... coraz dalej i dalej. Kolejnego dnia męczarni w pociągach jednogłównie postanowiliśmy wykąpać się w najbliższym morzu. Najbliżej było Morze Azowskie. Kilkusetkilometrowy zawijas w bok w stosunku do planowanej trasy nie miał większego znaczenia. W kasie biletów jak zwykle nie było, więc rozpracowanym już dawno sposobem kupiliśmy trzy bilety do Zaporozża. Na terenie byłego ZSRR powstał, oczywiście nieoficjalny, system sprzedaży biletów. Można je było kupić u niczym nie wyróżniających się osób, które chodziły sobie po dworcu tak, jakby nie miały nic wspólnego z biletami. Pełnili rolę koni, którzy sprzedawali bilety z kasy, tylko drożej, podczas gdy pani w okienku mówiła że się skończyły. Dla nas tym razem się znalazły, bo pani była łasa na komplementy i parę dolarów. Dojechaliśmy do Zaporozża, a potem dalej do Bierdjanska.

Do Bierdjanska dotarliśmy przed południem. Witający nas entuzjastycznie tłum babuszek oferujących kwatiry na wieść, że zostajemy tylko jedną, najwyżej dwie noce, rozplynął się niczym mgła. Szukaliśmy jakiegokolwiek lokum. Jedni nie chcieli w ogóle gadać, drudzy żądali kosmicznych sum za obskurne klitki. Oswoił się już z myślą, że zgodnie z tradycją poprzedniej wyprawy zanocujemy w krzakach, gdy jakiś koleś zaoferował za skromną sumkę tanie spanko i jeszcze podrzucił nas na miejsce. Zamieszkaliśmy na pierwszym piętrze śmierdzącej, brudnej rudery. Gospodyni skrzętnie posprzątała, zmieniła pościel i zrobiło się całkiem sympatycznie. I cóż z tego, że pokój był brzydki, pełno było nim kurzu, a po ścianach łążyły karaluchy?

Czysta plaża

Zrobiliśmy taki szmat drogi na zadupie tylko po to, by zażyć kąpieli. Natychmiast więc wskoczyliśmy w kąpielówki i dostojnym krokiem wyruszyliśmy na plażę. Pluskaliśmy się w ciepłym rosołku Morza Azowskiego, a do tego, Kuba i Marcin, te dwa śmierdzące lenie wymusiły na mnie, żebym się wygrzewał na słoneczku, niczym jakiś turysta. Ale ze znalezieniem miejsca, żeby sobie w spokoju poleżeć na piaseczku, był problem, bo ludzi mrowie, jeden przy drugim, wśród nich też tacy, że strach koło nich przejść. Czyli nasze drechy w miejscowym wydaniu. Tłum kończył się przy ogrodzeniu z drucianej siatki, a za nią rozciągała się puściutka, czyściutka plaża. No to hop na drugą stronę i już smażyliśmy się na słoneczku. I chlup do wody, zdecydowanie cieplejszej od powietrza. I znowu na piaseczek. Rozłożyliśmy ręczniczki i znużeni podróżą usnęliśmy. Obudził nas ryk megafonów. Treści wygłaszanej przez nie przemowy wolałbym nie rozumieć. Jednak rozumiałem doskonale. Uprzejmy pan proponował nam opuszczenie wydzielonej części prywatnej plaży, w zamian zobowiązywał się nie wypuszczać z ręki smyczy, na których szarpały się dwa wielkie, czarne psy. Tata wiele razy opowiadał mi o Związku Radzieckim, ale nie napomknął, że mają tam rottweilery. W sumie układ był fair, więc szybko zmyliśmy się na piwko.

Po powrocie do naszej dziury plecaki zastaliśmy nietknięte, co nas niezmiernie ucieszyło, bo zawsze baliśmy się, czy nas w hotelu nie obrobiją. Ale wówczas to wydarzenie było jeszcze przed nami. Ponieważ nie mieliśmy nic do roboty, ufarbowaliśmy sobie włosy na biało. A potem mieliśmy ufarbować na czerwono, jednak gdy zobaczyłem łeb Marcina, natychmiast zrezygnowałem. Wyglądał jak trędowaty i do końca wyjazdu wszyscy pokazywali go palcami, więc cieszyłem się że poszedł na pierwszy ogień. Marcin nie mógł mi wybaczyć, że go wypuściłem i nie ufarbowałem się jak on.

Wieczorkiem zaliczyliśmy jeszcze jeden wypad nad morze. Niestety, Kuba oprotował wcześniejsze, nieodpowiednie potraktowanie nas za pomocą psów i megafonu, robiąc w morzu kupę. Wszedł z wody bardzo z siebie zadowolony i oznajmił, że wykonał plan. Ponieważ sam nie wiedział gdzie dokładnie złożył dar, więc i tak nie zamierzaliśmy już więcej korzystać kąpieli morza Azowskiego i zdecydowaliśmy się następnego dnia wyjechać.

Czujna ewakuacja

Obawialiśmy się jedynie, że gospodarze każą nam dopłacić, gdyż ustna umowa obejmowała dwa noclegi, a nam wcale nie zależało na tym, żeby płacić za drugi. Przynajmniej taka koncepcja zaległa się w naszych głowach. Żeby uniknąć zwady, uknuliśmy plan, zgodnie z którym mieliśmy opuścić dom, kiedy wszyscy będą jeszcze spać. Pomysł był absurdalny, powstał w wyniku naszej chorej wyobraźni, a do tego wystąpiły nieprzewidziane okoliczności. Świtało już, a na dole, tuż koło wyjścia, wciąż trwała balanga. Wiedzieliśmy że nie możemy przejść niezauważeni. Wymyślaliśmy więc plany awaryjne. Poszedłem nawet szukać zapasowej drogi ewakuacji przez

tylne ogrodzenie, ale szybko wróciłem z małym, podle ujadającym kundlem u nogawki. Sytuacja była nie najlepsza – wkrótce odjeżdżał nasz autobus.

Spróbowaliśmy więc przemknąć chyłkiem koło biesiadników, rzucając luzackie: „No to na razie!”. Ale wyszło inaczej. Właściciel z żoną nalegali, żebyśmy usiedli, bo w ogóle nie zdążyliśmy porozmawiać i nie powiedzieli ani słowa o pieniądzach za nocleg, za to od razu poczęstowali wódką. To byli Turcy z Moskwy, którzy kupili mamie domek i przyjechali do niego na wakacje. Oni jeżdżą, my jeździmy, no i już znaleźliśmy wspólny temat. Stwierdzili, że jeśli nie mamy kasy, możemy zostać za darmo, ile chcemy. I stwierdzili, że bardzo im smutno, iż już jedziemy, bo nawet nie zdążyli nas poznać. Przekonywali nas, że autobus z pewnością poczeka, a dużą nieuprzejmością byłoby nie zostać na „jednego”. Więc tak sobie siedzieliśmy i gawędziliśmy przy ukraińskiej wódeczce. Z tego, co wydarzyło się tej nocy, pozostało nam jedynie odebrać kolejną lekcję. Często w życiu przejmujemy się problemami, które nie istnieją. Tworzymy skomplikowane plany, a rozwiązania są banalnie proste. Tej nocy wiliśmy się w twórczym labiryncie naszej wyobraźni, zamiast po prostu pójść

i porozmawiać. Skąd brało się to idiotyczne kreowanie trudnych sytuacji? Czy tak bardzo potrzebowaliśmy mocnych wrażeń? To i wiele kolejnych wydarzeń uświadamiało nam, jakimi byliśmy głupimi małolatami.

Gospodarze tymczasem opowiadali, jak to poprzedniego dnia aresztowano ich za sikanie pod płotem. Znaleźli się za kratkami i musieli solidnie dać w łapę, żeby wyjść. No to Kuba cudem uniknął kary za kupę. Wreszcie podziękowaliśmy, pożegnaliśmy się i szybko ruszyliśmy na dworzec, a dalej do Rostowa. Do Tajlandii zostało nam jeszcze parę tysięcy kilometrów. Aha, zapomniałem napisać na wstępie, że celem naszej podróży była Tajlandia... Chyba...

Naród czeczeński

Dojechaliśmy autobusem do kolejnego miasta, a tam udało nam się złapać miejsca w naszym ulubionym środku transportu. W pociągu ożyło wspomnienie klimatów znanych mi z poprzednich podróży. Wiatr niósł żółty pył i zapach pustyni. Na kolejnej, bajecznie kolorowej stacji pełno było warzyw i owoców. Coraz częściej pojawiały się arbuzy. Pamiętam, że mój tata kiedyś przywoził arbuzy z Kazachstanu. Dzięki tej wiedzy łatwo wywnioskowałem że jedziemy

w dobrym kierunku. Tata był na jakichś manewrach w Kazachstanie. Przed wyjazdem, gdy w mundurze na dworcu stał wśród generałów, któryś z nich powiedział „panie Piotrze, jakaś pani do Pana”. To była moja babcia z jedzeniem na drogę... Tata spalił arbuza. Na manewrach wszyscy siedzieli na polu i wspierali braci zza Buga, zbierając arbuzy. Tata wybrał sobie kilka i te jego arbuzy później chyba pocztą przyjechały za nim do Polski.

W przedziale poznaliśmy Rusłana i w ten sposób rozpoczęła się nasza przyjaźń z narodem czeczeńskim. Rusłan miał trochę ponad czterdziestkę, był ekonomistą, siedział gdzieś we władzach Groznego. Rodzinę wysłał daleko od wojny. Została przy nim tylko żona. Podróżował w poszukiwaniu szkoły dla syna, oczywiście korzystając z uprzejmości znajomych Czeczenów, zajmujących wysokie stanowiska w różnych ciekawych instytucjach.

W Astrachaniu postanowiliśmy wspólnie szukać noclegu. Najpierw próbowaliśmy przenocować w stojących na bocznicach wagonach, ale przedziały były nabite po sufit.

W środku nocy wyszliśmy na miasto. Ktoś poradził, żeby poszukać ogłoszenia o wynajmie mieszkań w gazecie. Znaleźliśmy. Po telefonie pojechaliśmy taksówką pod wskazany adres. Miejsca za czorta nie można było znaleźć, a taksówkarz się ciskał, że ile on ma z nami jeździć. Okazało się że mieszkanie jest już wynajęte. Ktoś wystawił nas do wiatru i znowu nie mieliśmy gdzie spać. Taksówkarz w międzyczasie stracił cierpliwość i pojechał sobie. W obcym mieście, w jakiejś podejrzanym dzielnicy staliśmy w ciemnościach pośrodku ulicy. Nie wyglądało to wesoło. Tym bardziej że Rosjanie nie kochali w tym czasie Czeczenów, a my mieliśmy za towarzysza jednego z

nich. Jednak zamiast kłopotów, narodowość naszego kompana przyniosła nam wybawienie. Szliśmy sobie ulicą i w pewnej chwili minęliśmy, z duszą na ramieniu, grupkę młodych mężczyzn. Nie wyglądali raczej na studentów Oxfordu. Niespodziewanie Rusłan zawrócił i podszedł do jednego z nich. Z krótkiej rozmowy zrozumiałem jedynie dwa słowa: salem alejkum –

w specyficzny sposób wypowiedane muzułmańskie powitanie. I już siedzieliśmy w skórzanych fotelach volvo, jadąc do czekających nas z otwartymi ramionami

Czeczeńców. Ktoś nieustannie dopytywał się, czy czegoś

nam nie brakuje. Z ciemnej, niebezpiecznej nocy Rusłan wyłonił swoich braci. Kiedy my spotykaliśmy w drodze Polaków, odwracali wzrok. Kiedy Czeczenie spotykają się za granicą, pytają jak mogą sobie pomóc. Ponieważ byliśmy razem, opieką otoczyli także nas. Niczego nam nie brakowało i momentalnie usnęliśmy.

Ósmy wagon do Uzbekistanu

Poprzedniego wieczora przepytalem na dworcu przypadkowych Uzbeków, jak u nich jest, w tym Uzbekistanie. Odpowiedzieli, że jest bezpiecznie, ładnie i koniecznie trzeba tam pojechać. Wyglądali na zadowolonych z życia i to mi się spodobało. Mając tak „pewne” źródło informacji, przekonywałem Kubę i Marcina do kolejnego skoku w bok, i natychmiast powstał projekt odwiedzenia „po drodze” Uzbekistanu. Oczywiście byliśmy przekonani, że do wjechania do tego kraju wystarczą nam nasze ulubione pieczątki AB. I w połowie mieliśmy rację.

Kolejnego dnia z mieszkania, w którym spaliśmy, odebrali nas młodzi Czeczeni i zawieźli do ich rodzinnej restauracji na śniadanie. Restaurację prowadzili bracia pod czujnym okiem matki.

O tej porze nie było wielu gości, jedynie kilku starszuchów grających w coś, co w mojej komórce nazywa się „back gammon”. Ponieważ na zewnątrz panował upał i nikomu nie chciało się ruszać, sami weszliśmy do kuchni, żeby przygotować sobie wielką jajecznicę. Właściciele bujali się wygodnie

w fotelach, aż do momentu kiedy pojawiła się mamuśka. Mama na samym wejściu strzeliła jednego z synów w łeb wielką chochlą. Nagle panowie się ożywili i wzięli się

za robotę. Mamuśka krzyczała i waliła chochlą, gdzie popadło. Mało nam się nie oderwało. Ogólnie było dużo śmiechu. Po śniadaniu ruszyliśmy na dworzec.

Rusłan odprowadził nas na dworzec i pomógł kupić bilety. W krótkim czasie otoczył nas opieką, jak przyjaciół, czy rodzinę. Tu, w Azji, relacje miały niezwykłą moc. Chyba nigdzie na świecie nie spotkaliśmy tak potężnej przyjaźni, bezinteresownej, bezwarunkowej, która rozkwitała między mężczyznami, tylko dlatego że życie na chwilę wyznaczało im wspólny cel. Kiedy Rusłan kupował bilety kobieta w okienku przed czymś go przestrzegła. Spojrzał na nas i zapytał czy na pewno chcemy tam jechać? Zawahałem się, ale potwierdziłem. Nie minęła godzina, a my napieraliśmy na drzwi ósmego wagonu w składzie pociągu jadącego na wschód. Wszyscy doskonale wiedzieli, że skład ma oficjalnie jedynie siedem wagonów (wtedy jeszcze myśleliśmy, że ósmy wagon to pomyłka). Wielki, łysy prowadnik, typ naszego drecha, kazał nam jechać innym pociągiem. Przecież mieliśmy bilety! Gość ponownie zapytał czy jesteśmy pewni, bo wagon do którego wsiadamy nie istnieje. Byliśmy pewni, choć coraz mniej.

Prowadnik popatrzył na nas, uśmiechnął się i powiedział: „skoro tego chcecie... ale pamiętajcie, jeśli Wam coś się stanie, bo nikogo to nie będzie obchodzić. Wsiadacie do wagonu, którego nie ma. To oznacza że Wy także przestajecie istnieć”. Odsunął swe tłuste cielsko i weszliśmy do środka. Wówczas nie wiedzieliśmy jeszcze jak prawdziwe były jego słowa. Od tamtego momentu, na wiele dni staliśmy się nielegalni. Weszliśmy na szlak, na którym nikt nie ma dokumentów i nikt ich nie sprawdza, nikt nie pyta się kim jesteś, ale nie masz też żadnych praw. Przenikaliśmy przez kontrole, granice i łapówkami pokonywaliśmy kolejne posterunki policji. Dla oficjalnego świata, przestaliśmy istnieć.

A w składzie pociągu wagon numer osiem był czymś absolutnie niezwykłym, jechali nim bowiem drobni handlarze oraz różni dziwni podróżni niemający pieniędzy na bilet w wagonach sypialnych, lub dokumentów, które do tej podróży uprawniały. Nie było miejscówek, nie było

numeru wagonu na biletach. Być może kilku gości się dogadało, że podstawią sobie jeszcze jeden wagon i będą sami kasować klientów, a potem dzielić się zyskiem, nie rejestrując wagonu w żadnym oficjalnym spisie... Nikt nie sprawdzał biletów ani paszportów, gdy przekraczaliśmy granicę. Żadna władza nie wnikała, co się dzieje we wnętrzu.

Tymczasem rozpoczęliśmy walkę o miejsce w przestrzeni wypełnionej do granic możliwości ludźmi i bagażami. Zaledwie dopadliśmy wolnego łóżka, ruska baba rzuciła nasze plecaki i rozlała się na nim. Uzbeki, Kazachowie, Rosjanie i czort tam wie kto jeszcze, patrzyli na nas w milczeniu jak na dziwowisko, jakie stanowili w tym miejscu turyści z Polski. Zaczęliśmy się zastanawiać, czy tym razem nie przegięliśmy pały.

Życie towarzyskie

Finalnie rozłożyliśmy plecaki na podłodze przy kiblu tak, aby zajmowały jak najwięcej miejsca i nie dały możliwości przeciskania się między nimi. Innymi słowy – zbudowaliśmy bazę. Zaledwie pociąg ruszył, do naszego gniazdka zaczęli wdierać się pierwsi goście. Okazało się że przytulne miejsce które sobie wybraliśmy to palarnia. Nieustannie napływali nowi ludzie, wchodzili, wychodzili, zagadywali, deptali. Najbardziej wkurzali nas pijani i obrażeni na cały świat Rosjanie. Azjaci byli jedynie wścibscy – przychodzili, wypytywali, dotykali rzeczy, próbowali coś wymienić. Palenie śmierdzących papierosów stanowiło wystarczającą pretekst, żeby stać i gapić się całymi godzinami na trzy egzotyczne stworzenia wciśnięte

w kącie wagonu. Dzielił się więc robotą: dwóch z nas odpierało ataki życzliwości i natręctwa, a trzeci spał. Kolejka do zwiedzania była jednak strasznie długa, gdyż wtajemniczeni przekazywali informacje o nas dalej, po całym wagonie. Wszyscy już znali nasze imiona, tylko nie byli pewni, gdzie leży Polska. Umęczeni do cna rozmowami, udawaliśmy, że nie znamy rosyjskiego. Poziom kontaktów miał bardzo szeroką amplitudę. Jedni chcieli kasę, ubliżali, coś do nas krzyczeli. Inni, naprawdę mili, znowu zapraszali nas do swoich domów położonych tysiąc kilometrów dalej, w Uzbekistanie, bo chcieli nas pokazać rodzinie. Uważali, że fajnie by było przywieźć do domu pamiątkę z podróży – trzech dziwolągów z Polshy, która czort wie, gdzie leży. Jakoś próbowaliśmy się w tym wszystkim odnaleźć, nie zbywając potencjalnych przyjaciół, a trzymając dystans do naciągaczy i bandziorów. To był wspaniały sprawdzian naszej intuicji.

Na jednej ze stacji handlarka o wymiarach cysterny Statoil przygotowywała się do wysiadania i na chwilę odwróciła od nas uwagę gapiów. Ponieważ na maleńkich stacyjkach pociąg przystawał ledwie na krótką chwilę, ewakuację bagażu rozpoczęła, zanim jeszcze się zatrzymał, a ostatnie torby wyrzucali życzliwi podróżni już daleko poza stacją. W sumie szacowaliśmy że swoje torby będzie zbierać na odcinku około czterystu metrów. Jak widać, pociągi miały idealnie rozpisany rozkład jazdy, a maszynistom szkoda było tracić czas na postoje. Dostali kasę, za to że zwolnią na maleńkiej stacji, żeby kobiecina mogła się wyładować.

Nowy wymiar

Od dawna już wleliśmy się równolegle do północnego wybrzeża Morza Kaspijskiego. Jedni pasażerowie wysiadali, wsiadali nowi – zupełnie inni, różniący się od poprzednich ubraniem, mową, rysami twarzy... wszystkim. Zmieniał się też klimat i powoli zanikał dominujący w naszym kąciku odór papierosów i wódki. Po kolejnym zaproszeniu dogadaliśmy się z gromadką Uzbeków, że pojedziemy do nich do domu, gdziekolwiek to jest. Tak po prostu. Trzeba przyznać, że nie mieliśmy żadnych planów, celu, ani nawet załączka pomysłu dokąd właściwie jedziemy i tym bardziej każdy podsuwany pomysł był dla nas wizją bezpiecznego portu w naszej chaotycznej żegludze.

O piątej rano wysiedliśmy w Aterau. Wagon numer osiem przeniósł nas w inny wymiar. Nie byliśmy już w Europie, tylko w Azji. Nie byliśmy już w Rosji, lecz w Kazachstanie. W dodatku bez wiz i stosownych stempli uprawniających nas do pobytu w tym kraju. Tak wtopiliśmy się w tłum handlarzy, że milicjant sprawdzający

paszporty szybko dał nam spokój, bo zrozumiał, że to co formalnie powinien zrobić, nie ma sensu. Potwornie zmęczeni pośrodku remontowanego dworca, na pięknej, zielonej ceracie jedliśmy z Uzbekami śniadanie.

Znowu Czeczeni

Dworzec w Aterau był zupełnie rozwalony – syf i beton. Byliśmy senni, ale ponieważ nie mieliśmy gdzie się przytulić, graliśmy w zośkę, spacerowaliśmy po wielkiej rurze ciągnącej się przez całe miasto i szpecącej krajobraz. Naszych nowych przyjaciół zatrzymały mienty (policja), zgodnie ze zwyczajem wymuszając haracz. Jeśli ktoś wiezie duże torby, z pewnością będzie miał z tego kasę, więc trzeba go skroić. Skurwiele! Rozbiliśmy na trawniczku biwak i gawędziliśmy z przypadkowymi żułami. Wreszcie Kuba i Marcin poszli spać, a mnie koleś z równo ściętą grzywką zaprosił na piwo. Zorientowałem się po dwóch zdaniach, że mam przyjemność z kolejnym Czeczenem. Normalnie bałbym się tego typka, ale nasza przygoda z Rusłanem, jakoś uzbroidła mnie w zaufanie do Czeczenów. Halim, przedstawił się jako właściciel siedmiu samochodów i handlarz paliwami. Opowiadał, jak Czeczeni prowadzili wojnę z Rosjanami. Twierdził, że jego bracia nawet niespecjalnie muszą walczyć z rosyjskimi wojskami. Po prostu przekupywali odpowiednich oficerów, żeby strzelali w przeciwnym kierunku. Mają dostęp do ropy, więc wystarczy im pieniędzy. Ruscy też mają już dość wojny, więc jakoś tam sobie wszystko poukładali. Halim podał numer swojej komory, żeby w razie problemów zadzwonić. Twierdził, że jeden telefon wystarczy i znajdzie Czeczenów w Uzbekistanie, którzy pomogą nam w każdej sytuacji. Uwierzyliśmy, bo już się przekonaliśmy, że potrafią być bardzo pomocni. Ta myśl, że możemy liczyć na wsparcie, miała dla nas duże znaczenie psychologiczne. Nie miał znaczenia fakt, że numer telefonu szybko gdzieś zgubiliśmy.

Opuściliśmy Aterau i w środku nocy dotarliśmy do... W zasadzie to nie wiedziałem nawet gdzie, bo wydawało się, że jesteśmy na środku pustyni. Z niewiadomych przyczyn ten pociąg dalej nie jechał i musieliśmy czekać na kolejny, który miał pojawić się następnego dnia. Przeszliśmy całą komandę (bo już nie byliśmy sami, należeliśmy do grupy wracających do domu po kilku miesiącach handlowania w Rosji, uzbeckich handlarzy) do obskurnego betoniaka. Za progiem ujrzelśmy przedsiemek

z czerwoną miską na środku i duży pokój wyłożony grubymi dywanami... To był hotel. Po chwili siedzieliśmy w kręgu na dywanie, chyba w dziesięć osób, jedliśmy okrągły chleb (lepioszkę) i pyszną dynię. Najmłodszy chłopak urywał kawałki chleba, najpierw podawał nam – gościom, następnie starszym, a sam jadł na końcu. Mężczyźni nie rozmawiali między sobą. Mówiła co najwyżej jedna osoba, a pozostali słuchali. Pełen porządek i wzajemny szacunek. Rozmawialiśmy o przyjaźni, rytuałach życia i innych wielkich, ludzkich sprawach. Jak to w muzułmańskim obyczaju, w towarzystwie samych mężczyzn. Dzisiaj się nie modlili, bo podróżowali, a podróż zwalniała wiernych

z obowiązku modlitwy. Po kolacji każdy dostał wielką poduszkę i położył się dokładnie tam, gdzie siedział. Tak dziesięciu mężczyzn zasnęło obok siebie na dywanie, w betoniaku, na środku pustyni, gdzieś w zachodnim Kazachstanie.

Pięć wielbłądów

Rankiem, razem z naszą nową rodziną, udaliśmy się na stację i kupiliśmy bilety na dalszą podróż. Wszystko wskazywało że naprawdę byliśmy w Kazachstanie, a jednak trudno nam było zaakceptować fakt, że wjechaliśmy do tego kraju bez sprawdzania paszportów. Dotąd nikt nie pytał nas o dokumenty, bo byliśmy pasażerami wagonu numer osiem. Od pustynnej stacji prowadnicy przeglądali nasze paszporty chętnie i coraz częściej. W kolejnym pociągu, kiedy Kuba z Marcinem spali, dwóch mundurowych zamknęło się ze mną w jakimś przedziale i dało ciekawy wybór. Albo dam im kasę, albo wysiadamy na środku pustyni. Nie wiedziałem tylko czy w biegu... Upierałem się: „Mamy AB, a kasy nie mamy, bośmy studenci. Poniałi?”. Oni mieli to w dupie czy my mamy jakieś dokumenty. Po prostu, w im gorszej sytuacji byliśmy, tym bardziej można nas było nacisnąć. Na szczęście nie zdawaliśmy sobie jeszcze sprawy w co się wpakowaliśmy, więc graliśmy twardzieli i finalnie kolejne kontrole

dawały sobie spokój i puszczały nas wolno. Jednak kontroli było coraz więcej i czuliśmy jak powoli zaczynamy grzęznąć w czymś bardzo gęstym. Ponownie oblegani przez kilkunastu ludzi w różnych mundurach, tłumaczyliśmy, że nie mamy niczego z Polski, co moglibyśmy im dać. Dziwili się, byli wręcz zmartwieni i koniecznie chcieli coś dostać. Cokolwiek! Zapłacili kupę kasy za urzędnicze stanowiska, a teraz musieli wyjść na swoje, łupiąc kogo się da. „I nie wolno robić zdjęć!”, dokręcali nam śrubę. Posuwaliśmy więc ściemę, że jesteśmy dziennikarzami z Polski. Liczyliśmy, że albo się przestraszą, albo zrobią z nas szpionów (szpiegów). Odrobinę odpuszczali, ale i tak niepokoiła nas ich wszechobecność i natarczywość. Część z nich to były nastoletnie dzieciaki z kałaszem na ramieniu. Obsiadali nas jak muchy. Raz że byli ciekawi, a dwa że byliśmy jedyni, którzy jeszcze nie zapłacili łapówki. „Ile ten aparat?”, zapytał nagle jeden z nich. Marcin miał niezły sprzęt, ale przezornie owinął go plastrami żeby wyglądał na stary. „Pięć wielbłądów”, padła odpowiedź reżolutnego Marcina. I zrobiło się jeszcze ciaśniej. Zebrał się tłum, żeby oglądać aparat, bo pięć wielbłądów to pięć żon, czyli majątek. Wtedy zaczęła się rozmowa o żonach. Panuje tam bowiem stary zwyczaj porywania dziewczyny, którą chłopak chce poślubić. Porywa i „prosi” o rękę. Jak się zgadza, to lekarz bada, czy jest dziewicą, a jak jest, biorą ślub. Jak się nie zgadza, to ją gwałci i wtedy się zgadza. Wie, że już nie jest dziewicą i z takim mankamentem nikt jej nie weźmie. A jak nie znajdzie sobie męża, wyląduje na ulicy. Pięć żon to bogactwo, więc aparat budził emocje. Ale było ich zbyt wielu, żeby po prostu nam ten aparat zabrać, bo jakby się nim podzielili? Uznali, że musimy coś kombinować i postanowili poinformować o naszym przyjeździe odpowiednie władze, w związku z czym na kolejnej stacji szykowało nam się nieciekawe spotkanie. To już nie było błoto. Brnęliśmy po uszy w gównie, bo właśnie zrozumieliśmy że przejechaliśmy nielegalnie przez kolejną granicę i wylądowaliśmy w Uzbekistanie, który postawiony był właśnie w stan wojenny, w związku z ekspansją Talibów. Nie tylko nie mieliśmy pieczątki wjazdowej, wizy, ale w ogóle ostatnia pieczętka w paszporcie pochodziła z Rosji, która z Uzbekistanem nie graniczy.

Chłopaki z Owiru

Oglądaliśmy z okien pociągu żalosne pozostałości po Morzu Aralskim, które wygląda jak wyschnięty krater z pozostałościami po słonej wodzie w postaci grud solnych. Rozkazem Stalina wody Syr-darii i Amu-darii, zamiast do morza, zostały skierowane na pola bawełny. Pozostały po nich ogromne wąwozy wyschniętych koryt, którymi ciurkają strumyczki węższe od naszego Świdra pod Otwockiem.

Dojechaliśmy do kolejnego miasteczka. Ktoś życzliwy podsłuchiwał, jak drań prowadnik dał cynk do Owiru (to chyba ichni urząd bezpieczeństwa), żeby nas lepiej sprawdzić, bo jesteśmy podejrzani. Więc wiedzieliśmy że panowie w mundurach czekają na nas na stacji. Nasi nowi znajomi, u których mieliśmy mieszkać, strasznie się bali tych mundurów i uciekli. Na szczęście mieliśmy numery ich telefonów.

Na dworcu rzeczywiście dorwał nas funkcjonariusz, ale tylko sprawdził pobieżnie dokumenty i puścił. Po chwili podszedł do mnie ponownie, już zupełnie prywatnie, żeby pochwalić się wiedzą o Polsce. Pamiętał ze szkoły, że Niemcy i Rosja są po obu jej stronach i mamy jakąś rzekę. A po wojnie zostało sześć milionów Polaków bo nas wycięli w pień. Wyraziłem podziw dla rozległej wiedzy, bo to była jedyna waluta, którą mogłem szastać bez umiaru.

Z dworca ruszyliśmy wypełnioną ludźmi taksówką w kierunku miasta, z którego pochodziło zaproszenie na nocleg. Nie wiedzieć czemu, taksówkarz wyrzucił nas w przydrożnym burdelu i wrócił dopiero po paru godzinach. Dopiero wtedy się przyznał, że nazwa miasta którą wymawiamy, nie istnieje. Kiedy przyjechał, nam już wcale śpieszno nie było, bo właściciel o nas zadbał. To znaczy nakarmił i напоił. Innej nazwy nie znaleźliśmy i nie bardzo wiedzieliśmy dokąd dalej jechać, więc zatelefonowaliśmy do znajomków z pociągu w nadziei że nas zaproszą do siebie, tak jak zapowiadali. Zaproсили. Uff! Gdy w środku nocy dotarliśmy pod wskazany adres, czekała tam na nas policja. I to był chyba moment przełomowy, bo żarty się skończyły. Rozpoczęła się batalia o paszporty, które były dla nas najważniejszym dokumentem, a dla nich gwarancją, że nie zwiejemy. Albo dajemy paszporty i wracamy rano, albo śpimy na komisariacie. Wreszcie poddaliśmy się, mając alternatywę noclegu w

budce policyjnej. Rano musieliśmy stawić się na kolejne przesłuchanie. Tej nocy jednak zapomnieliśmy na chwilę o kłopotach, w jakie się wpakowaliśmy przez naszą młodzieńczą głupotę. Czekaliśmy na nas kolacja i nocleg w domu u jednego z towarzyszy podróży z pociągu.

W gościnie

Czekał na nas stół pełen winogron, arbuźów, lepioszek (lokalny chleb) i alkoholu, który piliśmy ostrożnie pod stołem, aby Allah nie widział. Zwiedziliśmy cały dom, w którym wszystkie pokoje były ogromne. Nasza sypialnia również była gigantyczna, a stał w niej tylko stolik, wokół którego leżały poduszki. Ubikacja (dziura w ziemi) znajdowała się obok w pomieszczeniu, w którym mieszkała wychudzona krowa. Aby wziąć prysznic, polewaliśmy się wodą z kolorowych, metalowych dzbanków o fikuśnych kształtach. Musieliśmy bardzo uważać na panujące w domu zwyczaje i zakazy. Po jedzeniu należało wycierać twarz rękoma w specyficznym geście hołdu dla Allacha. Poza tym nie mogliśmy na zewnątrz chodzić bez koszulek, ani też w krótkich spodenkach, żeby nas nie zobaczyły kobiety. Źle widziane było też przyglądanie się paniom, co czasami było bardzo trudne, ponieważ niektóre z nich były naprawdę ładne. Do tego w pełnym pokory i powściągliwości wzroku muzułmanek było coś nieznanego i zarazem interesującego.

Byliśmy przyzwyczajeni do flirtu, ciepłych, dwuznacznych spojrzeń wymienianych z dziewczynami z Europy. Tu dla nas i dla nich nawet taka gra była przekroczeniem reguł i mogła przysporzyć wszystkim sporo kłopotów. Musieliśmy oswoić się z sytuacją. Niemniej pozostawało dla nas zagadką, co też myślą w głębi duszy ukryte za grzecznymi uśmiechami kobiety. Wiele lat później pocieszyłem się, że to samo pytanie zadają sobie miliony ludzi na całym świecie.

Kolejnego dnia wróciliśmy do rzeczywistości, w której nielegalnie znajdowaliśmy się na terytorium Uzbekistanu

i lokalne władze „coś” musiały z nami zrobić. Rzecz była na tyle poważna, że nakazano nam udać się do najbliższego urzędu imigracyjnego, bo tylko tam ktoś mógł podjąć decyzję w naszej sprawie. Do najbliższego urzędu mieliśmy kilkaset kilometrów przez pustynię. Ponieważ policja nie miała kasy na benzynę, więc naczelnik zarządził, że sąsiad gospodarzy zawiezie nas, wraz z przydzielonym nam policjantem, do oddalonego o prawie 200 km miasta Nukus. Oczywiście sponsorem tej wyprawy byliśmy my.

Po obu stronach drogi towarzyszyła nam pustynia, jedynie w oddali widniało kolano rzeki i rozpościerające się wzdłuż jej brzegów pola. Mieszkańcy wioski przygotowywali się powoli do opuszczenia tych terenów, gdyż rzeka wysychała i coraz dotkliwiej odczuwali brak wody. Byliśmy na terenie krainy zwanej Karakalpakia (czarny kapelusz).

Dojechaliśmy do celu. Miasto nie było żadną atrakcją – beton na pustyni i do tego okrutny upał. W urzędzie nie było nikogo, więc przez parę godzin graliśmy w zoskę i włóczyliśmy się po ulicach. Wkurzało nas to wszystko, bo oczywiście nawet nie dopuszczaliśmy myśli, że sami sobie byliśmy winni, a sytuacja była efektem... naszej głupoty i bezczelności. Trudno też było złościć się na ludzi, bo byli fantastyczni. W południe pojechaliśmy na obiad, za który ku naszemu zdziwieniu zapłacił eskortujący nas milicjant. Ludzie, których posadziliśmy wcześniej o napuszczenie na nas policji, sami byli w strachu o naszą skórę i gościli nas jak królów. Ich opieka polegała również na tym, że przekazywali nas innym osobom z poleceniem udzielenia pomocy. Czy to eskortujący nas milicjant, czy też gospodarz domu, czy kierowca autobusu, nieustannie ktoś o nas dbał. Przekazywali nas sobie z rąk do rąk. Byliśmy gośćmi u muzułmanów. Nie mógł nam spaść włos z głowy. Zajmowali się nami cudownie. Traktowali nas lepiej niż Hindusi święte krowy.

Tymczasem doskonale się bawiliśmy czekając na spotkanie w urzędzie. Kiedy weszliśmy do sali w urzędzie naprzeciwko nas usiadło kilku smutnych panów, którzy zadawali mnóstwo pytań, bo za cholerę nie mogli zrozumieć jak udało nam się przedostać przez trzy granice bez dokumentów. Ostatnia

pieczętka pochodziła z przejścia granicznego między Ukrainą a Rosją. Zrobiło się gorąco, gdy jeden z urzędników wspomniał o gigantycznej karze za nielegalne przekroczenie granicy. W kolejnym urzędzie, czymś na wzór regionalnego ministerstwa, potwierdził, że nie możemy przebywać w Uzbekistanie bez wiz. W ciągu trzech dni musieliśmy wyjechać z kraju tą samą drogą, którą przyjechaliśmy. Urzędnicy, dając nam te trzy dni na opuszczenie kraju, najbardziej obawiali się jednak tego, że pojedziemy do Taszkientu, a tam dopiero rozpęta się urzędnicza burza, która również ich dosięgnie. O karze na szczęście zapomnieli. Oczywiście wiedzieliśmy że powrót nie wchodzi w grę, zamierzaliśmy jechać na wschód, ale nikomu się tymi planami nie chwaliiliśmy.

W drodze powrotnej nasi towarzysze opowiadali nam, jak kiedyś im się dobrze żyło w pięknym systemie zwanym socjalizmem. Krytykowali kapitalizm, w którym nic już nie było za darmo, ludzie musieli konkurować między sobą, żeby zarobić na jedzenie. Tu kapitalizm był zły. Z taką samą opinią spotykaliśmy się na Ukrainie, w Rosji, w Kirgistanie. Słowo

„komunizm” nie miało tu negatywnych konotacji. W cieniu pustynnych gór ci ludzie żyli z dnia na dzień, bez wielkich oczekiwań i bez wielkich zawodów. Zasady wolnego rynku, gromadzenie dóbr i rywalizację mieli gdzieś. Nowy porządek dla starszych ludzi był niezrozumiały. Bali się oni, że nie sprostają nowym wyzwaniom.

Nagle przerwaliśmy rozmowę i poprosiliśmy osłupiałego kierowcę, żeby się zatrzymał. Rzuciliśmy się za stadem wielbłądów, żeby je sfotografować, a może nawet złapać. Nic z tego nie wyszło, bo wielbłądy rozbiegły się po stepie. Mieliśmy jednak głowy pełne głupich pomysłów, co zdawało się naszej eskorcie dostarczać wspaniałej rozrywki. By zabić monotonię podróży, żuliśmy miejscową tabakę, plując na wszystkie strony. Nieźle kręciła, a Kuba połknął nawet całą porcję i przez pół godziny się krztusił. Wszyscy śmiali się serdecznie, a przecież byliśmy aresztowani i powinno nam być smutno... Ale nie było.

Rano jeździliśmy po wiosce i odwiedzaliśmy znajomych z podróży pociągiem. Wszyscy chcieli nas ugościć i przedstawić rodzinom. Wszyscy chcieli nas czymś częstować. Bardzo często zdarzało się, że nie mieli czym, więc wszędzie dostawaliśmy herbatę. Gościnność muzułmanów jest niezwykła, nie jest zwyczajem, a wiarą, wewnętrznym obowiązkiem, absolutem. Schodziła się cała rodzina by nas obejrzyć. Czasem rozmawialiśmy, czasem siedzieliśmy i się uśmiechaliśmy. Wszyscy wydawali się spokojni, ale zauważyliśmy że życzliwego opiekuna bardzo już niepokoi zainteresowanie „wysokich urzędów” naszą trójką. Podziękowaliśmy więc za gościnę, spakowaliśmy wory i ruszyliśmy do autobusu. Gospodarz odprowadził nas, a żegnając się powiedział coś do kierowcy, który od tego momentu stał się naszym opiekunem. Sprawdzał czy niczego nam nie brakuje, ale przede wszystkim przemyczał nas przez kolejne kontrole, czasem nawet płacąc za nas łapówki. Wziął wędrowców pod opiekę, roztoczył nad nami parasol bezpieczeństwa, bo to wynikało z niezwykłej, a może właśnie zwykłej, muzułmańskiej gościnności.

Przypadki w Samarkandzie

Autobus ledwie ruszył z dworca i po kilkuset metrach się zatrzymał. Kolejni pasażerowie ładowali się... z żywym dobytkiem. Upychali w bagażniku szalejące ze strachu, nieustannie walczące i srające pod siebie barany. Ustawiali je naprzeciwko siebie, żeby zderzały się rogami. Barany czuły, że jadą na rzeź, która czekała je bezwzględnie, jeśli udałoby im się przetrwać kilkanaście godzin w upalnym piecu zamkniętego bagażnika. Nie wszystkim się udało, co było przyczynom bardzo nieprzyjemnego zapachu w drugiej części podróży.

Po pierwszych pięćdziesięciu kilometrach autobus zatrzymała policja, a może wojsko. W Uzbekistanie jest tyle służb mundurowych, że trudno było odróżnić listonosza od generała. Sprawdzali dokumenty. Nie wiem jakim cudem, ale okazywało się że nasze były w porządku. A nawet jeśli nie były, to po chwili okazywało się, że były. Podejrzewaliśmy

wówczas działanie kierowcy, naszego kolejnego opiekuna w sztafecie przyjaźni polsko-uzbeckiej. Nie wiedzieliśmy dokładnie dlaczego nam pomagał. Wiedzieliśmy jedynie, że bez niego nie przejechalibyśmy tej trasy. Mało kto z obstawiających posterunki milicjantów chciał sobie przysparzać problemów i zatrzymywać kilku turystów obdartusów. Ważniejsi byli chłopcy, którzy bez słowa płacili bakszysz za barany. Bo jeśli je wieźli, to znaczyło że zarobią na nich pieniądze. Jeśli zarabiali, musieli się podzielić dochodami. Posterunki rozmieszczone były mniej więcej co 50 km, więc było się z kim dzielić przyszłym zarobkiem. Płacąc haracz kolejnym przedstawicielom władzy autobus jechał dalej i dalej, aż do Samarkandy.

Dopiero znacznie później zrozumieliśmy, że taki urodzaj milicjantów związany był ze stanem nadzwyczajnym. Po drugiej stronie gór stali Talibowie, których koncepcja wielkiego państwa muzułmańskiego sięgała poza granice Afganistanu. Wokół wrzało, Talibowie rośli w siłę, czemu mieli dać dowód za kilka miesięcy. Uzbekistan miał powody do niepokoju. Wkrótce przewróciły się wieże w Nowym Jorku.

Wysiedliśmy dość daleko od centrum Samarkandy i po ostrym targu z kierowcą dojechaliśmy taksówką do hotelu, a potem do kolejnego i do jeszcze jednego. Niestety, wszystko co tanie, było zajęte albo tanie było dla miejscowych, a dla obcokrajowców dwadzieścia razy droższe. Zatoczyliśmy koło i wróciliśmy na ten sam przystanek taksówkarze zaczęli składać oferty, za ile mogliby nas przenocować, bo upatrzili w naszej obecności szansę na parę groszy. Pierwszemu nie pozwoliła mama, drugi za drogo chciał. Trzeci się zastanawiał – wprawdzie nie miał światła, ale żonę wywiózł do teściowej, dzięki czemu dysponował wolnym pokojem. W końcu pękł.

No i pojechaliśmy samochodem poskręcany na druty, aż zrobiło nam się żal kierowcy. Dzisiaj pewnie dalibyśmy mu dobrze zarobić. Niestety w tamtym czasie nie mogliśmy go wspomóc, bo gdybyśmy nie byli twardzi w sprawach finansowych, dawno już poszlibyśmy z torbami i nasza wyprawa by zbankrutowała. Chałupa była w porządku: wanna, zimna woda i świeczka, ale poza tym zupełnie nic! Nic więcej nie było nam też potrzebne. Jednak warunki były ekstremalnie skromne. Mimo naszego oszczędzania, dla tych ludzi nadal byliśmy zamożnymi turystami. Nawet nasze kilka dolarów za nocleg dla trzech osób, miało tu znaczenie. Rano wróciła żona gospodarza z synkiem i zrobiła nam jajecznicę.

Po śniadaniu pojechaliśmy na dworzec kolejowy kupić bilety do Taszkientu, a na dworcu znów problemy, bo koleś

z Owiru uczeplił się, że z kraju mieliśmy wyjechać nie jutro, lecz jeszcze tego samego dnia i na dodatek nie chciał nas wypuścić z dworca. Każdy coś chciał dostać, ale mieliśmy to już przeciwiczone i olewaliśmy wszystkich – policję, żołnierzy... Udawaliśmy, że nic nie rozumiemy, i szliśmy dalej. Taksówką błyskawicznie obkroczyliśmy Samarkandę. Nawet szkoda że tak szybko, bo to przepiękne miasto, ale turyści ogólnie byli z nas marni. Żeby zapewnić sobie szczęśliwe zakończenie przygód, odwiedziliśmy też mały meczet, gdzie przy nieprawdopodobnej wręcz akustyce świątyni, pan z brodą śpiewał nam fragmenty Koranu. I rozmawialiśmy z nim chwilę o życiu, o tym, że jest piękne, nawet kiedy jest się po uszy umoczonym w kłopotach. Gdy pstrykaliśmy fotkę, imam poprawiał brodę i zrobił bardzo poważną minę. Chciał wyjść dobrze, reprezentował w końcu nie byle jaką „firmę”.

Dyplomatyczne wsparcie

Od dwóch dni mieliśmy w naszej podróży pierwszy jasny cel - wyjechać z Uzbekistanu zanim trafimy do więzienia. Tanio znaleźliśmy samochód po puti, prowadzony przez byłego profesora fizyki, który dorabiał, bo nie miał kasy na benzynę. W czasach ZSRR pracował w tajnych instytucjach jądrowych, a teraz jeździł na taksówce. Nie ma to jak efektywne wykorzystanie inteligencji. Naukowiec podwiózł nas kawał drogi i wsadził do busa jadącego na granicę Kazachstanem.

Nie mogliśmy wjechać do Kazachstanu bez wiz, a nie było mowy, żebyśmy zdążyli je wyrobić w jeden dzień. Nie pomagało tłumaczenie, że już raz przejechalibyśmy ten kraj, bo na dowód nie mieliśmy nawet najmniejszego

stempla. Udało nam się to tylko dzięki podróży wagonem numer osiem, do którego żaden celnik ani pracownik straży granicznej nawet nosa nie wściubił. Upierałem się, że do wjazdu wystarczą nam pieczątki AB, że jest umowa między naszymi krajami, że sprawdzałem w internecie... I na to wszystko przyplątał się jakiś beczelny Polak i jeszcze on zaczął nas przekonywać, że bez wiz ani rusz. Byłem już nieźle nakręcony, więc jemu też się oberwało, że się wtrąca w nie swoje sprawy i że gówno wie, bo przecież ja wiedziałem lepiej... Załapałem na szczęście dość szybko, że gość chyba wiedział lepiej ode mnie i od moich wspaniałych kolegów. Na odchodne zostawił swoją wizytówkę: „Andrzej Krasnodębski – konsul handlowy”. Było to jedno z największych faux pas mojego podróżniczego życia.

Siedzieliśmy więc nadal w tym cholernym biurze na granicy. Zamiast się zamartwiać, bawiliśmy się w najlepsze. Robiliśmy sobie zdjęcia w służbowej czapce jakiegoś oficera i włączyliśmy sobie dość głośno muzyczkę z magnetofonu stojącego na biurku celników, którzy akurat na chwilę wyszli z pomieszczenia. Nasza beczelność i głupota nie miały granic. Nikt nie chciał brać na siebie nas i naszego problemu, więc odsyłano nas z miejsca na miejsce. Kazachowie nas cofali, a Uzbekcy nie chcieli wpuścić, bo już byliśmy wyrzuceni. Ponadto Kuba uparł się, że nigdzie nie pojedziemy, bo będą problemy. Z tym akurat nie było kłopotu, bo nie mieliśmy ani jak, ani dokąd jechać. A urzędnicy zdurnieli i sami nie wiedzieli, co zrobić. Wreszcie wyższy rangą wziął mnie do gabinetu i powiedział wprost, że za kasę wyrobi i wizę, i zezwolenie na pobyt, i co tam sobie chce. Miał szufladę pełną wiz amerykańskich, kanadyjskich... do wyboru. Była szansa, więc wszystko postawiłem na jedną kartę i zrobiłem awanturę, że to łapówkarstwo. Przyszedłem za chwilę z jego przełożonym, żądając rozwiązania problemu bez płacenia haraczu. Kolesie oczywiście byli kumplami. Zaczęliśmy ich chyba naprawdę wkurzać.

Pat! Nie mogliśmy się więc ruszyć dalej, ani się cofnąć, a granicę zaraz mieli zamykać, więc z naszymi pieczętkami powinni nas po północy aresztować, tym razem już na poważnie. Nie towarzyszyło nam już złudne poczucie bezpieczeństwa. Zaczęliśmy pojmować, że to nie są ćwiczenia. Szczęściem panowie na granicy nie widzieli z nas pożytku i któryś nagle machnął ręką, co oznaczało że mamy cofnąć się do Uzbekistanu. I o to chodziło.

Skoro nie zamknęli nas w areszcie, popędziliśmy do konsulatu i wylądowaliśmy w basenie u pana Andrzeja Krasnodębskiego. Oczywiście po akcji na granicy, czekała nas, a szczególnie mnie, chwila upokorzenia, kiedy stanęliśmy pod bramą i przez domofon musieliśmy przyznać że byliśmy durnymi gnojkami. Pan Andrzej spojrział na nas z politowaniem. Kiedy dowiedział się, że studiujemy na SGH (on kiedyś ukończył tę szkołę), stwierdził, że możemy zostać u niego parę dni. Pan konsul nie radził pchać się na granicę z Kirgistanem, bo tam mogli nas nie przepuścić ze względu na nadzwyczajną sytuację w kraju. Twierdził, że lepiej jest polecieć samolotem od razu do Biszkeku. Następnego dnia poszliśmy kupić bilety. W wielkim, przeszklonym budynku z mnóstwem kas, sprawy można było załatwiać tylko w jednym okienku, które na dodatek co chwilę zamykano. Popatrzyliśmy na ceny. Oczywiście, dla Uzbeków były o niebo niższe niż dla nas. Było nam jednak już wszystko jedno, byle się stamtąd wydostać.

Pan Andrzej Krasnodębski zawiózł nas do konsula przy ambasadzie. Był nim sympatyczny i bardzo doświadczony były żołnierz, który tutaj dopiero się aklimatyzował.

Gdy opowiedzieliśmy mu naszą historię, prosił, żeby ją spisać. Zawiózł nas na lotnisko, gdzie zaryzykowaliśmy przejście siłą przez kolejne kontrolę, bez kupowania wiz wyjazdowych.

W towarzystwie konsula migiem przedostaliśmy się bez sprawdzania przez wszystkie bramki. Została tylko jedna, na której nas zatrzymano: „Gdzie wizy? Nie ma wyjazdowych?

To musicie kupić wyjazdowe!”. Wracaliśmy, a goście, którzy wcześniej nas przepuścili, byli wściekli. Zaufali, że mamy papiery w porządku i przez nas wpakowali się w tarapaty. Wychodziło na to, że będziemy musieli bulić kasę za wizy wyjazdowe. W Karakalpatii mogliśmy ściemniać, ale tu nikt się nie bawił. Przepis to przepis. Konsul zawiózł więc kłopotliwą wycieczkę na główną ulicę Taszkientu, a następnie, wraz z żoną, zaprosili nas na kolację.

Niesamowity klimat, przepiękny wieczór, a na dodatek w restauracji nie byliśmy już od bardzo dawna. I od dawna nie jedliśmy nic porządnego. Wieczorem gospodarz odwiózł nas z powrotem do konsula handlowego, który pozwolił nam kąpać się w basenie, nie zważając na to, że byliśmy brudni jak wieprze.

Podczas naszego kilkudniowego pobytu w konsulacie przychodzili biznesmeni usiłujący robić interesy na Wschodzie, bo „niespodziewanie” pojawiały się przeróżne kłopoty. Jeden wysłał dwa puste TIR-y z Polski po towar do Taszkientu. Kierowcy nie mieli pieniędzy na łapówki, a ze stu dokumentów potrzebnych przy przekraczaniu granic brakowało im rzekomo jednego. Jak już wcześniej pisałem, zwyczajowo podczas kontroli trzeba coś dać. Kierowcy nie dawali, więc milicja, straż graniczna i inne służby same sobie coś brały. Ciężarówki były pozbawione lusterek, radia, wycieraczek, a kierowcy na przykład przyborów do golenia. Więc pan Andrzej pomagał tym ludziom – jechał do Kazachstanu, załatwiał przepuszczenie polskich TIR-ów. Podobno był bardzo skuteczny. Zdarzało mu się także wyciągać z miejscowego pierdła polskich turystów, którzy z różnych powodów wpakowali się w tarapaty. Jak twierdził, my byliśmy o włos.

Burdel i akademik

Do końca pobytu pozostaliśmy pod opieką pana Andrzeja. Kupiliśmy bardzo kosztowne dla nas wizy wyjazdowe i zmęczeni komplikacjami zdecydowaliśmy się nie pchać ładem do Kirgistanu, przez Kotlinę Fergańską w której było w tych dniach niebezpiecznie. Opuściliśmy Uzbekistan jedynym na całej trasie lotem do Biszkeku. Do Kirgistanu lecieliśmy nad pustynią i górami, a sam lot był dla nas wielką atrakcją turystyczną. Lecieliśmy do kolejnego kraju, o którym nie wiedzieliśmy nic, oprócz tego że możemy na jego teren wjechać bez wiz. Nie mieliśmy jeszcze pomysłu jak z Kirgistanu dostaniemy się do Chin, wiedzieliśmy tylko że przez góry biegnie jakaś droga. Przynajmniej na mapie.

W Biszkeku, żeby było taniej, uzbieraliśmy całą taksówkę przypadkowych cudzoziemców. Pasażerowie jechali do bardzo drogiego hotelu Dostuk, a my do kolejnej mysiej dziury, którą obiecał znaleźć kierowca. I znalazł.

W hotelu zaczął nas przepytować jakiś facet, który nie wiedział o tym, że od całkiem niedawna cała nasza trójka ma awersję do przesłuchań. Był z milicji i powiedział, że jakbyśmy chcieli jakieś panienki, to za trzy dolary będą nasze. Gotów był nawet pomóc w dokonaniu wyboru i wskazał na siedzące w holu brzydule. Poszliśmy na miasto szukać bankomatów. Na bocznej ulicy zupełnie przypadkowo spotykaliśmy Hanię i Mikołaja, znajomych z liceum, którzy opowiedzieli nam o fajnym miejscu noclegowym, który miał nam się lada moment bardzo przydać. Wróciliśmy do hotelu, gdzie znaleźliśmy plecaki wywrócone do góry nogami – 15 dolców, prezerwatywy, golarka i kurtka zniknęły. Niby nic strasznego, ale zrobiliśmy sporą zadymę.

Hotelarze zarzekali się oczywiście, że to nie oni. Nie było co się kłócić ani wzywać milicję, bo w takim miejscu wszyscy byli skorumpowani. Próbowaliśmy zrobić dym, ale baba sprowadziła dwa monstra, połączenie Godzilli z Frankensteinem, jakbyśmy mieli jakiś problem... Gdy się zwijaliśmy, dogoniła nas z udawanym płaczem i mówiła, że to nie ona zrobiła.

A kto? Oddała kasę za nocleg, ale piętnastu „dołków”

i gumek nie. W sumie, nie tyle bolała strata paru groszy,

co zachwianie chroniącej nas aury, pozytywnej energii,

naruszenie wewnętrznego spokoju. Na szczęście, na zmartwienia nie było czasu, musieliśmy znaleźć jakieś spanie.

W autobusie ktoś polecił nam pobliskie „akademiki”. Okazało się, że były to mieszkania dla biednych rodzin.

Wzięliśmy

portierkę na dobre serce i znalazła nam pokoik na górze i to

za darmo. Pod warunkiem że o szóstej rano zrobimy zjazd.

A tam na środku pokoju góra śmieci, łóżko piętrowe bez materaców, tylko sprężyny, do tego stara kurtka, jakieś mechanizmy kulkowe, prądnicą, stare radio... w sumie niezły, studencki klimacik. Marcin odreagował stres, siedząc na szóstym piętrze na parapecie z nogami na zewnątrz. Sam wypił pół litra wódki. Rano ledwie mogliśmy zwlec go z łóżka

i trzeba go było ciągnąć razem z plecakiem, bo słabo kontaktował. Chwilami każdemu z nas siadała psycha. O szóstej popędziliśmy do mieszkania, które właśnie opuszczali Hania i Mikołaj. Miejsce okazało się wspaniałe. Najlepsza była babcia.

Babcia, czyli matka gospodyni, pełniąca rolę dobrego ducha domu. Co chwilę zadawała nam serię abstrakcyjnych pytań: czy już wyjeżdżamy? Kim jesteśmy? czy jeszcze śpimy i dlaczego tak długo? Najbardziej lubiliśmy, gdy wchodziła do nas o siódmej rano, kiedy spaliśmy w najlepsze i coś krzyczała. Zazwyczaj kazała nam się wynosić. Na początku byliśmy zdziwieni, ale później się przyzwyczailiśmy do tych babcinych akcji. Rzucaliśmy przez sen jakieś, nawet dla nas niejasne, odpowiedzi i zasypialiśmy ponownie aż do kolejnego alarmu, który tym razem wszczynali koty. Były tam bowiem dwa kociaki i jedna duża puszysta kotka, do której codziennie miauczał za oknem jakiś amant. Kotka biegała po nas i skakała, odbijając się od ścian, więc ją wyrzucaliśmy przez okno albo polewaliśmy wodą. Mieszkała

w kwartirze jeszcze gospodyni Natasza i studentka matematyki, która całymi dniami pracowała na komputerze. Płaciła sześć dolarów miesięcznie za pokój. My zaś trzy dolary za dobę, więc mieli z nas niezłą kasę, a my wspaniałe lokum.

Kolejka po mleko

Obudziłem się po siódmej, ubrałem się i wyciągnąłem z szafy stary, zakurzony baniak na mleko. Babcia też już wstała, a że mieszkancko było małe, spotkanie z nią było nieuniknione. Przywitała mnie jednym ze swoich porannych pytań, „czy już wstałem i kiedy wreszcie sobie pojedę?” Później gdy zacząłem zakładać buty, spytała, dokąd idę. „Po mleko!”, odpowiedziałem. Pokiwała głową i powiedziała, że mi zazdrości, bo ona nie może tego robić. Zdziwiony spytałem, dlaczego. „Bo jestem za mała”, brzmiała pełna żalu odpowiedź. Jak można być za małym, żeby iść po mleko? Dopiero następnego dnia zrozumiałem, że babcia nie mogła sięgnąć po słoik, w którym przynosiło się mleko, bo stał na najwyższej półce do której nie dosięgała.

Ósma rano dla mieszkańców ulicy Engelsa w Biszkeku była bardzo ważną porą. Wówczas bowiem na skwerku przy klatce numer jeden tanio kupowano świeżutkie mleko, śmietanę i białe ser. Wyszedłem na dwór. Ludzie na skwerze byli jeszcze rozproszeni, ale każdy miał zajęte miejsce w niewidzialnej kolejce. Co chwila pojawiał się nowy amator mleka i pytał: „Kto posljednij?”. I posljednij odpowiadał. Stałem więc na końcu kolejki.

Średnia wieku ludzi czekających w kolejce zdecydowanie przekraczała sześćdziesiątkę. W podgrupach dyskutowano mniej więcej o tych samych problemach: Dlaczego teraz jest tak źle? Dlaczego wcześniej było lepiej? W poszukiwaniu przykładów dobrych czasów sięgano aż do odległych wydarzeń II wojny światowej. Słuchałem z zainteresowaniem do chwili pojawienia się starej, żółtej lady, która zatoczyła koło i zatrzymała się przy najbardziej zaludnionej części chodnika. Sympatyczny młody człowiek, który z niej wysiadł, rozstawiając dwudziestolitrowe baniaki, tłumaczył się ze swojego spóźnienia. Przeprosiny kierował do wszystkich, głośno i odważnie przemawiał do tłumu, do swoich ludzi, którzy codziennie czekają w kolejce na jego przyjazd. Jakby był świadom, że oprócz dostawy nabiału, zapewniał ludziom jedyną rozrywkę. Następnie pospiesznie kroił i ważył sery, nalewał mleko i śmietanę. Kto zrobił poranne zakupy, zniknął pospiesznie, jakby chciał zademonstrować, ile to ważnych spraw ma jeszcze tego dnia do załatwienia. Dałbym sobie głowę uciąć, że po powrocie większość z nich głównie czekała następnego ranka, by ponownie spotkać się w kolejce.

Co rano więc wychodziłem piętnaście minut przed ósmą, by choć odrobinę nasycić się klimatem porannej kolejki, wziąć udział w sąsiedzkim spotkaniu, wymianie informacji i uwag, posłuchać, co opowiedzą posiadacze telewizorów. Bo przecież, gdy się nie ma pracy, gdy brakuje pieniędzy na rozrywkę, można, stojąc po mleko, brać udział w życiu wielkiego świata.

Magiczne ziele

I nagle stało się coś, co zważyło mnie z nóg. I to dosłownie. Leżałem nieprzytomny, bolał mnie łeb, tkwiłem niemalże w letargu. Nie wiedzieliśmy, co się dzieje, ale gdy po dwóch dniach cierpień wypłem zwykłą kawę, wszystko wróciło do normy. Wcześniej rozchorował się Marcin, a i Kubie zdarzyło się zatruć gdzieś w Taszkencie. Każdy miał swoje chwile, kiedy pozostali go „dźwigali”.

Do zdobycia wiz potrzebne było zaproszenie z Chin. Tu wsparła nas mama Marcina, absolwentka moskiewskiej szkoły handlowej, której znajomości zataczały wielkie koło zahaczając o rosyjskich baronów naftowych, księżniczki tajskie, czy chińskich generałów. Nam potrzebny był właśnie generał. W ciągu doby na podany fax przyszło zaproszenie chińskiego rządu dla trzech obdartusów (tego nie było w tym piśmie). Kuba uruchomił proces zdobywania chińskich wiz, który trwał tydzień, więc mieliśmy wolne i pewien pomysł co z tym czasem zrobić. Ruszyliśmy do Pakrowki przez góry dotykające jeziora Issyk Kul. W autobusie poznaliśmy miłą Rosjankę Olę, która zaprosiła nas do siebie, ot tak po prostu. Mieliśmy więc gdzie spać, a kiedy zdecydowaliśmy wyruszyć na wędrowkę, jej mąż zawiózł nas kilkadziesiąt kilometrów w głąb doliny, niemal do podnóża skalnego masywu.

Dróg ani ścieżek nie było widać, więc obraliśmy sobie punkt na horyzoncie i staraliśmy się do niego dotrzeć przed zmierzchem. I tak każdego kolejnego dnia obieraliśmy nowy punkt i znowu do niego dążyliśmy. Wędrowaliśmy bez map, co więcej – nie wiedzieliśmy nawet, dokąd chcemy dotrzeć. Tak byliśmy już zmęczeni swoim towarzystwem, że szliśmy oddzielnie – każdy własną ścieżką. Spotykaliśmy się w wyznaczonym punkcie. Deszcz lał jak w Macondo. Przesiąknięci na wskroś wodą szliśmy przed siebie, co jakiś czas napotykając stada owiec, których ścieżki służyły nam za szlak. Adrenalinę podnosiły kąpiele w górskich potokach. Musieliśmy bowiem wybierać między smrodem lepkiego od potu ciała a szokiem lodowatego prysznica. Ciało siniąło od zimna, zęby szczękały, wszystko się kurczyło, a koledzy pękali ze śmiechu i robili zdjęcia. Wstrętne dranie.

Byliśmy już tak nasączeni wodą, że nawet nie zdejmowaliśmy butów, kiedy przechodziliśmy przez kolejne rzeki. Wreszcie umęczeni kilkoma dniami wędrowki, nie osiągnąwszy niczego, bo żadnych celów sobie nie wyznaczaliśmy, rozpoczęliśmy odwrót, cokolwiek to miało znaczyć.

Ta zwykła górską wycieczka nie była jednak do końca taka zwyczajna...

Cały sprzęt rozdzieliliśmy na dwa plecaki, a trzeci załadowaliśmy wcześniej zebranym na łące magicznym ziele. Paliliśmy, nieustannie wymyślając coraz to nowe sposoby inhalacji. Wieczorne sesje kończyły się dziwnymi opowieściami i dobrym snem, ale te poranne skutkowały tym, że czasem cały dzień kręciliśmy się w kółko i pod wieczór zmachani wracaliśmy prawie w to samo miejsce. Nasza zielona towarzysza łagodziła za to ból kąpieli w lodowatej wodzie i zmęczenie nieustającymi ulewami. Pod koniec wędrowki byliśmy już nieźle zmuleni, ale jakimś cudem udało nam się dotrzeć w końcu do gliniastej drogi, którą wcześniej wjechaliśmy do doliny.

Przemykało nią BMW, siódemeczka w skórze, w sam raz na nasze zabłocone tyłki. Nie wiem, jak kierowcy udało się tam dojechać. Skoro jednak dokonał takiego wyczynu, to postanowiliśmy się z nim zabrać. Machaliśmy jak szaleni, ale się nie zatrzymał i bezczelnie nas minął (na drodze był tylko on i my) – miał w dupie koleśi próbujących załapać się na stopa w deszczu. Cóż, był górą! Do

czasu! Kilometr dalej utknął w błocie. A ponieważ dookoła nie było żywej duszy, nasza pozycja negocjacyjna była znakomita – owszem, zgodziliśmy się mu pomóc, ale za podwózkę. Alternatywą dla miejscowego biznesmena było drałowanie razem z nami po kostki w glinie. Wróciliśmy więc wygodnie i szczęśliwie nad piękne jezioro. Właściciel auta oglądał się co chwilę na białe skóry na których zasiedliśmy w naszych brudnych od błota ciuchach i opowiadał nam o swoich biznesach i sukcesach zawodowych. Zdziwiło mnie, że nie chciał nas skubany zabrać w taką pogodę.

Brama do Chin

W Biszkeku otrzymaliśmy wizy do Chin i natychmiast wyruszyliśmy w kierunku przesmyku Torugart. W Kirgistanie (jak i wielu miejscach na świecie) funkcjonuje bardzo ciekawy sposób podróżowania. Kierowcy wyruszający w odległe miejsca zatrzymują się na dużych parkingach pod miastami i czekają, nawet po kilka godzin, żeby znaleźć pasażerów, którzy dorzucą się do benzyny. Jeździliśmy tak już wcześniej, ale tym razem trafił się nam taki gruchot, że pod górę co rusz stawał. A że nie miał ani mocy, ani hamulców, natychmiast się staczał. Wyprzedzały nas nawet kozy. Kierowca był w stresie czy w ogóle dojedziemy, ale cieszył się że we trzech byliśmy w stanie pchać samochód w trudnych sytuacjach. Dotarliśmy jednakże do miasta Naryn, w którym zakwaterowano nas w prywatnym mieszkaniu – dostaliśmy miejsce na dywanie wśród masy nieznanymi ludzi, którzy także planowali wydostać się z Kirgistanu. Nie wszyscy legalnie. Mieszkaliśmy w zwykłym komunistycznym betoniaku, za którym nie było już nic, zaczynała się bezkresna przestrzeń pustyni. Tam mieliśmy wyruszyć następnego dnia. Przygoda z krajami byłych republik radzieckich zakończyła się więc w chwili, kiedy to rankiem następnego dnia wyruszyliśmy starą Wołgą, przez dolinę Torugart, do Chin. Torugart nie tylko brzmi jak nazwa miejscowości z książek Tolkiena, ale tak też wygląda i niezwykle, „baśniowo” pachnie.

Przejeżdżaliśmy przez góry Ałtaju, przez pustkowia i gigantyczne cmentarzyska, wzdłuż setek kilometrów granicznych zasieków. Po drodze oszałamiały nas górskie krajobrazy i szokowały mijające nas wypchane po brzegi złomem ciężarówki. Na końcu tej drogi, na przełęczy, znajdowała się wielka brama do Chin. Nie tylko symboliczna, ale także faktyczna, monstrualna brama, informująca podróżnego, że wjeżdża do innego świata i powinien o tym pamiętać. Brama oddzielała wpływy rosyjskiego imperium od wpływów Pekinu, dwa imperia, dwie kultury.

Bardzo trudno jest mi pisać o Chinach. Przemierzyliśmy tu z Kubą tysiące kilometrów i ciągle wszystko nas dziwiło: niewyobrażalny tłum, przez który się płynie niczym łódka, ludzie plujący sobie pod nogi, raj smaków i burza nieporozumień, notoryczne kłopoty z bankami, wymianą pieniędzy, formalnościami, opłaty za wejście do parków i niesamowite ilości rowerów. Oszałamiała nas magia i wielość kolorów, które sprawiały, że czułem się jak autystyczne dziecko, które nie jest gotowe na odbiór tak wielu bodźców. Słyszałem dziesiątki wykładów i opowieści podróżniczych o Chinach. Uwierzcie mi, tego nie da się tak po prostu oddać słowami.

W Kaszgarze graliśmy na pieniądze w bilard na środku ulicy. Muzułmańskie Chiny w niczym nie przypominały tych które znaleźliśmy z Pekinu. Największym przysmakiem były baranie głowy. Czuliśmy się bardziej jak w Uzbekistanie. Wszędzie targi zwierząt, konie zamiast samochodów, kozy na ulicach. Kaszgar, punkt styku światowych wywiadów, baza wypraw wysokogórskich, był dla nas także swego rodzaju punktem zero. Stąd mieliśmy wytyczyć nową trasę. Nadal ciągnęło nas do Tajlandii, ale drogi którą mieliśmy pokonać ten odcinek nie sposób nazwać prostą. Przez chwilę kusiło nas żeby wpakować się na pakę jakiejś ciężarówki i ruszyć na południe, do Tybetu. Mieliśmy jednak dość aresztowań, a wiedzieliśmy że wcześniej czy później trafilibyśmy w ręce chińskiej armii. Inna możliwa droga prowadziła na wschód, do Urumczy, najdalej położonego od oceanu miejsca na świecie. Świadomość, że od plaży dzieliło nas wiele tysięcy kilometrów, była bardzo deprymująca. Tym bardziej że od półtora miesiąca tkwiliśmy na pustyniach i oprócz kąpieli w górskich rzekach i jeziorach, z wodą wiele kontaktu nie mieliśmy. Jak na złość zatęskniło nam się za morzem i nasza podróż dostała przyspieszenia. Nie mieliśmy ochoty zwiedzać. Nie interesowały nas pomniki Mao, ani miasta. Wieś była po prostu biedna i też nie było tam nic co nas interesowało. Brakowało nam imprezy, lekkości, plaży i chyba ogólnie

odpoczynku. W naszej ekspresowej przeprawie przez Chiny zahaczyliśmy o Langzou, gdzie pojechaliśmy nad Żółtą Rzekę, w której Kuba zamoczył rękę, a my dziwiliśmy się, że mu nie odpadła. Podróżowaliśmy pociągami, między wagonami, na półkach i pod siedzeniami. Upychaliśmy się gdzieś wśród miliarda Chińczyków. Miasta przez które przejeżdżaliśmy były do siebie tak podobne, że nawet we wspomnieniach nie jestem w stanie ich od siebie odróżnić. Byliśmy w Chengdu na wielkiej wyżerce. Bo ilość kuchni, smaków i pomysłów na dziwne dania w tym mieście przerosła wszystko co znaleźliśmy do tamtej pory. Gdybyśmy nie wyjechali, to chyba zajęlibyśmy się na śmierć. Odwiedziliśmy park leniwych misiów Panda, gdzie misie były tak leniwe, że na sam widok zamykały nam się oczy. Na chwilę zatrzymaliśmy się też w Kunmingu, ale zupełnie nie pamiętam po co. Przejechaliśmy szybko przez Chiny bo nas męczyły. Nie było to wówczas nasze miejsce. Z Kunmingu ruszyliśmy na południe, by dotrzeć do świata, w którym wreszcie odnaleźliśmy nasz wewnętrzny rytm.

Laos

W najgorszych nawet sytuacjach należy pamiętać, że po trudach przyjdzie czas na nagrodę. Przemierzaliśmy tysiące kilometrów, pokonaliśmy czyściec byłych republik radzieckich, przebyliśmy ogromny obszar Chińskiej Republiki Ludowej, aby wreszcie wylądować w raju. Laos był krajem małych uśmiechniętych ludzi. Nie widzieliśmy żołnierzy z karabinami, zakazów i ograniczeń. Wszystko było lekkie, spokojne, nasycone słoneczną zielenią lasu. Tego nam było trzeba.

Na granicy chińsko-laotańskiej, pośrodku dżungli, stała budka. Ktoś doprowadził do niej odcinek szosy i powstało przejście graniczne. Laos był jakby zapomnianą enklawą, między cywilizacją Chin i Tajlandii. Urywały się asfaltowe drogi, kończyła chińska dyscyplina, a zaczynała nasza wolność i kontakt z naturą.

Wśród turystów z plecakami wyróżniał się mężczyzna o ciemnej karnacji i sympatycznej twarzy. Tak poznałem Santiago. Wówczas, na przejściu granicznym w Laosie wydał nam się kosmitą, zupełnie niepasującym do otaczającego nas świata. Podczas obu wypraw spotykaliśmy głównie Europejczyków i Amerykanów z USA, a tu nagle wesoły Argentyńczyk. Przez jakiś czas podróżowaliśmy razem, a Santiago opowiadał nam każdego dnia historię kolejnego romansu którego doświadczył w swojej podróży. Szyję miał obwieszoną wisiorami, z których każdy reprezentował inną poznaną w drodze kobietę. Szyja mu się uginała pod ciężarem naszyjników, miał ich około trzydziestu. To był dziki Santiago. Wiele lat później byłem w jego apartamencie w Buenos Aires, na ostatnim piętrze solidnego wieżowca, kilkaset metrów kwadratowych z widokiem na morze...

Po Laosie podróżuje się tuk-tukami albo łodziami. Tuk-tuk to samochód osobowy z kabiną z przodu i paką z tyłu. Pojemność auta zależy jedynie od determinacji pasażerów i wyluzowania kierowcy, a czasem na odwrót. Najczęściej jeździliśmy na zewnętrznych barierkach – całą drogę wisieliliśmy, trzymając się metalowych drążków i co chwila przybijaliśmy piątki z dziećmi wracającymi ze szkoły. Laos był dla mnie przedziwnym i przepięknym krajem. W zasadzie to takie wymarzone miejsce, w którym brakuje jedynie morza.

Po przekroczeniu granicy od razu odpuściły stresy. W Laosie nie mieliśmy mapy, więc nawet nie potrafie powiedzieć gdzie byliśmy. Ogólnie nadal kierowaliśmy się w stronę Tajlandii. Wskoczyliśmy do pierwszego z brzegu tuk-tuka który nam się nawinął i z ciekawością jechaliśmy dokądkolwiek. Dotarliśmy w ten sposób do rzeki i przesiedliśmy się do łodzi. Popłynęliśmy nurtem docierając wkrótce do wioski turystycznej umiejscowionej w sercu dżungli. W chatach, nieco tylko większych niż przeciętne laotańskie domki, mieściły się przytulne pokoje. Mieszkali w nich radośni backpackersi, spędzający całe dni w hamakach na czytaniu zabranych ze sobą książek. Z jakichkolwiek cywilizacyjnych wygód był tylko prąd, którego starczało na tyle, by po zmroku jako tako oświetlić maleńkie restauracyjki. W brązowej rzece kąpali się jedynie tubylcy i nasza trójka, bowiem we wszystkich przewodnikach opisano choroby, których można się nabawić, pływając w tropikalnych wodach. Szczęściem, nie mieliśmy ze sobą przewodnika. Kilka kilometrów od wioski znajdowały się zalane wodą jaskinie, a w nich wodospady i oczka wodne, w których również się kąpaliśmy. Gdzie się nie ruszyliśmy – bujna roślinność, cuda przyrody oraz pełno robaków najróżniejszych kształtów i kolorów. A

wszystko to dostępne bez biletów, barierek, urzędów, w przede wszystkim bez milicji i mundurowych, na których nie mogliśmy już patrzeć.

A może tuż-tuż...

Raz na kilka dni w wiosce odbywał się targ, na którym można było kupić kraby, pszczoły, pająki i wiele innych przysmaków. Ciekawiło nas, skąd przybywają tu ludzie z towarami, skoro nigdy nie udawało się nam znaleźć w dżungli innych wiosek. Kiedy żar słoneczny stał się już nie do wytrzymania, handlarze złożyli kramy i zawinęli się z powrotem do swoich domów. Ruszyliśmy za jedną z grup. Kobiety nosły na ramionach konstrukcje z drzewa, a na nich podwieszane dziesiątki koszy z ryżem. Szły boso po błocie, kamieniach, wśród ostrej trawy. Biegliliśmy niemalże za nimi, ale utrzymanie tempa wcale nie było łatwe. Przebierały małymi stopami w takim tempie, że co chwilę traciliśmy je z widoku.

W pewnej wyszliśmy z lasu na wzniesienie, za którym rozciągały się pola, a pośród nich niezliczone ścieżki wydeptane małymi stopami Laotanek. Zatrzymaliśmy się dosłownie na moment, który wystarczył, by kobiety rozpląnęły się wśród wysokich traw. Podejrzewam, że wyprawa do ich wioski zajęłaby nam wiele godzin. A może byliśmy tuż-tuż. Kto to wie... Zdawaliśmy sobie jednak sprawę, że nawet świat backpackersów, to i tak tylko turystyczna powłoka lokalnej rzeczywistości. Dalej, w głąb dżungli, zaczynał się świat, na który wówczas nie byliśmy gotowi.

W Laosie, naszą ulubioną rozrywką było pływanie na wielkich dętkach. Wypożyczyliśmy takie trzy jachty, po jednym dla każdego, po czym wywieziono nas samochodem kilka kilometrów w górę rzeki i pozostawiono samym sobie. Pozostało jedynie ułożyć się wygodnie w środku koła i spływać z nurtem, który przez parę godzin woził nas od brzegu do brzegu. W przerwach zaglądaliśmy do kolejnych jaskiń albo skakaliśmy do wody z wiszących mostów. Wszystko było proste, dostępne, dzikie. Nigdzie indziej w trakcie tej podróży nie znajdowałem się tak blisko natury, jak wówczas, w nasyconej zieloną wilgocią laotańskiej dżungli. Byliśmy zachwyceni.

Krzywe życie i gra w piłkę

Laos jest krajem niezwykle górzystym. Większość domów zbudowana jest na stromych zboczach, i gdzie się nie ruszyć, idzie się z góry albo pod górę. Utrudniało poruszanie się i przyprawiało mnie o „zukośnienie” – cały czas krzywo albo bokiem, albo pod górkę, nie wiadomo, jak mam się ustawić, a przecież nogi mam równe. Po kilku dniach te wszędobylskie krzywizny robiły się męczące.

Najlepiej czuliśmy się więc na boisku, jedynym w okolicy kawałku terenu stanowiącym ułożonym prostopadłe do wektora grawitacji. Trzyosobowe zespoły przekopywały wiklinową piłkę przez siatkę lub sznurek, które były zawieszane na wysokości czubka głowy. Nasze doświadczenie z boiska piłkarskiego przydało się, ale nie wystarczyło byśmy byli poważnie traktowani przez lokalnych zawodników. Gra była wyśmienita, ale rywalizować w niej mogliśmy jedynie z dziećmi do ósmego roku życia. W grze ze starszakami mogliśmy co najwyżej trzymać siatkę.

Opium

Siedzieliśmy w restauracji i jedliśmy siki laj (sticky rice – lepki ryż), jak wymawiają Laotańczycy nazwę twardego ryżu, który je się, odrywając palcami małe porcje od wielkiej grudki. Jakby nigdy nic, podeszła do nas kobieta, która za dolara sprzedawała nam worek gandzi. Nawet o tym wcześniej nie myśleliśmy, ale Marcin, w niezrozumiały dla nas sposób, przyciągał wszystkich, którzy mieli do sprzedania jakiegokolwiek środka halucynogenne. Kolega nie palił, jadąc przez całe Chiny, więc już nie mógł wytrzymać, kiedy dymek zawita w jego płucach i głowie. Mieliśmy szczęście, że wcześniej trafiła do nas informacja o ciekawej formie współpracy handlarzy i policji. Kobieta sprzedaje narkotyki turystom z Polski, oni je kupują i idą do hostelu. Wieczorem, kiedy palą, odwiedza ich policja i daje wybór – kasa albo więzienie. Parę dni wcześniej próbowali tak ugotować

pewnego Anglika. Przeszukali chłopaka całego, ten zaś cały towar trzymał w dłoniach, które miał podniesione do góry, dokąd oczy małych laotańskich policjantów już nie sięgały. Na wszelki wypadek, z zakupami Marcina, zaraz po zmroku pojechaliśmy do innego hotelu, znajdującego się parę kilometrów dalej. Tam zaś, na werandzie z widokiem na pola ryżowe, paliliśmy laotańską trawę i po raz pierwszy – jak setki lat temu kolonizatorzy – opium. Udało nam się do tego skonstruować nawet całkiem ładną fajkę.

Czas spędzony w Laosie był piękny, wolny, nawet wybór menu w restauracji był tak prosty, że nie wymagał choćby minimalnego wyteżenia umysłu. Wszystko lekkie, spokojne, miłe, naiwne. Czuję się tam cudownie i do dzisiaj wspominam Laos, jako jedno z najwspanialszych miejsc na świecie. Parę dni później jednakże byliśmy już w Tajlandii, która od miesięcy stanowiła nasz cel. Chyba...

Tajlandia, dobry dotyk

Tajlandia to prawdopodobnie najlepsza destynacja turystyczna świata. Czemu tak lekko rzucam takie stwierdzenie? Ponieważ to miejsce w którym, ilekroć jestem, zawsze znajduję coś ciekawego do roboty, niezależnie od tego jak chciałbym akurat spędzać czas. Już wtedy za pierwszym razem czuliśmy się lekko, smakowało nam jedzenie i nawet przy studenckich budżetach czuliśmy się dość swobodnie. Wygodny transport, dostęp do atrakcji, wspaniałe rafy i plaże, wodospady i bogata kultura dawały poczucie turystycznej pełni. Jednocześnie świat turystyki, choć dojrzały i rozbudowany, zachowuje swój lokalny klimat i wydaje się być nienachlanie wpisany w przyrodę, ludzi i tempo życia. Dopiero w Tajlandii na dobrą sprawę zaczęliśmy odczuwać istnienie rynku turystycznego. Przez długi czas poruszaliśmy się szlakiem podróźnych, ludzi miejsca, ludzi będących w pracy. Teraz zaś w pełni weszliśmy w świat wczasowiczów - ludzi, których celem było odpoczynek. To było dla nas nowe. Postanowiliśmy wziąć dla siebie co najlepsze, w tym także trochę wytchnienia, które było nam bardzo potrzebne.

Właśnie w Tajlandii odkryłem po raz pierwszy świat masażu. Wykonywane profesjonalnie i tanio, stanowią dla turystów szczególną atrakcję... i okazję do zrozumienia zjawiska dotyku. Tajowie z masażem mają do czynienia od dziecka – wzajemne masowanie jest formą okazywania emocji, ciepła, pięknym elementem codzienności, kontaktu z ludźmi. W Tajlandii zainspirowałem się tym tematem i zacząłem bacznie go obserwować.

W Polsce zdobyłem dyplom masażysty i jakiś czas praktykowałem w tym zawodzie. Początki były trudne. Musiałem się z nim oswoić, co było tym trudniejsze, że za każdym razem na stole kładła się inna osoba. Miałem blokadę wszczepioną znacznie wcześniej i sam nie znałem jej źródła. Dla Europejczyka dotyk bardzo łatwo narusza tabu. Nasza kultura „wyprodukowała” strach przed dotykiem, ostatnio wręcz histerycznie pogłębiany przez, słuszną skądinąd, walkę z pedofilią czy molestowaniem seksualnym. Nasz dotyk jest sztywny, sztuczny, nienaturalny, a jednocześnie jest nam potrzebny. Dotyk jest akceptacją i wymianą szczególnej bliskości i ciepła. W Azji, Afryce, Ameryce Południowej o dotyku się nie mówi. Tam w sposób naturalny, podczas pogawędki dotyka się ramienia czy dłoni rozmówcy. W krajach arabskich mężczyźni chodzą, trzymając się za ręce. Dotyk niesie ze sobą wiele energii, ciepła. Potrafi tworzyć poczucie bezpieczeństwa. W Tajlandii ten dotyk był wszędzie, był dla nas nowym i wspaniałym doświadczeniem.

Zabawa na maksa

W Tajlandii na imprezach w środku dżungli tańczyliśmy bez umiaru. Wśród dzikiej roślinności ustawiano ogromne „piece”, w kwiatkach paproci umieszczano didżeja, który, ku zdziwieniu małp i tygrysów, niósł szalone dźwięki drum'n'bas po całym lesie. Tak genialnej zabawy dotąd nie znałem. Jeździliśmy na Full Moon Parties, na Jungle Parties i wszystko inne co wiązało się z całonocnymi zabawami i tańcem do białego rana. To był maks naszych oczekiwań! Cóż, fiesty w Brazylii i na Kubie miałem dopiero przed sobą.

I tak sobie pewnego dnia tańczyliśmy wśród pięknych Tajek i nowo poznanych przyjaciół, gdy na ekranie zawieszzonego pod sufitem telewizora zobaczyliśmy, jak samolot uderza w jakiś wieżowiec. A potem jeszcze raz.

Ponieważ nie było słyhać komentarza, uznaliśmy to zdarzenie za tragiczny wypadek lotniczy. Grupa gringo's ze Stanów poznała natychmiast, że działo się to w Nowym Jorku. Gdyby nie to, że następnego dnia wydzwaniali do rodzin i znajomych i wszyscy mówili tylko o tym, o tragedii z 11 września dowiedzielibyśmy się pewnie po powrocie do domu. W ogóle nie interesowaliśmy się polityką, gospodarką, w zasadzie niczym, oprócz naszej codzienności. 11 września obudził nas z tego pięknego snu i skłonił do refleksji nad czymś więcej niż wybór między pad thai z krewetkami a pad thai z kurczakiem. Świat zaczął tworzyć spójną całość. Nagle zrozumieliśmy co działo się w Uzbekistanie. Strach przed Talibami, stan wyjątkowy, ciągłe kontrole, amerykańskie wojsko. Cały okres naszej pustynnej podróży i dyskotekę w Tajlandii nagle połączyła niewidzialna nić, za którą tym razem stała wielka polityka. Wszystko nabierało sensu i wydawało nam się jakby bliższe. Wśród turystów jednakże zapanowała psychoza, bezpieczny zachodni świat przestał istnieć. Tajowie żyli dalej swoim życiem.

Grass, grass!

Ten tajski luz nie tak łatwo jest osiągnąć. Można urodzić się Tajem, medytować nad byciem Tajem, albo wybrać drogę na skróty. Jak my. Tajlandia ma w ofercie bardzo ciekawe koktajle. Szczególnie godne polecenia są gandja shake i mushroom shake. Jak nazwy wskazują, jeden to shake z dodatkiem marihuany, a drugi grzybów halucynogennych. Można je kupić w tych knajpach, gdzie sprzedawcy nie czują się zagrożeni przez policję turystyczną. Gdy na wyspie Phan-gan pewnego wieczoru wracaliśmy do naszego lokum, z krzaków dobiegł cichutki głosik: „Grass, grass”. Marcin ma jakiś siódmy zmysł w odbiorze tego typu sygnałów, więc natychmiast zawrócił. Za chwilę siedzieliśmy przy stole w domu niemieckiego turysty, który zamiast wrócić z wakacji do domu, ożenił się z piękną niegdyś Tajką i od kilku lat mieszkał na wyspie.

A żeby mu się lepiej żyło, sprzedawał trawę i grzyby. Grzyby, warto wiedzieć, rosną tylko na kupach bawołów wodnych, stąd zapewne ich magiczne właściwości.

Dobiliśmy targu i poszliśmy spać. Sen był niespokojny bo trochę stresowały nas przetrzymywane pod łóżkiem worki. Jednak w tym konkretnym miejscu policja pojawiała się sporadycznie i mało kto przejmował się karą śmierci, czy dożywotnim więzieniem w nieludzkich warunkach. Kolejny dzień zaczęliśmy od potrawki grzybowej, a potem, bez zbędnej zwłoki, ruszyliśmy na plażę. Pamiętam, że to był piękny dzień. Poszedłem się kąpać w morzu,

a kiedy wyszedłem z wody, zauważyłem, że na mojej skórze pojawiła się jakaś dziwna faktura. Kuba się spytał, co robiłem przez trzy godziny w wodzie? Trzy godziny? Dla mnie te trzy godziny były chwilą, kiedy beztrudno pływałem, próbując pod wodą dotknąć nosem ogonków trzech małych czerwonych rybek. A może to ja byłem rybką? Kiedy tylko ułożyłem się wygodnie na plaży, przyszedł Marcin i okazało się że obaj mamy niezwykłą zdolność i potrafimy słyszeć myśli innych ludzi. Wydawało nam się to niezwykle ekscytujące, więc rechotaliśmy nieustannie, zwracając na siebie nieco za dużo uwagi pozostałych plażowiczów. Faza minęła łagodnie. Wieczorem wpadliśmy do Niemca - dealera, żeby opowiedzieć, jak było. Za nami przyplątał się nadęty Nowozelandczyk. Opowiadał, że jego grzyby nie ruszają, bo u siebie ma lepsze. Na dowód zjadł porcję XXXL. Minęło jeszcze z pół godziny i nagle zaczął dziwnie skakać i popiskiwać, po czym wbiegł do dżungli z krzykiem i już go więcej nie widzieliśmy. Świetne te grzyby.

Rajska plaża

Nasze lokum znajdowało się w szeregu najtańszych chatek. Obok mieszkaly prostytutki, które co rusz ściągały sobie klientów. Jakby polskie kutry miały takie branie, bo byśmy chyba same ryby jedli. Kiedy jedna z nich pracowała, pozostałe siedziały na zewnątrz i kusiły. Nie mieliśmy dużo wygodniej, bo w ramach programu OPEX spaliśmy we trzech w jednym łóżku i jak chcieliśmy zmienić bok, musieliśmy obracać się wszyscy jednocześnie. Najpiękniejsza z dziewczyn miała długie czarne włosy i niezwykle spojrzenie. Jeszcze wtedy nie wiedzieliśmy że urodę Tajek najlepiej oceniać po wielkości stóp. Gdy postanowiliśmy zrobić jej sesję zdjęciową, okazało się, że

mówi basem i przynajmniej jakiś czas temu miała siusiaka. Transwestytów w Tajlandii było na pęczki, a charakterystyka godna filmów Spielberga sprawiała, że łatwo było się pomylić.

Dużo czasu spędzaliśmy z naszymi znajomymi z Portugalii. Ricardo, młody architekt z bogatej rodziny, wziął w podróż, do bzykania, młodszą siostrę swojej byłej dziewczyny. Pewnego dnia przyjechał po nas i powiedział, że znalazł rajską plażę, na którą musi nas zabrać. Mieliśmy się spakować i wynieść z chatki. Rozpoczęliśmy negocjacje, żeby nie płacić za kolejny nocleg. Właścicielce się to nie podobało i dzisiaj się z nią zgadzam, ale wtedy mieliśmy inną koncepcję i zrobiła się zadyma. Nagle Kuba w dyskusji z właścicielką podniósł głos. Kiedy usłyszał to jeden z chłopców, chyba jej syn, złapał wielki kuchenny nóż i skoczył do Kuby. Mały miał może ze dwanaście lat, a w oczach coś takiego, że nie miałem wątpliwości, jak daleko mógłby się posunąć. Tajowie mają w sobie wojownika. Warto o tym pamiętać. Niech lepiej siedzą sobie na tych swoich hamakach. Ostatecznie dogadaliśmy się i wyjechaliśmy w pokoju. Czekanie pod drzwiami i dyskusje z szefową miały jednakże inne fatalne skutki. Nie zauważyliśmy, że w tym czasie zaczęły nas zjadać wielkie, czerwone mrówki. Ból był straszny, a ślady gigantyczne. Dostaliśmy nauczkę i to już po raz drugi, jeśli pamiętacie nasz wyjazd z głównianego hotelu na Ukrainie.

Ból minął, jak ręką odjął, gdy po godzinie wyjechaliśmy na rajski, niemalże bezludny cypel. Przepięknie kolorowa rafa koralowa znajdowała się na głębokości trzech metrów i zaledwie pięćdziesiąt metrów od brzegu. I do tego huśtawki na palmach. Jak w katalogach turystycznych, tylko bez turystów i hoteli. Raj. Uczyliśmy się tam wchodzić na te palmy i zrywać kokosy, co wcale nie było bezpieczne. Ale to z zupełnie innych powodów niż możecie się domyślać.

Na rajskiej plaży jedynym potencjalnym zagrożeniem był Alan. Był gejem, o czym nie omieszkał nas poinformować, jeszcze zanim powiedział, że ma na imię Alan. Apartamenty w Londynie, których był właścicielem, pozwoliły mu osiągnąć pełen luz w życiu. Po kilku dniach odniosłem wrażenie, że zaakceptował nawet to, że jesteśmy innej orientacji. Chodziliśmy razem na imprezy i ogólnie sporo gadaliśmy na różne życiowo – plażowe tematy. A że był fajnym gościem, na pożegnanie powiedziałem, że miło go było poznać, jako kumpla. Na to odpowiedział, że jemu też było miło i że nigdy nie zapomni, jak zrywałem dla niego kokosy. Przede wszystkim, to, kurwa, wcale nie dla niego... Następnym razem będę uważać z tymi kokosami, pilnie się rozglądając, czy pod drzewem nie stoi jakiś Alan.

Niezbadane są wyroki...

Pokochaliśmy Tajlandię i zawarliśmy w tym kraju wspaniałe znajomości. Następnego dnia piętrowym, luksusowym autokarem pełnym turystów ze wszystkich kontynentów, wyruszyliśmy do Bangkoku. Nie mogliśmy przewidzieć, że właśnie pakujemy się w najniebezpieczniejszą przygodę, jaka mi się przytrafiła podczas podróży.

Pędziliśmy dwupasmową, asfaltową szosą wiodącą prosto do celu. Spałem, a przez sen słyszałem szum opon i rytmiczne dudnienie deszczu. Wydawało się że jesteśmy u kresu naszej wyprawy i że nic nie może nas już zaskoczyć. Nagle bujnięcie w prawo, w lewo... Kuba twierdzi, że było ich kilkanaście, mnie się wydawało że trzy... i kolejne, po którym wiedziałem że będzie cienko, bo osiągnęliśmy kąt z którego żaden pojazd sam nie byłby w stanie wrócić do pozycji wyjściowej. Rozpędzony pojazd przewrócił się, przejechał kilkaset metrów na dachu i finalnie wylądował do góry nogami w pobliskim bagnie. Pasażerowie z pierwszych siedzeń powypadali przez przednią szybę, inni przelecieli przez przejście, lub jak my, wylądowali do góry nogami na suficie. Zapadła cisza. Dopiero po chwili ludzie zaczęli wygrzebywać się z autokaru. Sprawdzali, czy nic im się nie stało i czy inni się ruszają. Z zewnątrz usłyszałem zaniepokojony głos Kuby: „Bartek, odezwij się!”. Niesamowite uczucie, gdy człowiek leży w wodzie, zamknięty w swoim strachu, we wraku autokaru i nagle słyszy głos przyjaciela. Naprawdę piękna chwila.

Wydostałem się na zewnątrz. Adrenalina znieczuliła mnie zupełnie, więc nie czułem zimna, wilgoci ani bólu. Wracałem kilka razy do wraku, wyciągałem z zakamarków dokumenty i bilety lotnicze ludziom, którzy o to prosili. Na ratunek pierwsza przybyła telewizja, potem dopiero karetka.

Okazało się, że kierowca naszego autokaru nie miał prawa jazdy ani nie osiągnął wieku pozwalającego na jego wyrobienie. Zabrał parę kaset z muzyką i uciekł. Chwilowo nie mieliśmy czym jechać dalej do Bangkoku. Był środek nocy. Przed nieustającym deszczem schowaliśmy się nieopodal w sklepie. Oddaliśmy z Marcinem nasze ciuchy zmarzniętym Tajom z autokaru. Wszystko było w porządku, tylko Kuba gdzieś zniknął. I wkrótce odlatywał nasz samolot. Marcin zadzwonił na policję. Z drugiej strony słuchawkę podniósł... Kuba. Był już pozszywany i wkrótce przysłał po nas auto policyjne. Podobnie jak wielu pasażerów, wylądowaliśmy w szpitalu, stanowiąc jedną wielką, nieszczęśliwą rodzinę. Najwspanialsze było to, że wszyscy przeżyli katastrofę, co wydawało się cudem. Może dlatego, że wylądowaliśmy w bagnie i nic się nie zapaliło. Gdy nas opatrywali, zesłała ze mnie cała adrenalina i prawie się rozplakałem, gdy pielęgniarka połała mi obtarcia wodą utlenioną.

Wkrótce firma przewozowa podstawiła busy, którymi dojechaliśmy do Bangkoku. Kuba został jeszcze jakiś czas w Tajlandii, następnie objechał Australię i Stany Zjednoczone. W sumie nie widzieliśmy się ponad dwa i pół roku, bo gdy wreszcie wrócił do kraju, akurat wybrałem się „na stopa przez Atlantyk” i dalej, do Ameryki Południowej.

We dwóch wróciliśmy do Polski, gdzie Marcin rozpoczął skuteczny romans z moją dziewczyną podsumowując w ten sposób naszą prawie dziesięcioletnią przyjaźń. O stałej pracy jeszcze nie myślałem i czułem że chcę jeszcze raz wyruszyć w drogę. Tym razem chciałem być sam. Miałem dość Wschodu i postanowiłem udać się w przeciwnym kierunku, tym bardziej że akurat wpadłem na pomysł, jak bez samolotu przedostać się na drugą stronę oceanu.

Do tamtej pory ład ograniczał, jechaliśmy tak długo aż się kończył kontynent. A w zasadzie po kilku miesiącach znowu byliśmy nad jakąś dużą wodą. Kolejnym krokiem w moim podróżowaniu było przełamanie tej granicy, otwarcie drogi bez końca, nie ograniczonej niczym więcej jak moją wyobraźnią. Jednak moja przygoda z morzem zaczęła się wiele lat wcześniej.

MORZA I OCEANY

Morze Bałtyckie, Gdynia, Bornholm, Kilonia, St. Malo, Brest, Atlantyk u wybrzeży Hiszpanii, wybrzeża Walii, Portsmouth, Jersey, Guernsey, Zatoka Biskajska, Morze Adriatyckie, Split, Dubrovnik, Wenecja, Bari, Brindisi. Pierwsze kroki na morzu, rejsy na harcerskim jachcie „Zawisza Czarny”.

Miałem szesnaście lat, gdy po znajomości załapałem się na rejs harcerski po Adriatyku. Wcześniej bywałem już poza granicami kraju, bo kiedyś mój tata rozpędził się z górki maluchem i tak jakoś wyszło, że przez Słowację, Czechy i Austrię dojechaliśmy na Węgry. Pamiętam, jak grzaliśmy autostradą do Wiednia, wykorzystując tunel aerodynamiczny utworzony przez jadącą przed nami śmieciarkę. Oszołomieni wydarzeniami wróciliśmy jednak jak najszybciej z wielkiego świata do kraju. Niezwykle wówczas dla dwunastolatka przekroczenie granicy państwowej miałem za sobą. Tym razem jednak sprawa była poważna. Rozpoczęła się wielka przygoda żeglarska na pokładzie „Zawiszy Czarnego”, która miała zaważyć na moim przyszłym życiu.

Wilk morski

Cała epoka minęła już od chwili, która tylekroć wraca we wspomnieniach: Żaglowiec stał przy gdyńskim skwerze Kościuszki na kei, a my, kilkunastu chłopaków z dopiero co zamustrowanej załogi, podawaliśmy powoli ogniwa łańcucha kotwicznego, nawijanego przez kabestan na ogromny walec. Uważaliśmy przy tym, żeby był on rozrzucony pod naszymi nogami w węzłowych splotach, nie wyrwał się nam z rąk i nie wbił kilkunastym ciężarem w muliste dno portu. I jak to zwykle w takich przypadkach bywa, niespodziewanie straciliśmy kontrolę nad wydarzeniami. Żelastwo z rumorem, coraz szybciej i szybciej zsuwało się do morza. Staliśmy oniemiały i bezradni... Było nas kilkunastu, ale mimo prób, nikt nie był w stanie zatrzymać łańcucha. Sprawa wydawała się

przesądzona. Wtem, stop! Ogromnej postury wytatuowany brodacz (mechanik) ze spokojem zatrzymał nogą pędzące zwoje. Wow! Kiedy jako dziecko marzyłem o wielkim żeglowaniu, tak właśnie wyobrażałem sobie wilka morskiego.

„Zawias”

Trzy kolumny masztów, dziesięć zrolowanych „szmat”, dotknięcie trapu, pod nogami ledwo wyczuwalne, delikatne bujanie pokładu pod wpływem portowych fal. Krzątanina przygotowań i wreszcie wyjście w morze. Paradoks „więzienia”, zamkniętego świata dającego niewyobrażalną wolność, za którą tak bardzo tęskni się na łodzi. Załoga to kilkudziesięciu początkowo obcych sobie ludzi, ściśniętych na niewielkiej przestrzeni i przez to skazanych na siebie. Wystarczyło jednakże stanąć przy burcie i wpatrzeć się w otchłań wody, w bezkres oceanu, by ujrzeć całe swoje wnętrze, wszystkie pragnienia i lęki, znaleźć odpowiedź na pytanie: „Po co tu jestem?”.

Byłem tu po to by zmierzyć się z przestrzenią, poznać język wiatru, poczuć słony smak wody, przeżyć te najcudowniejszą chwilę nadchodzącą i trwającą wówczas, gdy kapitan zarządził wyłączenie silnika. Szliśmy wówczas na samych żaglach, spokojnie, dostojnie, świątecznie. Przecinaliśmy wielkie fale wspomagani jedynie przez naturę, pełni podziwu dla geniuszu ludzkiego i dla potęgi Stwórcy.

Zanurzony

w ciszę i samotność, czułem wówczas nad sobą tę niezwykłą moc, którą zwykliśmy nazywać Bogiem.

Poranek na morzu

Codziennie wieczorem modliliśmy się, żeby następnego dnia na obiad była kasza lub makaron. Jeśli nie zostaliśmy wysłuchani, pierwszą czynnością wstającego dnia było obieranie ziemniaków. Robiliśmy to, zanim jeszcze zdołaliśmy się na dobre obudzić. Każdy, kogo udało się wypędzić z kubryku, dostawał nożyk i zaczynał rzeźbić, wsłuchując się w rapowy rytm monologu kuka: „W kosteczkę nie wolno. Chodzi o to, by skórka była jak najdłuższa. Ile obrałeś ziemniaczków? Cztery? Małe czy duże? A! Małe. No to jeszcze jeden duży i możesz iść spać. Zostało jeszcze dwanaście minut do pobudki. Jeśli będziesz szybko spał, to warto się jeszcze położyć. To może być ostatnie dziesięć minut snu tej doby”. O poranku zaś padaliśmy na kolana. Doskonały trening dla mięśniaków – sto ruchów prawą rączką, sto ruchów lewą, sto... Dla prawdziwych ludzi morza szorowanie pokładu było poranną, gorliwą modlitwą mającą udobruchać złe duchy. Koordynatorem tych modłów, jak i wszelkich innych prac pokładowych, był bosman. Jego fenomen polegał na tym, że o ile zwykły człowiek widział na jednostce pływającej to, co widział, bosman widział wszystko jednocześnie i na dodatek trójwymiarowo. W tym wszechwidzeniu dzielił statek na dwie strefy: tę, w której było coś do zrobienia, i tę, gdzie roboty nie było. Druga strefa istniała tylko w żeglarskich legendach, jak śpiewające syreny.

Rytuał szorowania pokładu zepsiał przed laty, gdy odwieczną „cegłę” zastąpiono pieniącą się chemią, przeważnie lawendową. Na Neptuna! zapach lawendy pośrodku oceanu to profanacja. Ale było lekko, łatwo, przyjemnie...

i zawsze jeszcze za mało dokładnie. Podobnie jak z polerowaniem mesingów, mosiężnych części statku, które w słońcu powinny oślepić blaskiem. Bosman nigdy nie był w pełni usatysfakcjonowany. Poczciwy „Zawias” jak poufale i przyjaźnie nazywamy „Zawiszę Czarnego”, przerobiony ze starszej ode mnie o dwa pokolenia krypy do połowu śledzi, napędzany zdychającym motorem z niemieckiego U-boota, był jednym z ostatnich już miejsc, w których mogłeś poczuć smak starej, dobrej tradycji żeglarskiej. Na jego pokładzie do dziś nie gwiżdże się i nie śpiewa złowróżbnych pieśni żeglarskich o śmierci ludzi i okrętów. Żadnych „Sześć błota stóp” czy „Chłopców z Albatrosa”, bo wiadomo, że to przynosi pecha. Zaś gdy mijaliśmy burta w burtę inny żaglowiec, stawaliśmy wzdłuż relingów na baczność, żeby oddać honory i buczeniem syreny pozdrowić morskich wędrowców.

Bracia Neptuna

Na morzu dochodziło do przewartościowania pojęcia siły i słabości. Pamiętam, jak podczas silnego wiatru rozmarlował się jeden ze sztakśli. Dwóch najsilniejszych chłopaków poszło na dziób sklarować żagiel. Nagle wielka fala wdarła się na pokład, uniosła śmiałków i cisnęła nimi o dechy, rozbijając jednemu głowę. Na szczęście byli przypięci to relingów, więc nie zabrała ich za burtę. Wszyscy opuścili ręce pewni, że wiatr i silne uderzenia wody rozerwą zostawiony teraz żagiel na strzępy. W tym samym momencie ujrzelśmy na dziobie bosmana: w koszulce z krótkim rękawkiem, w kłapeczkach i – jak zwykle – z papieroskiem w ustach, składał wielkie płótno, do którego podchodziliśmy zazwyczaj we dwóch lub we trzech. Potężne fale, jakby z obawą wyczekiwały, aż dokończy dzieła. Bosman, mechanik, a także wielkiej klasy kapitanowie, byli dla nas tutaj niemal półbogami, braćmi Neptuna.

Pamiętam jak dziś moment, kiedy podczas zlotu wielkich żaglowców wchodziliśmy „Zawiasem” do portu w Gdyni. Wykonywaliśmy manewr zawracania o 180 stopni, aby zmieścić się przy kei tuż przed przepięknym „Aleksandrem von Humbolt”, statkiem z reklamy Heinekena, znanym z fantastycznych zielonych żagli. Ustawieni dziobem w kierunku jachtu mieliśmy właśnie dać całą wstecz, aby wykonać obrót, ale w tym momencie pięćdziesięcioletni silnik od U-boota odmówił posłuszeństwa. Płynęliśmy dość szybko, niebezpiecznie zbliżając się dziobem do burty „Aleksandra”. Stałem tuż za kapitanem i widziałem tylko jego zaciskającą się pięść. Nie mógł nic zrobić. Po prostu czekał. Nie krzyczał, nie machał rękami. Jego zdenerwowanie zawarło się w zaciśniętej z całej siły dłoni. Dosłownie w ostatniej chwili silnik odpalił, ale rozpęd był na tyle duży, że dziobem udało nam się zerwać część olinowania niemieckiej piękności. Dało się słyszeć trzask pękających want i fałów. Dźwięki były spektakularne i zdarzenie w niczym nie przypominało niewinnej stłuczki samochodowej. Szczęściem nie doszło do spotkania twardego z twardym, jednak straty były spore. Gdy tylko przybiliśmy do kei, kapitan wziął kilka flaszek i poszedł dogadywać się z dowódcą uszkodzonej jednostki. Dwie godziny później wszyscy zapomnieli o sprawie. Tylko w mojej głowie pozostało wspomnienie o silnych nerwach kapitana.

Wachta kambuzowa

Zanim pierwszy raz zamustrowałem na „Zawiasa”, stary kuter rybacki przed dziesiątkami lat przerobiony na szkoleniowy jacht żaglowy, sądziłem, że panują na nim zwyczaje, z którymi spotykałem się na śródlądziu: pajda chleba, konserwa lub „zdechły” śledź otrzepany z soli. Dziś palę się ze wstydu na samo wspomnienie swego nieobycia. Czymże bowiem jest cała sztuka żeglarska, banał nawigacji, umiejętności najzręczniejszych szkutników przy dziełach tworzonych każdego dnia przez kuka? Wachta kambuzowa również niewiele miała wspólnego ze zwykłym mieszaniem w garach. Szczególnie wówczas, gdy żaglowiec sztormuje lub idzie pod żaglami bocznym wiatrem, wyrafinowaną sztukę kulinarną zręcznie łączyło się z ewolucjami znanymi jedynie z renomowanych cyrków rosyjskich.

W ciasnej, zaparowanej kuchni powstawało wówczas niewyobrażalne zamieszanie. Świat zbudowany mniej więcej w pionie, uzyskiwał przechył do kąta 40 stopni. W tych warunkach jednym z bardziej ekstremalnych zadań stawał się transport posiłku, na który czekała wygłodniała załoga. Pamiętam jak dziś: wychodzę z kambuza, trzymając kurczowo oburącz skrzynkę pełną szklanek i talerzy. Od drzwi do kubryku dzielą mnie trzy kroki po pokładzie i kilka schodków w dół. Obserwuję morze, układ fal i częstotliwość przechyłów szkunera. Wyczuwam odpowiedni moment i ruszam. Pierwszy krok. Drugi. Nagle pokład zalewa fala, na której surfuję do samej burty. Z trudem utrzymując równowagę, opieram się o żyglinę (metalowa lina w którą wpinamy się karabinkiem podczas sztormu, można sobie na niej spokojnie wisieć i wymiotować, kiedy przez pokład przelewają się fale). Muszę rozpocząć wspinaczkę pod stromo sterczący, śliski pokład lub poczekać, aż statek choć na chwilę stanie w poziomie. Kolejna wielka fala, wpływając pod kadłub, mozolnie unosi lewą burtę. I to jest moja szansa. Skaczę! Wielkim susem dopadam drzwi i natychmiast jednym ramieniem zapieram się o poręcz,

a nogą o przeciwległą ścianę. Chwila uzyskiwania równowagi i powolotku, delikatnie jak motylek ześlizguje się z kolejnych stopni w dół. Mam! Nie! Mocny wstrząs zabiera spode mnie wszelkie punkty podparcia, szybuję w stronę podłogi, która jeszcze przed chwilą była ścianą. Zaliczam glebę, a skrzynka ląduje szczęśliwie w rękach Magdy, koleżanki z wachty.

Kiedy wachta kambuzowa niewytłumaczalnym cudem dostarczyła jedzenie na dół, w nagrodę mogliśmy się rozkoszować spektaklem pod tytułem „statek latających kotletów”. Ani sztormdechy, ani ręce kolegów nie są w stanie utrzymać obiadu chociażby na chwilę w bezruchu. Zupa gwałtownie zaczynała małpować ocean, a posłuszne zazwyczaj kartofelki beztrudno hasały sobie po całym kubryku. Natychmiast też pogwałcone zostawały wszelkie zasady dobrego zachowania przy stole. Przy młodym sztormie, gdy załoga nie została jeszcze zdziesiątkowana chorobą morską, wszyscy jak jeden mąż rzucali się w pościg za smakołykami. Atmosfera sprawiała wrażenie orgiastycznej balangi na promie kosmicznym. Konsumpcję utrudniał ścisk. Uczestnicy biesiadowali po osiem, dziewięć osób przy malutkim stoliku. O sukcesie zaś decydowała współpraca wachty. Najlepiej było wówczas podzielić zespół na numerki parzyste i nieparzyste, siedzące na przemian. Gdy parzyste synchronicznie wykonywały chwyt i natychmiastowy połyk z ukłonem, druga grupa spokojnie przygotowywała się do swojej kolejki, z której lepiej było nie wypaść, przegapiając całą łyżkę zupy.

Morskie żarciki

Jak wiadomo, sytuacje ekstremalne przynoszą wiele ciekawych pomysłów. Na jednym z rejsów, do kanonu zachowań przy stole wprowadziliśmy grę, zupełnie nie do przyjęcia przez cywilizowanych ludzi na lądzie. Podczas posiłków

siedzieliśmy przy stole ściśnięci na wąskich ławkach. W zasadzie jeden na drugim, bo nie było wiele miejsca, a i tak posiłek nie trwał zbyt długo. W takich warunkach powstał pomysł na mój ulubiony dowcip. Wkładamy łyżeczkę do herbaty. Czekamy, aż metal rozgrzeje się do odpowiedniej temperatury. Wówczas wyjmujemy ją i przykładamy ją do szyi osoby siedzącej obok. W 99 procentach przypadków zaskoczony sąsiad wykonuje energiczny ruch głową, uderzając nią zazwyczaj w inną głowę. Ręką natomiast próbuje złapać się za oparzone miejsce i w tym właśnie momencie szczególny efekt możemy uzyskać dzięki trzymanej oburącz przez zaatakowanego osobnika wazie z zupą. Ot, niewinne żarciki „kociąt” morskich.

Również notoryczne niedospanie załogi bywało przyczyną wielu „bardzo wesołych” sytuacji. A przecież nic tak nie integruje załogi jak wspólne psikusy. Wystarczy zdrzemnąć się na chwilę na pokładzie... Budzisz się, a tu cała banda pomyleńców ryczy ze śmiechu. Na wpół przytomny próbujesz się włączyć i nagle pojmujesz, że to ty jesteś sprawcą zbiorowej radości.

Ofiarą takich żartów padłem, gdy wchodziliśmy do Wenecji. Już wcześniej kazano nam zająć stanowiska, więc usiadłem sobie oparty o burtę i choć bardzo starałem się podziwiać piękno widocznego z daleka miasta, sen był silniejszy. Obudziłem się, czując trudności w oddychaniu.

A pierwsze, co ujrzałem, to rechoczących kolegów. Szoty od knagi szły prosto do moich ust. Kolega zdołał mi wepchnąć do przełyku kilka centymetrów grubej liny.

Innym razem jeden z oficerów położył się na środku pokładu w nadziei, że wreszcie nadrobi kilka nieprzespanych nocy. Zdjął koszulkę, chcąc się przy okazji opalić. Wszyscy jednakże wiemy, jak niezdrowe jest opalanie bez kremu. Gdy się obudził, cały był obklejony dżemem i kromkami chleba, które bardzo mocno przyległy do ciała.

Takich i innych „żarcików” robiliśmy co nie miara.

W pewnym momencie zaczęła panować ogólna psychoza, bo wiedziałeś, że jak zaśniesz, to obudzić się możesz nawet wisząc za nogę na rei. A spać chciało się cały czas. Takie zachowania były wówczas niemalże normą, po kilku dniach bez widoku lądu, zaczynało nam odbijać. Wspomnienie tej dziecinady wróciło do mnie parę lat później, gdy tydzień po tygodniu widziałem jedynie ocean i ani w głowie mi było obklejać kogokolwiek kanapkami.

Upokarzająca pozycja

Silne bujanie i przechyły dostarczają niezapomnianych wrażeń podczas wykonywania tak podstawowych czynności jak spanie, jedzenie czy sikanie. Gdy statek znajdował się na kursie wzdłuż fal, błędnik pomagał się zorientować, która ze ścian stanowi w tym momencie nasze łóżko. Najwięcej pomysłowości wymagało spanie na bakistach, gdzie nie było bocznych zabezpieczeń. W związku z powyższym, jedną nogą silnie opierałem się o stół, ręką trzymając się półki, drugą najbliższego łóżka, a drugą nogę najlepiej było od razu trzymać na podłodze. Sen w takiej pozycji był zazwyczaj czujny i płytki. Po paru godzinach z ulgą wychodziłem na nocną wachtę nawigacyjną lub alarm wzywający do żagli. Bo na dużej jednostce do każdego manewru, przy którym czasem w jednej chwili trzeba obsługiwać ponad osiem żagli, potrzebna jest większość załogi. A po upojnej nocy, raniem zaczynała się wędrówka dusz. Wyrwani z łóżeczek, przede wszystkim szybciotko biegliśmy w kolejkę do kibelka.

Słyszałem powiedzonko, że prawdziwy twardziel nigdy nie sika z wiatrem. Otóż, o ile jedzenie i spanie podczas sztormu były zawsze czynnościami z pogranicza ekwilibrystyki, to człowiek morza w kingstonie podglądany ukrytą kamerą, mógłby zostać uznany za szaleńca. Sądzę, że łatwiej to zrobić, galopując na koniu. A przecież rzecz jest banalnie prosta, wystarczy przyjąć, upokarzającą z pewnością dla wilka morskiego, pozycję damską. Ale czy to wypada?

Czas buntu

Rozbawione miasteczko portowe zamarło w chwili, gdy na szczycie 55-metrowego masztu „Kruzenszterna”, jednego z największych żaglowców świata, ukazała się drobna sylwetka dziewczyny. Rozłożyła szeroko ręce i balansowała, żeby utrzymać się na topie kolosa. Koleżanka miała chyba nierówno pod sufitem, chociaż uważam, że był to mocny numer.

Wówczas chodzenie bez trzymanki po barierkach balkonów na dziesiątym piętrze uważałem za równie dobrą rozrywkę jak gra w kapsle. Także na „Zawiszy” zdarzało mi się dawać artystyczne popisy głupoty. Na przykład, przy pełnej prędkości jednostki wywieszałem się na relingach pod bukszprytem. Uczepiony byłem na samych rękach przed dziobem, za plecami miałem potężną, rozpędzoną masę statku, a przed sobą jedynie morze. Nogami muskałem fale. Wiedziałem, że jakiegokolwiek silniejsze bujnięcie mogło wbić mnie w wodę i przeciągnąć pod potężnym kadłubem. Nie byłoby wówczas akcji „człowiek za burtą”. Nie wiem, skąd przychodziły mi do głowy takie pomysły, ale pojawiały się na tyle często, że zaczynałem już podejrzewać, że zapas szczęścia powoli mi się wyczerpuje.

Moje pierwsze rejsy wiązały się z okresem buntu. Wprawdzie usilnie starałem się być grzecznym chłopcem, ale co z tego wychodziło... strach powiedzieć. Chowałem się, jak mogłem, przed dumnymi pracami pokładowymi, walczyłem ze sobą, aby nie zasnąć „na oku”. Kiedy próbowałem zdrzemnąć się chwilę na pokładzie, zaraz docierał do mnie przepojony okrucieństwem głos bosmana: „Nie spać, zwiedzać!”. Dyszałem żądzą mordy, ale ten gość miał łapę z żelaza. Szczególnie rejs po Adriatyku zapamiętałem jako lawinę rzetelnie zasłużonych kar.

W Splicie zasiedzieliśmy się na imprezie u miejscowych skautów, którzy mieli stół do bilarda i starą kanapę. Okupowali zabytkowy, kilkusetletni budynek, skąd władze miasta wyganiały ich systematycznie, zamykając żelazne drzwi na kłódkę. Harcerze zrywali ją, zakładali własną i tak w kółko. Tego dnia wisiała ich kłódka. Były tam również niezwykle urodziwe druhny. Nie mogliśmy jedynie zrozumieć, dlaczego ich ulubioną grą jest wyciskanie sobie nawzajem pryszczki i wyciąganie czegoś z włosów. Udawaliśmy, że wcale nam to nie przeszkadza, i świetnie się bawiliśmy. Na statek wróciliśmy bardzo wcześnie, tuż przed pobudką. Następnego dnia,

w nagrodę za ten chwalebny czyn, kiedy wszyscy z wachty spali, siedziałem, lakierując gretingi. Odtąd nienawidzę gretingów. Tak mnie to wkurzało, tyle pasji wkładałem w tę dumną robotę, że osłupiały bosman chciał

mnie już nawet pochwalić. Niestety, nie zdążył, bo w kolejnym porcie, w Wenecji, kiedy wszyscy robili klar na statku, solo wybrałem się na obchód okolicy. Po powrocie uznano, że co miałem zwiedzić, to zwiedziłem i dostałem zakaz opuszczenia pokładu. Niewiele brakowało, a spędziłbym cały czas postoju w Wenecji, patrząc na keję. Jednakże jakimś cudem udało mi się wyrwać i rzucić okiem na miasto. Jak chciałem coś zrobić po swojemu, to wychodziło nie tak, więc trzeba mnie było ukarać. Przyszedł wiek, kiedy chciałem robić to, na co mam ochotę. To nie mieściło się w programie żeglowania na „Zawiszy Czarnym”.

Z czasem zacząłem się nieźle dogadywać z bosmanem, aż nadszedł czas chrztu. Podczas chrztu morskiego, wszystkich, którzy są w morzu po raz pierwszy, karmi się pomyjami, brudzi smarami, bije wiosłami i wyczynia nad nimi przeróżne egzorcyzmy. Niespecjalnie widziała się nam rola upokarzanych ofiar, postanowiliśmy więc z Pawłem (później posłem na sejm RP) uzbroić się w jajka. Kiedy „oprawcy” rzucili się na nas, próbując odprawić rytuał, posypały się pociski, a jeden z nich trafił w któregoś z oficerów. Po chwili znalazłem się w żelaznych łąpach bosmana i poczułem, że żarty się skończyły.

Bosman niejednokrotnie musiał brutalnie rozwiązywać sprawy. Kiedy towarzystwo nie miało ochoty podnieść się z łóżek na obieranie ziemniaków, włączał na cały regulator muzykę. Leciała dopóty, dopóki wszyscy nie wyleźli z koi. Bardziej opornych wyciągał, polewając wodą lub przy użyciu innych wyszukanych tortur.

Fascynowały mnie wszystkie napięcia, bunty i kłótnie, ponieważ na tak małej przestrzeni nawet drobne zamieszki przeradzały się w rewolucję. Ciasnota i brak możliwości ukrycia siebie samego i własnych myśli sprawiały, że emocje gromadziły się, by wybuchnąć z siłą bomby wodorowej.

Z bosmanem rozstałem się godnie, wciągnąłem jego klapki na linie na wysokość kilkunastu metrów. Pewnie udało mu się je zdjąć, bo kiedy pojawiłem się na statku kolejnym razem, to już ich tam nie było.

Nadchodzi ósemka

Na niebie gęstniały ciemne chmury, gwałtowne porywy wiatru grały jęklonie na wantach, piętrzyły się grzbiety fal z białymi czuprynkami piany. Nadchodził sztorm! Zgodnie z opisem poszczególnych stopni skali Beauforta w podręczniku żeglarskim, mieliśmy pomyślnie rozwijającą się szóstkę. Nie było słyhać już miarowej pracy silnika, nic już zupełnie nie było słyhać poza rykiem morza, hukem fal rozbijających się o burty.

W przeciwieństwie do żywiołu, ludzie cichli. Nadchodził strach, który trzymał nas dotąd, dopóki nie rozpoczęliśmy zmagania z naturą. Zażartowałem, że liczę na ósemkę, bo wtedy wpiszą nam do książeczek żeglarskich trudne warunki pogodowe. Duże, wpatrzone we mnie oczy mówiły: „Stary, któryś z nas dwóch oszalał. I to z pewnością nie ja”. Gdy po dwóch kwadransach rozwinęła się ósemka, gotów byłem zrezygnować z wpisu. To był jeden z tych momentów,

w których uświadamiałem sobie, że człowiek wcale nie rządzi tym całym bałaganem, zwanym światem.

Potęga morza przytłaczała i zachwycała. Siedziałem właśnie na wysuniętym parę metrów przed dziób bukszprycie, klarując latacza. Gdy statek zjeżdżał z większych fal, bukszpryt wbijał się w morską pianę, a mnie zalewała woda. Byłem cały mokry, przemarznięty, a rozrywany wiatrem żagiel stawiał niespodziewany opór. Spojrzałem za siebie, szukając wzrokiem kolegów z wachty. Nikogo nie było – towarzystwo rzygało. No to ja też! Dopóki koncentrowałem się na składanym żaglu, wszystko było w porządku. Skoro inni poczuli się źle, to ja też powinienem. Przecież mam chorobę lokomocyjną. Jak tylko sobie o tym przypomniałem, automatycznie oddałem hołd Neptunowi.

Zdrowy błędnik

Dzisiaj czuję się już doświadczonym żeglarzem i gdy zbliża się sztorm, zawczasu oczekuję ataku choroby morskiej. Wiem doskonale, że jej nadejście nie ma nic wspólnego z jakimkolwiek doświadczeniem. To tylko fizjologia i psycha. Wówczas, kiedy zwijałem się na mojej bakiście, Maciek, góral rodem z Zakopanego, który pierwszy raz widział, że fale są prawie tak wielkie jak smreki pod regłami, tłumaczył mi, że stan, w którym się znajdowałem, był z pewnością jedynie urojeniem. Takemu tylko pozazdrościć.

Piękno sztormu i choroba morska zupełnie do siebie nie pasowały. Obserwacja morskiej kipieli dostarczała niezwykłych wrażeń, fascynowała. Groza i zachwyt w połączeniu z chorobą przemieniały się w rodzaj hipnotycznego majaku: czułem się samotny i tak potężny, że mógłbym zmierzyć się

z żywiołem. Przychodził niesamowity ładunek emocji! Podczas rejsu jest to częsty stan, bo chociaż bierzemy udział w zbiorowej grze, tak naprawdę każdy szuka chwili intymności – chociaż przez moment chce być sam na sam z oceanem. Szczególnie gdy świat wokół szaleje.

Gdy przychodził sztorm, każdy miał swoją strategię. Jedni radzili oddychać z falą, inni dużo jeść lub zająć się jakąś pracą, byli też zwolennicy akupunktury. Większość cierpiących starała się zająć pozycje przy burtach lub też podwiesić się jak pranie babuni na żyglinie i tak sobie wisieć, aż się poprawi. Komu udało się zmylić bosmana, mógł zapakować się do łóżka i tam próbować przeczekać najgorsze. Z tym że nigdy nie było wiadomo, jak długo będzie trwać sztorm.

Przypomniałem sobie całą tę filozofię akurat w chwili, gdy na czworaka wypęzłem na pokład zaczerpnąć świeżego powietrza. Zaczynał się właśnie spektakl stanowiący treść i sens wielkiego żeglowania, a ja czułem się koszmarnie, nie potrafiąc przemóc bólu żołądka i zawrotów głowy. Zawodowcy pocieszały, że mam po prostu zdrowy błędnik. Pieprzę takie zdrowie! Chciałem zmagać się z żywiołem, a nie skamleć pod pokładem.

„Magnolia” tonie!

Nie spodziewałem się, że podczas tego rejsu doświadczę stanu głębokiej niemocy, niemalże upodlenia i to w chwili, na jaką człowiek czeka nieraz całe życie, aby wydobyć z siebie cały heroizm. Żeglowaliśmy wówczas na Atlantyku, kilkanaście mil od brzegu. Krzyk oficera: „Wszyscy na spardek! «Magnolia» tonie!”. Nie było cienia wątpliwości, że tym razem nie jest to kolejny alarm próbny.

Nieopodał walczyła

o przetrwanie polska jednostka. Dowiedzieliśmy się później

o tym, jak załoga, stojąc po kolana w wodzie, wiadrami wybierała wodę przedostającą się przez dziurę w burcie.

Zebrałem w sobie całą moc, świadom, że muszę... W żaden sposób nie byłem w stanie zmusić się do wykonania najprostszego ruchu. Ledwie kontrolowałem swoje ciało, byłem na dnie. Osuwając się bezsilnie na burtę, słyszałem jedynie, jak ktoś krzyczał: „Wepnij się!”. Lunatycznym ruchem wpiąłem karabinek i zamknąłem oczy. W chwili przytomności przypomniałem sobie, że muszę jeść, bo to cholerne bujanie wyrwie ze mnie wnetrzości. Zapamiętałem taki obraz: idzie do mnie Ala, litościwa dusza z mojej wachty i niesie kisiel. Wielka fala wdziera się na pokład i ciska dziewczyną o deski. Poobijana wstaje po długiej chwili się odzywa: „Boże, skąd teraz wezmę drugi kisiel?” Ci, którzy radzili sobie z chorobą lepiej, wspierali pozostałych. Gdyby nie to wsparcie, wiele osób nie przyjmowało by posiłków i mogły z tego być poważniejsze kłopoty.

„Magnolia” została uratowana, kiedy jej załoga stała już po pas w wodzie. Wcześniej dopłynął do jachtu „Polski Len” i podebrał załogę na swój pokład. Wzięliśmy na hol zalaną wodą łódkę. Po sztormie długo nie mogłem dojść do siebie. Robiłem w życiu tyle szalonych rzeczy, ryzykowałem czasem głupio i bezsensownie, a w sytuacji zagrożenia nie zdołałem przemóc słabości mojego organizmu. Nocą śniła mi się tonąca załoga jachtu. Takiego dołu psychicznego nigdy wcześniej nie miałem.

Choroba morska to naprawdę przerażający czas. Jest ciężko. I nigdy nie rozumiałem, wspominając, jak się wyczerpałem na początku każdego rejsu, dlaczego tak tęsknię za morzem i dlaczego po raz kolejny wracam, by przeżywać ten koszmar od początku.

Portowe dziewczyny

Schodziłem nocą z murów miasta na plażę w St. Malo, a tam

z niewidocznych zakamarków dobywała się rytmiczna muzyka murzyńskich bębnow. Dookoła było ich mnóstwo.

Słyszałem także gitary. Niezwykła muzyka wkomponowana w szum morza towarzyszyła popisom chłopaków zonglujących płonącymi pochodniami.

Wielokrotnie zachwycały mnie miasta portowe, często bardziej przynależne do morza niż do lądu. Mówiono mi, że najpiękniejsze kobiety można spotkać właśnie w portach, ponieważ marynarze przywozili z całego świata egzotyczne, niezwyklej urody wybranki. Po czym, czując zew morza, porzucali je tam i wyruszyli w kolejny rejs. Z drugiej strony, tak sobie myślę, zejście na ląd załogi po wielomiesięcznym rejsie, musiało również zaowocować wzbogaceniem miejscowej krwi. Jakkolwiek by było, jeszcze dziś widać niezwykle efekty. Jednakże, wówczas bardziej od kobiet, fascynował mnie magiczny związek z morzem.

Gdy jako turyści udajemy się do nadmorskiego kurortu, dwadzieścia metrów od brzegu przebiega nieprzekraczalna magiczna granica. Jest to odległość od plaży, na jaką wchodzimy do wody, by popływać na naszym materacu krokodylu. Dla człowieka przybywającego z głębi morza nie ma takiej granicy – stanowi ono pole działania. Fale, kołyszą do snu. Wiatr, od którego zależy, jakim kursem pójdziemy, z jaką prędkością, czy będzie bujać łagodnie, od rufy, czy nieregularnie, nieprzyjemnie pod kątem, od dziobu. Wiatr, który chociaż czasem pozamiata portowe śmieci, należy do morza znacznie bardziej niż do lądu. Wieczorem wracaliśmy na statek, idąc wzdłuż wybrzeża. Czuję niezwykłą dumę, że wszystkie sprawy lądowe za chwilę odejdą w niepamięć i stracą swoje znaczenie, że postawimy żagle i znikniemy w morskiej dali, wolni. To poczucie jest uzależniające. Czasem, po powrocie do domu, można odnieść wrażenie że morze nas wzywa. Jak morskim syrenom, trudno się temu wołaniu oprzeć. Nie wiem jak robią inni, ale kiedy sam słyszę to wołanie, zawsze wracam.

Takie były początki. Później przez kilka lat w zasadzie zapomniałem o morzu, podróżowałem po Azji i Europie, ciesząc się, że pod nogami mam stały ląd. Po powrocie z Azji i zbiegu kilku życiowych okoliczności postanowiłem ruszyć ponownie w drogę, tym razem sam. Postanowiłem też przełamać barierę podróżniczą, jaką było poruszanie się po kontynentach, postanowiłem dotrzeć do Ameryki Południowej „na stopa”.

Rozdział IV

ROZMOWA Z OCEANEM

*Południowa Francja, Barcelona, Andaluzja, Maroko,
Gran Canaria, Lanzarote, Ocean Atlantycki, Karaiby*

Wiza do USA

Dziś z Warszawy do Peru docieramy w kilkanaście godzin.

A ile trwało pokonanie tej trasy pięćdziesiąt, sto albo trzysta lat temu? Chciałem poczuć prawdziwą odległość i dotrzeć do Ameryki bez samolotu. Najchętniej pod żaglami. Do tego jednakże trzeba było mieć łódkę albo dobry pomysł. Pomyślałem, że może pojechałbym na stopa? Sama koncepcja była nawet dla mnie lekko szalona, tym bardziej że nie znałem nikogo, kto by dotarł na drugą stronę wielkiej wody w taki sposób. Jak większość moich objechanych pomysłów, ten zawładnął mną kompletnie i nie pozostawało mi nic innego jak ruszyć w drogę.

Przygotowań nie było wiele. Karolina, moja ówczesna dziewczyna, wydrukowała mapy, dzięki którym ogólnie orientowałem się gdzie jestem. Mapy były posklejane folią w bardzo profesjonalny sposób i przetrwały w dobrym stanie do końca podróży. Hiszpański trochę znałem, ale nie wiedziałem jeszcze jakie ogromne ten fakt miał znaczenie dla mojej drogi.

A wyposażenie? Czy na rok, czy na tydzień, i tak zawsze brałem ten sam zestaw. Po wschodnich, bolesnych doświadczeniach postanowiłem postarać się o jakąś fajną wizę. Złożyłem wniosek o wizę do USA. Nigdy

wcześniej nie marzyłem o wyjeździe do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej – wręcz przeciwnie, zarzekałem się, że moja noga tam nie postanie. Poradzono mi zaopatrzyć się w wizę tego kraju, na wszelki wypadek, bo nie wiadomo było gdzie dokładnie, po drugiej stronie oceanu wyląduję. Tak też zrobiłem.

Odstałem swoje w kolejce przed ambasadą i po pięciu godzinach wbiłem się do środka. Pewnie ze swoim angielskim zrobiłem na wstępie niezłe wrażenie, bo nie dałem konsulowi szansy katowania się łamaną polszczyzną. Miałem też gotowe wszystkie dokumenty: zaświadczenie o dochodach rodziców, urlop dziekański i wyciągi z kont. A gość mnie spytał, gdzie będę spać w Stanach? No właśnie, o tym jeszcze nie myślałem... „Na statku!”, wypaliłem. „Jestem marynarzem”, dodałem i pokazałem książeczkę żeglarską. Obejrzał i zapytał, jakie kraje już odwiedziłem? Podałem długą listę państw Azji i Europy. Przy okazji pogadaliśmy o Kirgistanie, gdzie konsul wcześniej pracował. Nie pytał o rodzinę, nie pytał o zarobki, nie pytał o studia. Po prostu pogadaliśmy o żeglowaniu i podróżach. Na zakończenie zapytał mnie, jak chcę odebrać moją dziesięcioletnią wizę do USA. I było po wszystkim. A przydała mi się nie raz – z wizą amerykańską chętniej mnie brano na pokład, miejscowe strażę łatwiej wpuszczaly na ląd w różnych miejscach świata. Wierzono że jeśli mam wizę do USA, to znaczy że ktoś mnie porządnie sprawdził i uznał że jestem w porządku. Bo ja przecież jestem w porządku.

Niesłychanie daleko

Dla człowieka będącego w drodze, a szczególnie w wielkiej podróży, latanie samolotem jest pewnego rodzaju oszustwem. To jak robienie filmowych skrótów – cięcie i już znajdujemy się w innym miejscu, a nieuważny widz traci wątek. Tygodniami więc włączyłem się po marinach Kadyksu, Gibraltaru i Las Palmas w poszukiwaniu miejsca na pokładzie jednego z dwóch setek jachtów wyruszających wraz z jesiennym pasatem do Ameryki. Wybierałem się właśnie za ocean świadom, że moje wcześniejsze żeglowanie po Bałtyku, Adriatyku, Morzu Japońskim czy nawet skrajem wielkiej wody, było jedynie namiastką oceanicznej przygody. Mimo chwil zwątpienia nie poddawałem się, nie chciałem bowiem do tej Ameryki spaść z nieba, chciałem poczuć jak to jest daleko, przemierzyć drogę między punktami, drogę która, jak później zrozumiałem, była moim celem.

Początkom mojej podróży towarzyszyło irracjonalne podniecenie. Spieszyłem się, jakbym się bał, że od jesieni do końca przyszłego lata mogę nie zdążyć. Dokąd? Byłem w drodze, której celu jeszcze nie określiłem. Mogłem okrążyć kulę ziemską lub osiąść na długo w jakiejś wiosce lub miasteczku na szlaku. Pośpiech nie wiązał się więc z czasem i przestrzenią, tkwił jedynie we mnie.

Biedny i niechciany

Zacząło się banalnie, bo najpierw z Piotrem, moim tatą, pojechałem do Międzyrzecza, stamtąd zaś na ślub Anety, naszej znajomej, do Hamburga na jej ślub. Potem przedostałem się do Frankfurtu, do Tadeusza - kumpla ze szkoły średniej, który pewnego szkolnego dnia zniknął, pozostawiając na szkolnych ławach tajemnicze napisy „to już koniec”. (Kilka tygodni później dowiedzieliśmy się że wyprowadził się do Niemiec.)

Z Tadeuszem przez kilka dni gadaliśmy o życiu i piliśmy szejki zmiksowane z haszyszem. Tadek miał wspaniałą mikser. Zwiedzaliśmy Frankfurt przez pryzmat naszych halucynacji. To trwało kilka dni, aż wreszcie, pewnego ranka poprosiłem Tadeusza, żeby zawiózł mnie na stację benzynową przy autostradzie i tam zostawił. Nie kumał, o co chodzi. Chyba myślał, że się wygłupiam, bo powiedział, że bym zadzwonił jak mi się znudzi, to po pracy mnie stamtąd odbierze. Nie wierzył, że na stopa mogę dojechać do Peru.

Po kwadransie siedziałem już w jakimś TIR-ze, a potem z auta do auta na przód, na zachód. Najbezpieczniej czułem się tam gdzie było najmniej ludzi. Najchętniej sypiałem w hamaku w lesie, kilkaset metrów od drogi, gdzie rano ponownie mogłem łapać stopa. Po kilku dniach wylądowałem w Genewie. Mój wygląd przyciągał do

mnie same menty, więc miasto ewidentnie mi nie służyło. Człowiek wyglądający na biednego, w mieście od razu traci wszystkie przywileje. Tłum automatycznie klasyfikuje i wrzuca do szufladki „zły”, „tego tu nie chcemy”. Coraz bardziej czułem się jak bezdomny i próbowałem zrozumieć to uczucie. Kiedy nie chciałem wydawać pieniędzy w restauracjach, ani płacić za hotele, nie byłem już atrakcyjny dla społeczeństwa. Stawałem się pasożytem. Unikałem ludzi bo dziwnie na mnie patrzyli. Unikałem policjantów, bo zatrzymywali mnie do kontroli. Unikałem... i izolowałem się coraz bardziej od otaczającego świata ludzi. Wyobraziłem sobie, że tak jak pod Warszawą, na obrzeżach Genewy muszą być jakieś lasy. Dojechałem tramwajem do ostatniej stacji i ruszyłem przed siebie. Lasu nie znalazłem, ale spodobała mi się zielona łąka trawnika, więc postanowiłem na niej rozbić namiot. Miejsce wydało mi się dość rozsądne i bezpieczne, bo moją łąkę otaczał płot, a obok stał dom. Z domu nikt mnie nie widział bo namiot rozbiłem za kępą krzaków, a patrząc z drogi, każdy mógł pomyśleć, że to dzieci właścicieli rozbiły sobie namiot koło domu. Taką sobie wymyśliłem historię i dla własnej wygody trzymałem się jej mocno. Wyspałem się, zjadłem śniadanko i nawet na czas się zwinąłem, bo maszerując z powrotem na przystanek, minąłem się z policją na sygnale.

Dopóki się dało, jechałem na stopa, a jak mi się znudziło, we Francji zacząłem pakować się do pociągów. Zazwyczaj odważnie siadałem i mówiłem, że bilet był sprawdzany albo że nie mam kasy. Dostawałem bilety kredytowe i jechałem dalej. Bez stresu. Gdzieś po drodze wmieszałem się w grupę nielegalnych imigrantów ze Wschodu. Chyba Romów. Nie znaliśmy wspólnego języka, więc nie rozmawialiśmy. Może po prostu nie miało to znaczenia. Uśmiechaliśmy się jedynie do siebie i wymienialiśmy jedzeniem, a raczej jego resztkami. Spaliśmy razem w kilkusobowej grupie. Oni czuli się na ulicy bardzo swobodnie, a ja z nimi znacznie różnie. Mieli świetne miejscówki i techniki spania na niewygodnych płytach dworca. Mogłem zdobyć bardzo cenny warsztat. Podróżowałem, ucząc się, jak to jest być niechcianym: kiedy ludzie patrzą z pogardą, policja przegania, pasażerowie się odsuwają. Miałem jakąś niewielką kasę na koncie, ale chciałem sprawdzić, czy bez pieniędzy człowiek coś znaczy

? I miałem poczucie, że na zewnątrz znaczy niewiele. Podczas gdy wewnątrz zbierała we mnie niezwykła niezależność i siła. Siła samotności. Po kilku dość męczących dniach dotarłem do Barcelony, gdzie zamieszkałem u wujka znajomej, profesora politologii.

Mojados

W Barcelonie mieszkalem w dobrych warunkach, ale ponieważ cała rodzina była zajęta w ciągu dnia, a gospoia bała się zostać ze mną sam na sam, musiałem między 7 a 19:00 znaleźć sobie zajęcie. Przemierzałem dziesiątki kilometrów snując się z moją samotnością po magicznych zakamarkach miasta. Powoli przełamywałem niepewność i zaczynałem porozumiewać się po hiszpańsku. Coraz częściej trafiałem na imigrantów z Afryki. Coraz mocniej odczuwałem różnicę między równoległymi światami, żaden nie był zły ani dobry, były po prostu inne. Oba łączyła chęć przetrwania, choć wyrażały je skrajnie odmienne formy codzienności. W Barcelonie nie szukałem atrakcji turystycznych, choć jest ich tyle że nie sposób było nie wpaść na Sagrada Familia i inne pomysły Gaudiego. Szukałem energii która tworzy miasto i wypełnia je życiem, nie kolorowych sklepów na La Rambla, ale ciemnych, tajemniczych zakątków Raval i innych bardziej odległych zakątków miasta, do których żaden portal nie zaprasza turystów. Ledwie dotknąłem Barcelony, a już czułem że czas ruszać. Pan profesor miał własne zajęcia. Rodzina była cudowna, ale nie czułem kontaktu. Energię odnajdywałem na ulicy i komfort życia w mieszkaniu nie miał znaczenia. Na południe postanowiłem pojechać pociągiem kupując niesłychanie drogi dla mnie bilet. Bałem się spóźnić na statek, choć jeszcze nie wiedziałem na jaki i kiedy... to był etap życia, na którym myślałem że można na coś nie zdążyć.

Ruszyłem na południe. Podczas jednej z przesiadek w Madrycie poznałem na ławce sympatycznego gościa. Kilka minut rozmowy z Gustawo wyznaczyło mi drogę na kolejne miesiące... zaprosił mnie do Peru. Ponieważ innego pomysłu nie miałem, postanowiłem go odwiedzić. Przedemną było jednak jeszcze wiele miesięcy podróży.

Życie postanowiło powoli oswajać mnie z Ameryką Łacińską, która miała stać się za wiele lat szczególnym miejscem w moim życiu. Zupełnie nieźle dogadywałem się z dwoma Meksami podróżującymi w moim przedziale. Chłopaki opowiadali

o meksykańskim sporcie narodowym – nielegalnym przekraczaniu granicy z USA. „Wiesz stary, my już jesteśmy tacy, że jak nam się czegoś zabrania, musimy to zrobić. Nie wolno wjechać do USA? No to z pewnością wjedziemy. Często ryzykując życie, bo ludzie umierają z wycieńczenia na pustyni lub giną od kul amerykańskich strażników i miejscowych band”. Moi rozmówcy zarobili w USA trochę grosza i wrócili do domu, bo w Stanach, jak zapewniali, było do dupy. Spędziliśmy razem tylko jeden dzień, ale kontakt z Latynosami był dla mnie tak naturalny, że wiedziałem że na drugim brzegu poczuję się jak w domu. Jeszcze kilka dni po spotkaniu miałem wypalone gardło. Meksykane wozili ze sobą zestaw ostrych sosów. Dla nich w Europie nic nie miało smaku, więc zalewali dowolną potrawę ostrym chili, a ja jadłem z nimi.

Przyjazny kontakt

W Algeciras, skąd do celu był już tylko mały skok, przesiadłem się do autobusu. Wkrótce z okna ujrzałem wielką, zamieszkaną przez małe skały brytyjskiego Gibraltaru, a zaraz po wyjściu, nie pytając o drogę, ruszyłem w stronę lasu mieniących się w słońcu masztów. Na kei zrzuciłem za ciężki plecak, rozejrzałem się: Błysk! I już nawiązałem przyjazny kontakt. Dawid, może dwa lata starszy ode mnie Szwajcar, od paru tygodni koczował w porcie i usiłował wbić się na jakąś łódkę. Chciał dotrzeć przynajmniej na Wyspy Kanaryjskie, skąd wkrótce całe setki jachtów miały wyruszyć na drugą stronę oceanu. Jego wiedza o trasach jakimi kursują żaglowce była znacznie bogatsza od mojej, więc z przyjemnością dowiadywałem się więcej o szansach na realizację mojego planu. Ciekawiło mnie to co Dawid wiedział, ale równie interesujący wydał mi się sam Dawid. Bo kim do cholery jest gość, który przez dwa tygodnie czatuje na kei na odpowiedni jacht? Dawid pracował zgodnie ze swoim zawodem w fabryce produkującej szwajcarskie zegarki. Co jakiś czas uznawał że ta praca nie ma sensu i ją rzucał. Niestety, na ulubione surfowanie trzeba było jakoś zarobić. A Dawid był surfingowym bzikiem. Na punkcie deski zwariował na Kostaryce, gdzie przez trzy miesiące naprawiał wielki zegar na wieży kościelnej. Surfował rano, a potem cały dzień siedział na wieży i majstrował przy zegarze. Dawid miał jeszcze jedną pasję. Uwielbiał zioło. Dawid, w końcu zegarmistrz, był bardzo precyzyjny i swoje zdolności potrafił wykorzystać w słusznej sprawie. Wynajmował mieszkania w różnych miejscach w Szwajcarii i zakładał w nich plantacje. Dzięki jego precyzji zioło rosło jak na drożdżach i schodziło jak ciepłe bułeczki. Tak młody szwajcarski rolnik zarabiał na podróże. Ponieważ był akurat po żniwach, postanowił pojechać na Karaiby, aby tam ujeżdżać wielkie fale. Właśnie szukał kogoś, kto zabrałyby go na drugą stronę wielkiej wody, a więc mieliśmy taki sam cel. To było dość budujące, bo zdałem sobie sprawę, że jest więcej osób, które wierzą że można przepłynąć na stopa Atlantyk. Skoro więcej nas w to wierzyło, to oznaczało że się da.

Magia Kadyksu

Wbicie się na łódkę nie było łatwe, bo załogi na jachtach przeważnie były skompletowane. A trzeba było szybko coś znaleźć, bo pobyt na lądzie, głównie żarcie i hotele, były piekielnie drogie.

Rozmawialiśmy z Dawidem dłuższą chwilę, a potem jeszcze dwie godziny szwendałem się między łódkami. Coś mi nie pasowało. Było jakoś spokojnie i cicho. Nie czułem żeby miał tam znaleźć mój jacht. Jeszcze nie nadszedł czas. Kupiłem bilet na autobus do Kadyksu, żeby zobaczyć, jak tam wygląda sytuacja. Być może to ja, jeszcze nie dojrzałem do wyprawy przez ocean, jeszcze zbyt mocno myślami trzymałem się lądu. Zatem ze skrawka brytyjskiego imperium przeniósłem się do starego, zabytkowego

hiszpańskiego miasta, w którym czas zatrzymał się przed stuleciami. Niewiele ponad sto kilometrów dzieli Algeciras od Kadyksu, a są to zupełnie różne światy. Ze świata brytyjskich kolonizatorów, przeniosłem się do przystani uchodźców i emigrantów z krajów arabskich. Na naruszonym zębem czasu murze emigranci wypisali wielkimi literami swoje hasło: „Nikt nie jest nielegalny nigdzie!”. Atmosferę Kadyksu idealnie oddają piosenki Manu Chao. Życie na styku Afryki, z której się ucieka, i raju, jakim jest Europa, cel podróży. Ponownie wylądowałem na ulicy. Ale to już nie była ta sama ulica. Tu kolor skóry nabierał znaczenia. Ulica nie należała do mnie. Byłem biały i niezależnie jak biedny, pozostawałem biały i miałem swoją szufladkę. Przyjechałem do Kadyksu z nadzieją, że tu znajdę jacht, ale w porcie z daleka ujrzałem tylko garstkę masztów. Nie zbliżyłem się nawet do nich, nie poszedłem zapytać, czy któryś czeka na mnie. Po prostu czułem, że to także nie jest odpowiednie miejsce i pora.

Plażami Andaluzji

Choć na normalne noclegi nie miałem pieniędzy, a ulica mnie nie chciała, to jednak czułem się spokojnie. Brak własnego, bezpiecznego miejsca, brak przyjaznych ludzi, w ogóle mi już nie przeszkadzały. W Kadyksie opuścił mnie także nieodłączny od samego początku pośpiech. Byłem skupiony do wewnątrz. Kupiłem bułki, wodę, banany i ruszyłem na północ plażami Andaluzji. Brnąłem przed siebie, chociaż upiornie ciężki plecak wbijał mnie w sytki, drobny żwir plaży. Sporadycznie nawiązywałem kontakty z ludźmi. Gdy opowiedziałem o swoich planach, niemiecki plażowicz wcisnął mi wizytówkę i pieniądze na znaczek, prosząc o pocztówkę z drugiej strony oceanu. Nie wierzył, że mogę dotrzeć do Ameryki na stopa. Wkrótce zostawiłem za sobą turystyczny tumult, kolorowe żagielki windsurfingu i wzbijające się pod niebo latawce kite. Wędrowałem, przemierzając nieskończone kilometry w samotności. W dzień maszerowałem, wieczorami szkicowałem kontur afrykańskiego brzegu, podkreślony promieniami zachodzącego słońca, i rozmawiałem z oceanem. Przyglądaliśmy się sobie, oswajaliśmy ze sobą, gawędząc coraz bardziej poufale. Osiągałem nieznane wcześniej stany ducha, coraz bardziej zdając się na jego wolę. Spałem w namiocie albo pod gołym niebem na piasku – dokładnie tam gdzie się zatrzymałem. Spanie na plaży było oczywiście nielegalne.

Crazy załoga

Szóstego dnia doszedłem do Tarify. Wierzyć się nie chciało, że tak bajeczne miejsca istnieją na naszym świecie. Byłem jeszcze w Hiszpanii, ale styl zabudowy, wszędybolskie białe mury, szpiczaste minarety i wąskie, kręte uliczki przypominały mi kraje Magrebu. Panował potworny upał i miasto było wyludnione. Mieszkańcy chowali się przed prażącym słońcem. Nie pamiętam dłaczego, ale sklepy były pozamykane. Pewnie trafiłem na sjęstę. Usiadłem więc na murku i tak sobie siedziałem. A w ciągu godziny przynajmniej trzy osoby próbowały mi sprzedać haszysz. Ciekawe, byłem głodny, a nigdzie nie można było kupić chleba, za to ze zdobyciem narkotyków nie było problemów. Byłem głodny, nie „na głodzie”.

Szukałem noclegu w jakimś bezpiecznym miejscu. Wyszedłem poza miasto i położyłem się wśród kamieni. Nie było bardzo wygodnie, ale widok miałem na wybrzeże Afryki, jak co dzień. Tego wieczora poczułem, że dojrzałem do tego, żeby podjąć wyzwanie. Po pierwsze miałem już dość spacerków – przeszedłem blisko sto kilometrów, głównie po piasku. Po drugie czułem wyraźny powiew ze wschodu, wiedziałem że zmienił się kierunek wiatru i że nadszedł czas by wracać na Gibraltar. Ten wiatr sprzyjał bowiem wyjściu z portu i to był według moje przecucia właściwy moment, aby szukać miejsca na statku. Jedni właściciele jachtów przyjmują ludzi zawczasu, by mieć pomoc w przygotowaniach, inni, nie lubiąc obcego towarzystwa na pokładzie, zwlekają z uzupełnieniem załogi niemal do ostatniej godziny. Tak czy siak, chciałem na morze.

W porcie jachtowym odszukałem zdołowanego po trzech tygodniach poszukiwań Dawida i razem ruszyliśmy do sąsiedniej mariny. Zegarmistrz miał anielską cierpliwość żeby tak siedzieć przez ponad dwadzieścia dni na tym pomoście. Dawidowi już się nie chciało ruszać, tak wrósł w ten pomost. Ja przybywałem z przekonaniem że dzisiaj się uda i jakoś udało mi się Dawida za sobą pociągnąć. Faktycznie, tego dnia szczęście nam sprzyjało – nie minęło pół godziny i zamustrowaliśmy się na typowej „deliwerce”.

Ten dzień dał mi niezwykłą lekcję. Jeśli działamy zgodnie ze sobą, rzeczy po prostu się dzieją. Czuję że czekanie na Gibraltarze nie miało sensu. Dawid był dowodem, że się nie myliłem. Kiedy po kilku dniach błędzenia po Andaluzji zawiął wiatr, wiedziałem że mówi do mnie. Na Gibraltarze w ciągu godziny znaleźliśmy transport na wyspy Kanaryjskie. Takie jest życie i dzisiaj to wiem. W życiu nie ma sensu oczekiwanie, nasze nerwowe myśli niczego nie posuną do przodu. Nie wolno się bać, bo szansa nam nie ucieknie. Nasz los, bowiem, nigdy nas nie omija. Wystarczy iść swoją drogą, a jednocześnie być otwartym i słuchać uważnie. Nasz wiatr da nam znać kiedy nadejdzie odpowiednia chwila.

Mieliśmy od razu zagwarantowane miejsce do spania na dwunastometrowej kanadyjskiej łódce „Perideau”, którą pod Szalonym Jackiem mieliśmy przeprowadzić do Las Palmas, na Wyspy Kanaryjskie. Do załogi dołączyła nie mniej egzotyczna od nas dwójka: Richard, ogrodnik z Francji, i drobny hochsztapler i dealer, Scott z Jersey - brytyjskiego rajy podatkowego. Na Kanary było nam wszystkim bardzo po drodze.

Skiper Jack, przyznający się, że ma 73 lat i większość życia spędził na oceanie, zafundował nam niezłą dawkę morskich opowieści. Z naszej strony wnieśliśmy francuskie reggae i jakąś chorą ilość haszyszu i marihuany. Okazało się że zarówno Dawid i Scott przewozili znaczące ilości magicznego zieleń. Kiedy pierwszego dnia urządzili sobie pokaz, oniemiałem. Mieli tego więcej niż wszyscy mieszkańcy Gibraltaru razem wzięci. W mydle, w pastach do zębów, we flamastrach, w książkach, butach. Gdzie tylko się dało. Zamiast checków American Express wieźli towar, który był zbywalny zawsze i wszędzie. Na czarną godzinę.

Było to najbardziej nieodpowiedzialne żeglowanie, z jakim miałem do czynienia, więc skiper szybko miał nas dość. Chciałby widzieć zaangażowanych w życie na statku żeglarzy, a tymczasem trafiła mu się grupa plażowiczów i darmozjadów. Kiedy spał, o mało co nie wpakowaliśmy się na podwodne skały, bo chłopaki otworzyli właśnie nowe mydło i wszystkim urwał się film. Do tego, mieliśmy awarię, z powodu której zawinęliśmy na dwa dni do Esaueira, egzotycznego portu rybackiego w Maroku. Jack próbował się tam nas pozbyć, ale nie było to łatwe. Żeby zostać na lądzie, ja musiałbym mieć wizę. Scott był wpisany jako załoga statku i okazało się że płynie na kontrakcie u Jacka. Czyli jeszcze za swoje nieróbstwo dostawał kasę. Dawid wyglądał jak duży dzieciak i chyba Jackowi było żal go samego zostawiać. A ogrodnik był jedynym przytomnym załogantem, więc pozbycie się jego byłoby samobójstwem. W ten sposób nasza wspaniała załoga ocalała. Jak wspominałem, bez wizy oficjalnie nie mogłem opuszczać jachtu, ale miejscowy urzędnik życzliwie pozwalał mi schodzić na brzeg, pod warunkiem że nie będę opuszczał miasta. Stawiałem więc pierwsze kroki na afrykańskim lądzie. Tu ktoś mógłby posądzić mnie o zwiedzanie, ale bez obaw. Nie dotarliśmy daleko, gdyż Scott wziął od Jacka zaliczkę i wszystko przepuściliśmy w najbliższej knajpie, która znajdowała się zaledwie pięć metrów od brzegu. Z wielkim trudem wróciliśmy na pokład.

Obok, burta w burtę z nami, mieszkała rodzina z Kanady, która sprzedała cały swój dobytek, kupiła jacht i od pięciu lat żeglowała. Patrzyłem z podziwem na nich i na dwójkę dzieciaków na pokładzie. Z podziwem, bo potrafili realizować marzenia, z podziwem dla wychowania w otwartości na świat, bez uprzedzeń i przekonań, jakie dawali swoim dzieciom.

Przez kolejne dni naprawialiśmy i sprzątaaliśmy łódź. Gdy rankiem kutry wracały z pierwszego połowu, kilkudziesięciu czarnoskórych chłopaków rozładowywało ryby, zaś trzech z nich waliło kijami w kubły. Wszyscy pracowali w rytm tych bębnow. Jeszcze długo potem, gdy w porcie zrobiło się pusto, nadal czuło się w przestrzeni wybijany rytm. Z nudów nawet wzięliśmy się do roboty, a wieczorami szwendaliśmy się po tajemniczych zakamarkach miasta. Ciemna strona ulicy wciągała nas. Proponowano nam dziwne interesy, jak transport haszyszu na wyspy Kanaryjskie. Przypadkowi ludzie proponowali nam „zakupy”, a

nie jeden właściciel knajpki gdzie siadaliśmy na herbatę zapraszał na dymka. Nie mam pojęcia co było tym znakiem rozpoznawczym. Czemu nikt nie proponował nam pamiątek, ani nie zapraszał do restauracji. Od wielu tygodni nie sypiałem w innych miejscach niż ulice, plaże i jacht, odzwyczaiłem się od propozycji zwyczajnego świata i ten świat przestał mnie interesować. Wraz ze Scottem funkcjonowaliśmy gdzieś obok, w równoległej rzeczywistości.

W Las Palmas

Po tygodniu zawiniliśmy wreszcie do Las Palmas. Jack z przyjemnością wypieprzył nas z jachtu i znowu wylądowaliśmy na tak zwanym offie. Czyli w tym przypadku na plaży pod miastem. W ciągu dnia wracaliśmy do mariny, gdzie wszyscy uwijali się jak mrówki, przygotowując łódki do wielkich regat przez ocean. Znaczna część skiperów miała płynąć po raz pierwszy, więc potrzebowała profesjonalnych rad, konsultacji przy sprawdzeniu gotowości jednostek. Organizator regat zapewniał pomoc w bardzo okrojonej formie, natomiast dookoła było tylu doświadczonych żeglarzy, że zawsze można było skorzystać z czyjejs pomocy. Wymiana żagli, kompletowanie załóg, pospieszne zakupy. Wszyscy rozmawiali o pogodzie, prawdopodobieństwie sztormów, nowych systemach nawigacji. W całym porcie było pięknie i kolorowo, wiatr grał na wantach i wprowadzał wspaniałą atmosferę przed regatami.

Mrowie jachtów wydawało się gwarantować sukces. Nie byłem jednak aż tak naiwny, by nie wiedzieć, że większość z nich, szczególnie łódki przeznaczone do wycarterowania, miały stałe załogi i tylko w szczególnych przypadkach brały na pokład przygodnych żeglarzy. Również na te, których właściciele pojawiali się od czasu do czasu w porcie, sami lub z całą rodziną, żeby sobie popływać, wynajmowano sprawdzonych przez agencje zawodowców z papierami. Zdarzało się, oczywiście, że zabrali na pokład kogoś z kei, bo byli ciekawi nowych ludzi albo w naturalnym impulsie chcieli się z kimś obcym podzielić łódką i radością przeżywania przygody. Właśnie na to liczyliśmy my. Odrębną, nieprzeniknioną kategorię stanowili samotnicy, zdani na własne towarzystwo przez wiele miesięcy, a nawet lat. Zdarzali się też dżentelmeni, dający ogłoszenia rozpoczynające się od słów: „Samotny wilk morski zamustruje na luksusowy jacht panią”.

Zatem szukanie miejsca na żagłowie wcale nie było łatwe. Pierwszy nieśmiały krok debiutanta stanowiło wywieszenie ogłoszenia. Należało je przygotować we wszystkich znanych językach, bowiem do wielkich portów zawijały jednostki z przeróżnych zakątków świata i nigdy nie było wiadomo, jaka okazja się trafi. W treści należało podać kwalifikacje żeglarskie, pochwalić się doświadczeniem morskim oraz innymi zaletami niezbędnymi na pokładzie: umiejętnością przyrządzania jadalnych posiłków, dyplomem lekarza czy umiejętnościami masażysty. Atutem mógł się również okazać określony wiek, czy płeć lub niezwykle istotne w czasie wielotygodniowej podróży poczucie humoru.

W październiku 2002 roku w głównej marinie Las Palmas wisiało około czterdziestu takich „wypracowań”. I nie było przy nich widać zbyt wielu „czytelników”. Od początku wiedziałem, że psu na budę całe to moje pisanie, najważniejszy był bowiem kontakt osobisty. Pisałem jednakże, bo wszyscy tak robili. Nigdy w życiu nie przeszedłem lepszego treningu w opisywaniu własnych talentów. Zostałem niedyplomowanym mistrzem CV.

Po zejściu na ląd Gran Canarii zrozumiałem natychmiast, że dotąd brałem udział jedynie w ćwiczeniach, a teraz dopiero wyruszałem do prawdziwego boju, w którym stawką były Karaiby. W Las Palmas zebrały się dziesiątki takich chętnych jak ja: z Izraela, Holandii, Anglii, Australii, Polski, Francji, Hiszpanii, Belgii. Część chłopaków szukała pracy na morzu lub chciała realizować swą żeglarską pasję. Byli też tacy, dla których jacht stanowił środek transportu, tak jak dla Patricka, wracającego do domu, do Australii, albo dla mnie, jadącego do Ameryki Południowej.

Paniom łatwiej

Mieszali się tu ze sobą żeglarze z krwi i kości, starzy wyjadacze mający za sobą wielokrotne przejścia Atlantyku i przypadkowi włóczyki. Ściągnęli z całego niemal świata na tę jedną chwilę w roku, która miała nadejść za trzy tygodnie – rozpoczęcie wielkiej przeprawy pełnomorskich łódek na drugą stronę oceanu. Na moment, w którym około dwustu jednostek wystartuje w ARC (Atlantic Race for Cruisers), corocznych, największych w świecie turystycznych regat (cruising yachts) przez Atlantyck. Zbliżało się wielkie wydarzenie i załogi żyły od wielu dni jak w gorączce.

Wśród kandydatów na żeglarzy nie brakowało również debiutantów, a nawet szaleńców bez żadnego doświadczenia morskiego, którzy nie mieli pojęcia, na co się porywają, ale byli gotowi na wszystko. Ludzie prześcigali się w pomysłach. Byli tacy, którzy szli na żywioł i pisali, że nic nie potrafią, ale za to mówią w dwóch językach, w english i bad english (złym angielskim), ale jeśli dostaną się na pokład, to złowią wielkiego kalmara, i zamieszczali rysunek tego hipotetycznego kalmara. Thomas poszedł tym tropem i dał swoje kolorowe zdjęcie, na którym trzymał wielki talerz z przyrządzoną rybą. W podpisie obiecywał, że taką rybę złowi i znakomicie przygotuje. I Thomas dostał się na ten sam jacht co ja, złowił oraz przyrządził rybę, która wystarczyła na dwa obiady. Ale o tym później.

Odrębną kategorię w rywalizacji stanowiły kobiety. Mustrowanie na jachtach szło im znacznie łatwiej, chociaż wiązało się z większym ryzykiem. Kilku Francuzów oferowało swoje jachty jedynie miłym, młodym paniom, które, jak podpisali pod fotkami łódek, mogłyby nie tylko stanowić załogę, ale również dzielić się wszelkimi dostępnymi wrażeniami.

Nasza przyjaciółka Daniele, szalona Niemka, znalazła w tym nieopisanym zgiełku trzech Turków poszukujących kucharza, koniecznie kobiety. Zdecydowała się, a potem przez dwa pierwsze dni na morzu płakała ze strachu. Stamtąd nie było ucieczki. Panowie tymczasem okazali się sympatycznymi, pełnymi szacunku dla płci pięknej dżentelmenami, prawdopodobnie o odmiennej orientacji. Miała z nimi bardzo spokojny i udany rejs. Z kolei Laia zamustrowała do pary starszych państwa, którzy chcieli zabrać na pokład do pomocy spokojną dziewczynę. Serdecznie się nią zaopiekowali i choć, jak twierdziła, na Atlantyku wynudziła się jak mops, to również bez nieprzyjemnych incydentów dotarła na Karaiby.

Nie byłem atrakcyjną panienką i pozostawało mi jedynie „kolędowanie” od łodzi do łodzi oraz wypytywanie, czy ktoś nie potrzebuje wszechstronnie utalentowanego członka załogi. W każdym miejscu należało zabawić chwilkę, pogawędzić z ludźmi. To był taki rytuał.

Herbatka na „Simply magic”

Lotem błyskawicy całą naszą zgraję obiegały wiadomości, że na kolejnym jachcie potrzebni są doświadczeni żeglarze, na innym kucharz, gdzieś mają wolną koję i za dziesięć dolarów dziennie oraz opłatę za jedzenie mogą zabrać dodatkową osobę. Starsi państwo ogłosili, że potrzebują młodego i silnego chłopaka do cięższych robót przy żaglach i na pokładzie, ale za przywilej pracowania musi on zapłacić. Działo się sporo i trzeba było się szybko orientować. Jednak póki co mojego jachtu nie było jeszcze w porcie.

Dni mijały jak szalone, termin rozpoczęcia regat był coraz bliższy, a bractwo łowców szczęścia wydawało się nie topnieć. W porcie tworzyliśmy ciekawy układ – każdy szukał statku dla siebie, rywalizował z innymi o to jedyne, wyśnione miejsce, a mimo to pomagaliśmy sobie, uśmiechając się, żartując, dzieląc się pozytywną energią. Jeśli zaś trafiała nam się okazja, która nam nie pasowała, informację o niej natychmiast przekazywaliśmy dalej, bo może komuś będzie odpowiadała. Żaglowce biorące udział w ARC miały płynąć głównie na St. Lucia, zaś około dwudziestu z nich z wyspy Lanzarote na Antigua, inne zaś na Wyspy Zielonego Przylądka i do Brazylii. Nam w zasadzie było wszystko jedno gdzie popłyniemy, byleby finalnie dotrzeć na drugą stronę oceanu.

Ludzie koczujący od kilku tygodni byli już piekielnie zmęczeni i łapali potężnego doła, ale tylko nieliczni poddawali się i rezygnowali z rejsu. Co najwyżej przenosili się z plaży do tanich hotelików lub usiłowali przenocować parę dni pod dachem na łódkach. Chwilami przypominaliśmy stado szakali węszących za padliną, w każdej chwili gotowych gromadnie rzucić się na ofiarę. Zwierzyna łowna, czyli skiperowie i właściciele jachtów,

byli nie mniej od nas godni podziwu. Rzadko komu puszczały nerwy, odmawiali nam ze stoickim spokojem i uśmiechem. A my pytaliśmy, pytaliśmy, pytaliśmy...

Aby nie dostać świra, trzeba było każde kolejne podejście z pytaniem o wolne miejsce na jachcie traktować tak, jakby się je wykonywało pierwszy raz w życiu.

Bez żagli?

Wydawało się, że po tak długim przebywaniu wśród dziesiątków morskich piękności nic już nie zrobi na nas wrażenia.

A jednak, kolejnego dnia poruszenie wywołało wejście do portu ekskluzywnej łodzi motorowej. Wcześniej nigdy czegoś takiego nie widziałem, choć później, na Karaibach, nawet bym jej nie zauważył. I zaraz lotem błyskawicy rozniosła się po naszej gromadzie wieść, że na pokładzie były dwa wolne miejsca, z pensją po dwa tysiące dolarów miesięcznie, na cały sezon zimowy. Wydawało się, że kartki z CV pokryją pokład jachtu niczym śnieg. Za astronomiczną dla większości z nas kasę jazda za ocean i robota na Karaibach! Wbił się tam natychmiast Izraelczyk z kapitańskimi papierami i kilku doświadczonych marynarzy z innych krajów. Długo patrzyliśmy na ten piękny jacht motorowy i nagle ktoś powiedział, nie pamiętam już w jakim języku: „Przecież to gówno nie ma żagli”. Ponieważ nie miało żagli, rozeszliśmy się do codziennych zajęć, czyli poszukiwania miejsc na żaglowcach.

Surfing i poezja

Gdy po raz kolejny traciłem nadzieję, na duchu podtrzymywały mnie wieczorne imprezy w coraz liczniejszym gronie wspaniałych przyjaciół z całego świata, w dzień zaś... Ni stąd, ni zowąd wyszarpnąłem z portfela kilkadziesiąt dolarów

i kupiłem sobie deskę. Oczywiście wszystkiemu winny był Dawid. Próby surfowania na falach były niesamowite i gdyby nie konieczność kontynuowania podróży, zostałbym tam na długie tygodnie. Nie straciłem zapału nawet wówczas, gdy kilkumetrowe ściany wody okrutnie mnie poturbowały. Poznawałem nowy sport i wspaniale się bawiłem. Deski miały także praktyczne zastosowanie w poszukiwaniu jachtu. Nikomu wcześniej nie udało się zaatakować łodzi zacumowanych w zatoce, więc wskoczyliśmy z Dawidem na deski i wiosłując rękami, podpływalismy do jednostek stojących na mooringu (boja, do której cumuje się bez możliwości zejścia na ląd). Ludzie byli zszokowani naszym pomysłem i determinacją. Zapraszali na pokład, żeby porozmawiać. Gdyby na tych łajbach było chociaż pół miejsca, zabraliby nas obu. Niestety, nie było.

Czułem, że coś jest nie tak, i musiałem na chwilę odłączyć się od świata żeglarzy. W hostelu zrobiła się nas całkiem pokaźna grupka i spędzaliśmy razem wolny czas, nie myśląc o szukaniu statku. Przekonałem więc wszystkich, żeby na jakiś czas odpuścili i przestali myśleć o misji. Chodziliśmy więc na plażę grać we frisbee i surfować. Wreszcie wyjechaliśmy z Dawidem za miasto szukać fal. Przez kilka dni spaliśmy na dzikich plażach, odrywaliśmy się od zmyślnego wyścigu. Tak byłem skoncentrowany na surfing, że gdy się rano budziłem, myślałem tylko o falach. Surfing dawał mi energię potrzebną do przetrwania trudniejszych chwil oczekiwania na transport przez wielką wodę. Nawet gdy wróciliśmy do Las Palmas, zamiast ruszyć od razu do mariny, postanowiłem odreagować, pochodzić po mieście, porozmawiać z ludźmi, złapać falę nie tylko w morzu, ale także na lądzie, poczuć się dobrze, by z uśmiechem ruszyć na poszukiwanie mojego jachtu.

Pewnego dnia znalazłem czyjś dowód osobisty i przeszedłem całe miasto, by odnaleźć właściciela. Bardzo byłem ciekaw, jak zareaguje, gdy mu go oddam, czy się ucieszy, czy wygląda tak jak na zdjęciu, być może liczyłem na napiwek... Szedłem z pewnym wyobrażeniem tego co miało się wydarzyć. Dotarłem do pięknej, białej willi. Zadzwoiłem. Długo nikt nie otwierał. W końcu pojawiła się na schodach kobieta. Łamanym hiszpańskim wytłumaczyłem o co chodzi. Podeszła do zamkniętej furtki, wzięła dokument i bez słowa zatrzasnęła drzwi. To wszystko.

Wzdłuż brzegu morza ciągnął się biały mur na długości kilkuset metrów zapisany pięknymi wierszami: o miłości,

o życiu. Codziennie było ich więcej, i więcej. Artysta mieszkał obok, na kamieniach pod starym parasolem. Dziennikarze robili z nim wywiady, telewizja nakręciła krótki program. Poeta chętnie rozmawiał z ludźmi, rozkochiwał w sobie niewiasty, deklamując im wiersze lub podarowując któreś z tych, które widniały na murze. Potem przychodziły one z koleżankami, pokazywały im wiersz i mówiły: „A ten napisał dla mnie”. Poza nocnymi imprezami i koncertami etnicznymi była to jedyna rozrywka kulturalna, na jaką jeszcze miałem siłę. Jakoś tak się złożyło, że bardzo dobrze nam się z poetą rozmawiało i spędziliśmy sporo czasu wymieniając doświadczenia i różnice w naszym podejściu do życia. Fantastyczny dystans jaki poeta miał do świata oddalił i mnie od odurzającej koncentracji na celu – po rozmowach z nim kwestia znalezienia stopa przez Atlantykę stawała się drugorzędna. Oddaliłem się myślami od zadania i pozwoliłem, by rozwiązało się samo. Pozostawiłem moje problemy i rozterki i zdecydowałem otworzyć się na to co płynie... A już wtedy do portu w Las Palmas, przemierzając trudne wody wybrzeży Hiszpanii, płynął 64 stopowy Baltic „Tanassa”, który był moim przeznaczeniem.

Tanassa

Tego dnia wróciłem do mariny wyluzowany, spokojny i pełen energii. Rozmyślałem, jak znaleźć alternatywne rozwiązanie. Wpadłem do portowego biura rejestracji. Pracujący tam chłopak był już moim dobrym znajomym, zamieniłem więc z nim dwa zdania i zacząłem przyglądać się czekającym w kolejce ludziom. Starszy, sprawiający dość sympatyczne wrażenie mężczyzna przeglądał dokumenty żaglowca zarejestrowanego w dobrze znanym mi Hamburgu. Coś mnie tknęło, więc wypaliłem z rutynowym tekstem: „Potrzebujesz załogi?”.

I poczułem, jak krew uderza mi do głowy. Wydawało mi się że śnię.

Wieczorem piłem kawę na 64 stopowym jachcie, którego maszt był wysokości dziesięciopiętrowego wieżowca. „Tanassa” była piękną, luksusową i bardzo szybką jednostką. Rozmawialiśmy po niemiecku, więc skiper nie miał zastrzeżeń do języka, przegląd książeczki żeglarskiej również wypadł dobrze. Śmiał się, że pewnie u nas – w Polsce – wszystko się obsługuje mułami, a nie jak tutaj, na przyciski.

Jedynego czego się bał to że mu liny będą próbował ręcznie ciągnąć. Przy kilkuset metrach żagla byłoby to słabe zagranie. Ponadto nie miał żadnych uwag, a kiedy dowiedział się, że podróż finansuję z zarobionych przeze mnie pieniędzy, zdecydował zabrać mnie za darmo.

Następnego dnia po śniadaniu zaokrętowałem się na jachcie. Jan nie wtajemniczał mnie w szczegóły, ale czułem, że coś ciężkiego wisiało w powietrzu. Jego przyjaciel, profesor matematyki z Atlanty, wkrótce bezpowrotnie zszedł na ląd. I był to dopiero początek dziwnych wydarzeń. Tymczasem był więc potrzebny kolejny załogant. Z naszej ekipy z hostelu pierwszy złapałem okazję, więc przyszedł czas, by pomóc pozostałym. Zaprosiłem na pokład Ashirdę, a potem już niemalże wszyscy z naszej paczki, jak domino, znaleźli sobie wolne koje na różnych łódkach. Michael, młody Niemiec, zahaczył się w innym porcie. Udało mu się ściągnąć do załogi Dawida i młodą Holenderkę. Laia, hiszpanka z Barcelony, która dwa tygodnie wcześniej rzuciła pracę w korporacji, dostała się na łódkę z dwójką sympatycznych Anglików. Laia opłynęła świat i dzisiaj mieszka na Bali. Niemalże w jednym momencie cała nasza paczka była zamustrowana, więc uczciliśmy to jak należy.

Szybko zorientowałem się, że mój statek to nie taki raj, o jakim marzyłem. Byłem jednakże twardy i zamierzałem zejść na ląd dopiero po drugiej stronie oceanu. Na Lanzarote, dokąd wkrótce popłynęliśmy, pokład opuściły dwie osoby, w tym kochanka Jana i drugi przyjaciel.

A potem jeszcze odeszła Ashirda, której pomogłem dostać się na jacht. Zeszła na ląd dosłownie w chwili, gdy oddawaliśmy cumy. Dużo nas nie zostało..

Ironia losu

Do naszej paczki poszukiwaczy jachtu przez Atlantykę należała także Ashirda, sześćdziesięcioczworoletnia Niemka z Hiszpanii, urodzona w Holandii, masażystka. Szczerze mówiąc, żeglarz był z niej słaby, za to wyśmienity kucharz i znakomity towarzysz podróży. Po kilku dniach pobytu na „Tanassie” zadzwoniła do swojej wróżki, a ta

kazała jej jak najszybciej opuścić statek. Tak też zrobiła, w ciągu dziesięciu minut spakowała manatki i uciekła bez pożegnania. Z korespondencji internetowej wiem, że udało jej się znaleźć inną okazję. Później zaś spędziła sporo czasu na St. Martin na Karaibach. Dziś mieszka na Majorce.

Z kompletnej załogi na pokładzie został jedynie stary przyk Reiner. We trzech, z Janem, nie byliśmy w stanie poradzić sobie w żeglowaniu tak wielką jednostką, więc kilka dni przed startem, wyznaczonym na 23 listopada, otrzymałem dwa zadania. Po pierwsze miałem lecieć samolotem z powrotem na Gran Canarię rozwiązać problem z naszym zbyt nowoczesnym komputerem, który nie chciał zgrać się z radiem, przez co nie mogliśmy wysyłać maili z informacją o naszej pozycji na morzu. Po drugie nie mieliśmy wystarczająco dużo załogi i miałem zwerbować kandydatów z którymi lada dzień miał się spotkać Jan.

Co za ironia losu, teraz to ja szukałem załogi. „Życie jest jak pudełko z czekoladkami. Nigdy nie wiesz, którą dostaniesz”. Telefonowałem do ludzi, przeprowadzałem rozmowy. Zrezygnowałem ze znajomych Polaków, bowiem jeden nie znał niemieckiego (czego wymagał Jan), a nie chcieli płynąć oddzielnie. Hiszpan miał odpowiednie kwalifikacje, ale chciał płynąć z dziewczyną i do tego zarobić jakieś pieniądze. Było jeszcze parę osób, nikt jednakże nie pasował do oczekiwań Jana. Wieczorem poszedłem do portu odwiedzić Polaka, właściciela barki – hotelu, który żeglował w załodze Warty Polpharmy podczas bicia rekordu przejścia wokół Wysp Kanaryjskich. Spotkałem tam również sympatycznego Anglika i Szwajcara zakochanego w wielkich starych żaglowcach. Szwajcar Kornel dzięki znajomości niemieckiego jako czwarty dołączył do naszej ekipy. Piątym członkiem załogi został Thomas, Holender, również z dużym doświadczeniem żeglarskim. To ten koleś, który w ogłoszeniu obiecał złowić i usmażyć rybę.

Niewyobrażalne widowisko

Właśnie na Lanzarote poznałem właścicieli jachtów i ludzi z załóg. Pewien Holender, kiedy dowiedział się, że jestem Polakiem, kazał pozdrowić Arka Pawełka, któremu pomagał podczas desperackiego rejsu małym pontonem, Ceną Strachu przez Atlantyk. Akurat tak się składało, że znałem Arka, znałem też historię tego spotkania.

Mój nowy znajomy należał do najbardziej samotnych żeglarzy, ale z pewnością, nie był większym dziwakiem niż większość spotykanych tu ludzi. Żalił się więc przy wielkim kuflu piwa: „Czy wiecie, co to znaczy żeglować z kimś na pokładzie? Wszystkie decyzje trzeba podejmować wspólnie, każdą sprawę konsultować z towarzyszem podróży, co zazwyczaj zmusza do długich, męczących dyskusji”. Nawet nie pamiętam, jak miał na imię. Wiem jedynie, że od siedmiu lat jego jedynym załogantem była wielka, gadatliwa papuga. Co łódka, to niezwykła historia, a tych łódek cumowało w porcie setki. W końcu jednakże ruszyliśmy.

„Tanassa” była typowym nowoczesnym „guzikowcem”, na którym większość problemów rozwiązuje się przez wciśnięcie odpowiedniego przycisku. Działa to oczywiście doskonale, dopóki nie siądzie zasilanie elektryczne. Wówczas mogą się zacząć poważne kłopoty. Każdy z nas miał własną kajutę z toaletą, niezły wypas. Na polskich jachtach jest znacznie większy spontan, wszystko robi się ręcznie lub na kabestanach korbą. I skiper rzeczywiście się bał, że zacznę rękami ciągnąć szoty.

Przed południem 23 listopada obserwowaliśmy niewyobrażalne widowisko, start do regat blisko dwustu pięćdziesięciu morskich jachtów, idąc w przeciwnym kierunku do nich. To było niesamowite, a wszelka próba opisanie wrażeń byłaby szaleństwem. „Tanassa” wyszła z opóźnieniem za dwudziestoma jachtami startującymi z Lanzarote. Nic złego się nie stało, chociaż przez spóźnienie straciliśmy najlepszy wiatr. Na pokładzie nikt, łącznie ze skiperem, nie przykładał wielkiej wagi do wyniku, choć nasza szybka łódka sama z siebie cały czas doganiała kolejnych rywali.

Latające ryby

Fale nadchodziły od rufy, więc kołysanie było bardzo przyjemne. Swoje oddałem morzu jeszcze przed startem, podczas większego falowania między wypami, teraz miałem więc spokój. Niesieni prądem kanaryjskim i popychani równomiernie wiejącym pasatem szliśmy na pełnych żaglach. Na jachcie zawsze sporo jest zajęć: trzeba sprzątać, gotować, zajmować się żaglami. Niby nic, ale jakoś dzień mija. W dzień zazwyczaj wszyscy i tak byli na nogach, więc prawdziwe czterogodzinne wachty pełniliśmy po dwóch jedynie nocą. Spaliśmy po 5–6 godzin na dobę,

co w mojej żeglarskiej karierze było wydarzeniem bez precedensu. Spotykaliśmy na trasie baraszkujące delfiny i latające ryby. Ogromne, wścibskie wieloryby wyrzucały fontanny wody tuż za naszą rufą. Pewnego razu że przez kilka kwadransów płynęły niemal w zasięgu ręki. To był nieprawdopodobny widok. Dwa gigantyczne łby patrzące na nas z potężnej oceanicznej fali. Co pewien czas zdarzało się także, że na jachcie przycupnął jakiś mały ptaszek. Siedział bez ruchu nawet parę godzin, po czym odleciał w nieznaną, chociaż od najbliższego brzegu dzieliły go tysiące mil. Nie mam pojęcia, co ptaki robią pośrodku oceanu.

Kilka razy zdarzało się że coś mnie uderzyło. Nie było to zbyt silne, więc szybko zapominałem. Jednak tego wieczoru zupełnie zniecka coś we mnie szturchnęło raz i drugi z dość konkretną siłą. Podejrzywałem kolegów o głupie żarty, aż zorientowałem się, że to latające ryby wyskakują nie w porę z wody i zamiast wrócić do oceanu, lądują na mojej głowie, następnie na pokładzie, a ostatecznie na talerzu. Bezmiar oceanu, równe fale, wspaniały wiatr, bezchmurne niebo. Wydawać by się mogło, że po czyścucu walki o miejsce na łódce wreszcie jestem w raj.

Nasz skiper Jan

Bardzo szybko odkryliśmy, dlaczego z tej pięknej łódki zwiali poprzedni załoganci. Jan, nasz skiper, przez całe życie był szefem fabryki produkującej paluszki rybne, czyli prezesem i współwłaścicielem gigantycznego koncernu. Sprzedał ponoć potem ten interes za gigantyczne pieniądze. Przez lata dowodzenia działał na wysokim poziomie perfekcji i świat nieidealny w ogóle go nie interesował. Nic go tak nie wyprowadzało z równowagi, jak ludzka niedoskonałość. My, zwykli śmiertelnicy, nie byliśmy w stanie ani mu dorównać, ani nawet w połowie sprostać jego wymaganiom. Poza tym miał różne swoje dziwactwa, którymi na każdym kroku nas zaskakiwał.

Jeszcze na Lanzarote właściciele wielkich jachtów zostali zapisani w porcie do kolejki po ropę na następny dzień. Wszystko zgodnie z planem, tylko że to nie był plan Jana.

Jan wpłynął pod dystrybutor o pierwszej w nocy, budząc przy tym wszystkie załogi. Zlekceważył komentarze innych kapitanów. Ważne było, że jako pierwsi napełniliśmy bak. A potem cały dzień przechadzał się dumny po porcie, nie bacząc na docinki i komentarze. Innego dnia wciągnął mnie na linie na trzydziestometrowy maszt. Miałem wpuścić do środka masztu fały żagli. Problem polegał na tym, że wpuszczona lina zaklinowała się w środku, przez co nie dochodziła do otworu w dole masztu. Zajęło nam to mnóstwo czasu, więc skiper uznał, że jestem nieefektywny. Odwiązał linę z kabestanu i musiałem zejść o własnych siłach z wysokości trzydziestu metrów po metalowym maszcie, na dodatek bez asekuracji.

Najgorsze numery jednak wyczyniał podczas posiłków. Musieliśmy zjadać wszystko, co zostawało z poprzednich dni albo to, czego nie dałoby się do żadnej potrawy wykorzystać. Któregoś dnia przyszła moja kolej na gotowanie. Przygotowałem pizzę. Wyglądała znakomicie, więc wyszedłem nakryć do stołu. Kiedy wróciłem, Jan stał zadowolony przy mojej pizzy i nakładał na nią buraki i fasolę, bo zostały z poprzedniej kolacji. Myślałem że się wścieknę. Zupełnie tym się nie przejął. Przy kolacji nie omieszkał wyrazić swojego zadowolenia, jacy to byliśmy tego dnia efektywni i zjedliśmy wszystkie stare buraki... w pizzy. Taki był Jan. Stąd ucieczka pierwszego kompletu załogi.

Whisky w kanistrach

Na pełnym oceanie ucieczka jednakże nie wchodziła w grę, można więc było katować się psychicznie, jak Thomas i Kornel, albo moją metodą przenosić się w stan niebytu. Jacht był na szczęście wystarczająco duży, by w

złym momencie zejść Janowi z drogi lub zamienić się w zombi. Przecież po wszystkim, co przeszedłem, nie mogłem być małośtkowy i psuć sobie przyjemności żeglowania przez Atlantyck. Doceniałem, że mam pokład pod nogami, a tej jesieni nie wszyscy załapali się łódki na idące za ocean. Gdy odpływaliśmy z Gran Canarii, jeszcze około dziesiątki chłopaków snuło się po porcie.

Po wybuchu powietrze schodziło z Jana i jakby nigdy nic życie toczyło się dalej. Ni z tego, ni z owego, kiedy zachodziło słońce, dało się słyszeć ryk kapitana: „Sundowner!”, czyli drink o zachodzie słońca. Wynosiliśmy wtedy niekończące się nigdy butelki whisky i bacardi, piliśmy razem drinki, jakby nic się nie stało. Alkohol trzymaliśmy w pięciolitrowych kanistrach pod pokładem. Jak się kończyła butelka, należało ją napełnić. Był to jeden z rytuałów życia na łodzi.

Jana od zwykłych ludzi różniło jeszcze jedno – nie miał żołądka. Wycięli mu jakiś czas temu i musiał brać pastylki zastępujące kwas żołądkowy. Pewnego dnia zgubił je i przestał przyjmować pokarm. Jadł i natychmiast oddawał go morzu. Myśleliśmy, że dopłyniemy z trupem, ale dał jakoś radę. Twarda sztuka.

Na Karaibach

Siedemnaście razy, dzień po dniu, za rufą pojawiała się słońce, po czym idealnie przed dziobem wpadało do morza. Przed sztagiem była ławeczka, z której podziwialiśmy te zachody, zupełnie jak na planecie małego księcia. Pewnego dnia ujrzeliśmy ziemię. Uwiercie mi, filmowe sceny pokazujące ten moment wcale nie są przesadzone, widok łądu po kilkutygodniowym rejsie był czymś niezwykłym, wszyscy krzyczeli i pokazywali palcami kształty majaczące na horyzoncie. Kiedy wpływaliśmy na Antigua, Jan za cholerę nie mógł odczytać z mapy gdzie są mielizny. Nadto żył w przeświadczeniu, że to nie Jan ma wymijać mielizny, lecz mielizny powinny mijać Jana. Cudem nas ominęły i weszliśmy do portu, z czego był on ogromnie dumny. Kiedy doszliśmy do brzegu, czekał na nas kelner z drinkami i zadaniem. Każdy z nas miał przejść po prostej linii, jeszcze przed drinkiem, co było niemalże niewykonalne. Fale przyzwyczyły nas do bujania i teraz łąd pod nogami nam się huśtał. Byliśmy na Karaibach.

Rozdział V

KARAIBY

Martynika, Gwadelupa, Wyspy Św. Wincentego i Grenadyny:

Mustique, Tobago Cays, Antigua

Karaiby są celem samym w sobie. Przyplłynęliśmy przez Atlantyck wprost na wyspę Antigua. Nie to że niechcący. Właśnie tam celowaliśmy i udało się trafić. Posiedzieliśmy na Antigua kilka dni, a później ruszyliśmy na południe zahaczając co ciekawsze wyspy. Wszystkich nawet nie pamiętam, ale na kilku wydarzyły się ciekawe rzeczy i o nich Wam opowiem

Gwiazdka na Mustique

Wyspy Św. Wincentego i Grenadyny, Tobago Cays... Czy są piękne? Piękne to są Bieszczady. Nie znam słów, którymi można by opisać oceaniczną tęczę złożoną ze wszystkich odcieni niebieskiego, nawet tych które, jak się zdaje, w przyrodzie nie występują. Zatrzymywaliśmy się na kotwicy z dala od brzegu, wodowaliśmy motorówkę i płynęliśmy na maleńkie, bezludne wyspy otoczone rafą koralową, łagodzącą oceaniczne fale. Chwilami brakowało na nich łądu, przestrzeni, po której można by pochodzić, pobiegać. A potem wracaliśmy do domu, czyli na morze, zostawiając za rufą złote skrawki łądu.

Nadeszła Gwiazdka, inna niż wszystkie. Zamiast choinki – palmy. Z jednej strony ocean, a z drugiej – Mustique, wyspa bogaczy, na której swoje rezydencje mają między innymi David Bowie i Mick Jagger. Wyspa idealna: każde drzewo pielęgnowane przez ogrodników, delikatne ścieżki prowadzące między miękkim dywanem przystrzyżonych traw.

Wstawiałem rano, wskakiwałem do wody i płynąłem na wyspę po kokosy. Na Mustique spokój był wręcz nieznośny, a upadek kokosa zdawał się powodować trzęsienie ziemi. Podkład muzyczny stanowił szum fal mieniących się w oślepiających promieniach słońca, które wisiało tuż za rogiem, jakby zaczepione o jedną z palm, na życzenie któregoś z pięciogwiazdkowych mieszkańców. W wigilię Bożego Narodzenia jedliśmy kolację na jachcie,

z widokiem na morze i Mustique. Zadzwoiłem z telefonu satelitarnego do rodziców, żeby złożyć im życzenia, opowiedzieć w jak niesamowitym miejscu właśnie się znajduję.

Na dobrą sprawę, sam nie mogłem w to uwierzyć. Narastała we mnie potrzeba dzielenia się tym co przeżywałem, nie miałem już miejsca wewnątrz by przyjmować więcej wrażeń.

Mustique była ekskluzywna, przez co znacząco się różniła od biednych wysp, zabudowanych slumsami, a oddalonych zaledwie o kilkadziesiąt mil. Świat bogaczy ocierał się tu o świat biedoty. Gdzieś jednak musiał być punkt wspólny. Jakiś biznes? Otóż był, bo nie wszystkim chciało się schodzić na ląd, wodować dingy, czyli ponton, tylko po to, by pójść do sklepu. Lenistwo na jachcie osiągało szczyty, ciała topiły się w słońcu, ale brzuszki chciałyby coś świeżego, coś pyszniejszego od foliowanych serów, wina i whisky. Wtedy właśnie na deskach surfingowych nadpływały świeże bułeczki i owoce. Czasem tubylcy nie mieli bułeczek i usiłowali sprzedać marihuanę lub ewentualnie kokainę. Niezależnie, czy chcieliśmy coś kupić, czy nie, to i tak warto było coś dać, chociażby po to, żeby odczepili się od łódki. Przeczekać tych sympatycznych ludzi nie było można, bo dla nich czas nie płynął, a przejarane trawą oczy nie znosiły odmowy. Czasem udawało się zagadać, więc tłumaczyliśmy, że jesteśmy tylko najemną załogą i, tak jak oni, nie mamy kasy. Przeważnie skutkowało i piraci na deskach surfingowych odpływali bez łupu. Nasze zwierzenia były zgodne z prawdą, bo już z Martyniki Jan poleciał do Hamburga i zabrał ze sobą zgrede Reintera. Zostawił nam kluczyki i papiery do żaglóweczki za parę milionów euro. Gość należał do świata, w którym „wygrywa ten, kto w dniu śmierci ma najwięcej zabawek”, ale sam nie przywiązywał się specjalnie do rzeczy. Nie wziął nawet naszych personaliów, po prostu zostawił swój skarb, by odebrać go kilka tygodni później. A może nam po prostu ufał.

Scottie

Żeglując z Gibraltaru na Kanary na łódce „Preideau”, poznałem Scotta. Pewnie pamiętacie opowieści o drobnym przemytniku z Jersey i rejsie podczas którego nasza niesubordynacja i totalne lekceważenie wszelkich niebezpieczeństw o mało nie doprowadziły do zderzenia jachtu ze skałami u wybrzeży Maroko. Pamiętałem jeszcze z tamtego rejsu, że Scott nie miał wiele do powiedzenia o życiu, więc cały czas opowiadał nam o wyspie Antigua na Karaibach i o tym, że są tam fajne laski i crack. Mówiąc o tym, wykonywał zawsze te same prześmieszne gesty rękoma, aby nie było wątpliwości, o czym mowa.

Ledwo wiedziałem, gdzie leży Antigua, za to jako jedyny na „naszej” „Tanassie” wiedziałem, jak wygląda flaga tego kraju. Miałem taką flagę w dzieciństwie, kiedy grałem w kapsle. I nagle okazało się, że właśnie jestem na Antigua.

Na Karaibach zawijaliśmy już do wielu portów, ale tego dnia pojawiliśmy się w miejscu, które przeszło moje najśmielsze oczekiwania. Murzyńska wioska, zapuszczone budy, stary, brzydki osioł przywiązany do kołka, a w porcie sto metrów dalej stały łodzie – po kilkadziesiąt milionów dolarów każda. Co za dysonans. Wieczorem poszliśmy z chłopakami na imprezę, na której te dwa światy się ze sobą mieszały. Weszliśmy do baru, a przy barze stał Scottie. Co za fantastyczne spotkanie. Uściskom nie było końca. W kilku słowach przekazaliśmy sobie wydarzenia ostatnich miesięcy i zapytałem gdzie te atrakcje, o których tak nam opowiadał w Maroko? Scottie rozejrzał się dookoła. Dziewczyn to tu za bardzo nie było... ale widziałem już po jego uśmiechu, że miał do zaferowania coś...

Wyszliśmy z dyskoteki i zaczęliśmy wspinać się wąskimi drogami pomiędzy drewnianymi domkami. Wchodziliśmy w coraz ciemniejszą ciemność, kilkaset metrów od świata potężnych jachtów żyły slumsy, mroczne, przerażające, głuche. Czuliśmy, jak skacze nam adrenalina. Nasz przewodnik rzucił hasło, ktoś

odpowiedział i weszliśmy na posesję. Na ziemi siedziało dwóch czarnych ćpunów w stylu rasta, a przed nimi leżał stosik pornosów. Małe kryształki, plastikowa butelka, zapalniczka, ogień... lot w nieznane. Potężny strzał, uczucie erotycznej błogości, nirwany, cielesnego spełnienia. Uczucie do którego już po kilku minutach pragniesz wrócić... musisz wrócić... Kolejny strzał. Działa słabiej, potrzebujesz więcej. Lecisz.. i nigdy już nie chcesz wracać. Piekielne miejsce, z którego bez opieki Scotta być może nie byłoby powrotu. Przerażeni wróciliśmy na dyskotekę. To był strach przed utratą siebie. Palenie stawało się strasznym nałogiem. Kasa ulatniała się momentalnie. Ryzyko rosło. Coraz trudniej było funkcjonować bez. Życie traciło sens. Na szczęście mój ówczesny dom ruszał dalej, a ja wraz z nim, tracąc kontakt z wysłańcem piekieł. Wkrótce, odpływając z wyspy, dziękowałem Bogu, że oddalam się od tego strasznego bagna. Jeszcze wiele miesięcy później widząc na filmie scenę palenia cracku czułem ciarki na całym ciele.

Spadam stąd

Musiałem coś zmienić. Być może Karaiby to najpiękniejsze miejsce na ziemi, ale czułem, że na mnie już czas. Załoga Tanassy miała swoje tempo życia, wolniejsze od mojego, i po przybyciu do brzegu rzadko się spotykaliśmy z naszymi planami. Na łódzie mieszkaliśmy w bogatych i drogich pod każdym względem marinach oddzielonych od lokalnego kolorytu lub staliśmy na kotwicy z dala od cywilizacji. Podróże po wyspach na stopa (bo inny transport był dla mnie zbyt drogi) były z czasem męczące. Z mojego doświadczenia żeglarstwo nigdy nie sprzyjało zwiedzaniu świata od strony lądu. Potrzebowałem ruchu, udało mi się przepłynąć przez Atlantyk na stopa i byłem nakręcony jak cygańska katarynka. Chciałem poznawać świat i jechać dalej. Gdzieś z tyłu głowy miałem Peru. Czekałem więc aż dotrzemy do jakiejś większej wyspy, z której mógłbym urwać się na kontynent.

Na Martynice

pojechałem na lotnisko sprawdzić loty do Cayenne w Gujanie Francuskiej. Lot znalazłem i mimo ceny, podjąłem decyzję. Musiałem jeszcze śmignąć na jacht, pożegnać się z Thomasem i Kornelem i zabrać moje rzeczy. W drodze powrotnej do portu stanąłem na stopa. Zatrzymał się samochód. Dziewczyna za kierownicą rozmawiała przez telefon. Była Francuzką, biologiem, przewodnikiem po dżungli. Dobrze się rozmawiało, więc zaprosiłem ją na pokład „Tanassy”. A tam uświadomiliśmy sobie, że jest trzydziesty pierwszy grudnia i ostatniego dnia roku wypadało iść na imprezę. Moja załoga wolała spędzić ten czas w pobliskiej knajpie, a mnie ciągnęło, żeby poznać nowych ludzi i miejsca. Marlene zabrała mnie na imprezę do swoich znajomych Francuzów – buraków.

Już po zmroku zatrzymaliśmy się stacji benzynowej. Wysiedliśmy żeby zatankować. Nagle podbiegł do nas czarny chłopak, trzymał w ręku maczetę i coś majaczył. Koleś był na totalnym haju. Ten haj to ja nawet znałem i wiedziałem że intelektualne dyskusje się tu nie sprawdzają. W tym stanie, gość mógł nas sieknąć nawet niechcący. Marlene mówiła do niego, nie tracąc kontaktu wzrokowego. Spokojnie, łagodnie mówiła po angielsku: „keep cool, keep cool”... Zapomnieliśmy o tankowaniu i wróciliśmy do samochodu. Dzieciak był imigrantem z Jamajki. Szedł jeszcze chwilę obok nas z maczetą na ramieniu. Trochę skoczyło nam ciśnienie, ale przecież zaraz mieliśmy się bawić. Impreza z grupą Francuzów nudziarzy mieszkających na wyspie i izolujących się od rzeczywistości jej czarnych mieszkańców, była nudna jak flaki z olejem. Zupełnie mnie ten nadęty świat nie interesował. Miałem dość i Marlene chyba też. Pojechaliliśmy we dwójkę na plażę, gdzie ludzie tańczyli, morze szumiało, szumiało też w naszych głowach. Marlene

mieszkała w małym domku na szczycie góry. Kompletnie zalani jechaliśmy zbyt szybko pijanymi drogami, wspinając się coraz wyżej i wyżej. Rano z góry można było oglądać całą wyspę. Piękny widok. Zawiozła mnie na jacht, szybko się spakowałem i wyruszyłem na lotnisko. Za trzy godziny lądowałem w Gujanie Francuskiej, z dala od wspaniałości bogatego świata. Na Karaibach, na jachcie za grubo ponad milion dolarów, gdzie podarcie żagla za dwadzieścia tysięcy euro nie robiło na właścicielu wrażenia, czułem się spokojny, bezpieczny i pewien siebie. I to właśnie ta wewnętrzna statyka czyniła życie absolutnie nieznośnym. Uciekałem z rajy bogaczy, z bajecznych Karaibów gdzie za darmo mieszkałem na wypasionym jachcie. Mogłem

płynąć dalej na Kubę, a potem do USA i z powrotem do Europy w kolejnych regatach, mogłem cieszyć się „wolnością” bogatego świata... nie, to nie była moja wolność. Nieuchronność kontynuowania podróży zrozumiałem dopiero, kiedy wylądowałem w biednej i niebezpiecznej Brazylii. Wsiadłem do autobusu z odkręconą na maksa klimatyzacją. Na dworze łał się żar, a w środku było przeraźliwie zimno. Siedząca obok mnie kobieta przykryła chustą siebie i mnie, tak naturalnie, bez słowa. Poczułem, że dopiero tu jestem wśród ludzi. Po wielu miesiącach byłem wreszcie w miejscu, do którego tak długo i mozolnie podążałem.

Rozdział VI

BÓG JEST BRAZYLIJCZYKIEM Deus e Brasileiro

Amazonia – Gujana Francuska, Brazylia,

Boliwia, Peru, Argentyna

Gujana – lotnisko

Wylądowałem w Cayenne. Pierwsze co mnie uderzyło to ciepłe, tropikalne powietrze i nasycająca je wilgoć. Przyjemne. Cieszyłem się z mojej decyzji. Cieszyłem się ze stałego ładu. Niewiele myśląc wyszedłem przed terminal i położyłem się na ławce. Plecak przywiązałem trochę do ławki, trochę do nogi. Nie myślałem o zagrożeniach, nie myślałem o nocy. Pierwsze gwiazdy Ameryki Południowej uśmiechały się do mnie. Nigdy wcześniej nie byłem w Ameryce Łacińskiej, ale wiedziałem od tej pierwszej nocy, że to moje miejsce. O szóstej rano miły pan zasugerował żebym się ogarnął, bo zaraz otwierają terminal i zacznie się robić gwarno. Nie traktował mnie jak gorszego, bo śpię na ławce. Budził mnie żebym nie miał problemów, budził, bo myślał że może odlecieć mój samolot. Mój brudny plecak i biedne ciuchy nie raziły. Na mapie nie trudno było zauważyć że Gujana Francuska składa się głównie z nieprzejezdnej dżungli. Szukałem transportu na granicę z Brazylią, ale kiedy kolejni kierowcy, mimo wysokiej ceny, odmawiali, ze względu na bezpieczeństwo na tej trasie, postanowiłem ten odcinek polecieć. Lot miałem za chwilę. W międzyczasie zdążyli mnie jeszcze przetrzepać, bo w plecaku miałem metalowy kubek, którym na monitorze skanera wyglądał jak bomba. Podobno. Dzięki temu, że wybrałem samolot zobaczyłem Amazonię z góry. Dopiero zdałem sobie sprawę czym jest dżungla, niedostępna sieć lasów i meandrujących rzek, tajemniczy świat przyrody. Miałem spędzić w Amazonii wiele tygodni i cieszyłem się że na początek mogłem ogarnąć krajobraz z lotu ptaka.

Dokąd jechać?

Lotnisko na granicy Gujany Francuskiej z Brazylią przypominało boisko z mojej podstawówki w Tarchominie. Rolę portu pełnił zaś drewniany barek z daszkiem, dokąd przywieziono metalową taczka bagaże nielicznych podróżnych. Stałem chwilę zdezorientowany, zupełnie nie wiedząc, gdzie tak naprawdę byłem i dokąd powinienem pójść. Nieśmiało po francusku dopytałem się miejscowego policjanta o drogę nad rzekę i przygnieciony plecakiem poczłapałem przez maleńką wioskę, w której stało zaledwie parę domków na krzyż, a pomiędzy nimi ciągnęła się wyjeżdżona pylista droga. Port również nie oszałamiał rozmachem: przy drewnianym pomoście kolebało się kilka łódek.

Mapy, z których korzystałem, były kserokopiami z wielkiego atlasu, w tak niewyobraźalnie wielkiej skali, że mogłem przykryć dłonią cały kontynent. Mogłem więc się jedynie domyślać, że Brazylia leży po przeciwnej stronie rzeki. Po chwili, wraz z równie jak ja przypadkowym pasażerem, mknąłem pod prąd długą łodzią napędzaną potężnym silnikiem. Sternik, na oko czternastolatek, chyba rozumiał mój hiszpański, bo dopłynęliśmy do Oyapoque, czyli tam, gdzie chciałem. Zresztą może mnie wcale nie rozumiał, tylko to był jedyny port, do jakiego mogliśmy dopłynąć.

Na początku mojej podróży wyruszałem do znajdującej się za oceanem Ameryki. Nic bardziej konkretnego nie chodziło mi pogłowie. Gdy więc poznałem na dworcu w Madrycie Gustavo, turystę z Limy, pod wrażeniem rozmowy z nim postanowiłem jechać do Peru. Kiedy po kilku miesiącach tułaczki dostałem e-mail od Maćka, mojego kumpla ze szkoły średniej, że zamierza do mnie dołączyć, bez wahania umówiłem się z nim w Boliwii, która w ten sposób stała się moim celem pośrednim. Cele się zmieniały i w zasadzie nie miało znacznie, dokąd jadę. Mając jednak wyznaczony jakiś kierunek na mapie, łatwiej mi było się w tym wszystkim odnaleźć.

Zatem w dniu, w którym dojechałem do Brazylii, chciałem jedynie przemierzyć ten kraj w drodze do Peru. I od pierwszej chwili zakochałem się w przyjaznym klimacie, lekkości bytu i spokoju, jaki niesie z sobą każda chwila. Po prostu przestało mi się dokądkolwiek spieszyć. Wracając do przeróżnych miejsc na świecie, niejednokrotnie czuję rozczarowanie. Ulatnia się gdzieś ich magia, bo przyzwyczajam się do danego miejsca. Z Brazylią, mimo nieustannych powrotów, mimo wielu tysięcy przejechanych kilometrów i setek poznanych ludzi, było zupełnie inaczej. Za każdym razem przeżywałem nowe emocje, nieustannie chciałem tam wrócić, wciąż za nią tęsknię, tak jak teraz, gdy piszę te słowa.

Przyjazne powitanie

Zaledwie wysiadłem z łódki na brzeg, a już musiałem odeprzeć gwałtowną napaść „bankierów” usiłujących wymieniać pieniądze. Szybko się dogadałem, musiałem bowiem zapłacić za podróż. Natychmiast poszedłem zarejestrować się oraz kupić bilet na dalszą drogę. W urzędzie, zamiast spodziewanych tępych i pazernych celników, przyjęła mnie bardzo sympatyczna, znająca języki obce kobieta. W brazylijskich kobietach zakochałem się nieco później.

W małym miasteczku łatwo udało mi się znaleźć dworzec, czyli kolejną wiatę. Plecak zostawiłem do pilnowania przypadkowym kolesiom i poszedłem coś zjeść. Wierzyłem, że gdy wrócę, będzie czekał nie ruszony na swoim miejscu. Poniosły mnie pozytywne emocje, w barze opowiadałem coś o sobie i swoich przygodach po angielsku, a może po hiszpańsku, a oni ledwo mnie rozumieli. A może nawet wcale.

Kto to wie? Czułem się wyśmienicie.

Śmieszny autobus, którym miałem przejechać do Macapa, miał przyciemniane szyby i robił wrażenie, że kiedyś mógł być całkiem porządną maszyną. Atmosfera wewnątrz była bardzo luźna, ale też nie indiańska, czyli ludzie nie siedzieli jeden na drugim. Co rusz ktoś do mnie zagadywał, mimo że niewiele z tego wynikało. Odpowiadałem uśmiechem, słuchając pięknej melodii języka portugalskiego, i nic nie rozumiałem. W skaczącym na wybojach pojeździe moje wielkie traperskie buty wędrowały po całym wnętrzu jako atrakcja. I co chwila ktoś przynosił mi je z powrotem, dzięki czemu nieustannie zawierałem nowe znajomości. Zauważyłem też, że w wielu krajach kierowcy autobusów, oprócz dużego koła, czyli kierownicy, mają jeszcze dwa mniejsze. Jedno to klima, a drugie – radio. Nie wiem, czy dziełem przypadku, czy też matematycznej kalkulacji jest to, które danego dnia rozkręca na maksa. Najwyraźniej któreś trzeba. Tym razem klimatyzacja mroziła pasażerów bezlitośnie, więc ludzie nakrywali się wszystkim, co tylko mieli. Niestety, zostawiłem ciepłe ubrania w bagażu. I nagle siedząca obok kobieta przykryła mnie wielką chustą. Bez słowa, tak zwyczajnie, przykrywając siebie, uznała, że musi mi być zimno. Z luksusowego świata Karaibów przenosiłem się w nowy wymiar. Byłem wśród ludzi.

Na Amazonce

Za oknem kilometrami ciągnęły się lasy, karczowiska i ogrodzone pastwiska. Tysiące hektarów wyciętych drzew, a na polach brzydkie, białe krowy. Pamiętałem lasy Amazonii z lekcji geografii, niedostępna dżungla będąca „zielonymi płucami świata”, dzikie zwierzęta... Znacznie później poznałem również taką Amazonię. Pierwszy obraz, jaki zobaczyłem z autobusu, budził raczej skojarzenia z pustynią w Kazachstanie. Tylko zamiast owiec, pasły się wspomniane krowy. Pasażerowie wsiadali i wysiadali na niespodziewanych przystankach, wychodząc spośród drzew lub znikając pomiędzy nimi. Tak dotarliśmy do

Macapa. Z wielkim plecakiem krążyłem po mieście, które z kwadransa na kwadrans stawało się coraz obszerniejsze. Wreszcie dobrzy ludzie pomogli mi dotrzeć do księgarni, gdzie kupiłem książkę do nauki portugalskiego, i pojechałem popularnym w Brazylii moto taxi do banku pełnego interesantów, żeby przypomnieć sobie że na co dzień mieszkam w urzędniczym rajku. Po kilku godzinach męczarni w gigantycznej kolejce udało mi się wymienić czeki podróżne po wyjątkowo niekorzystnym kursie i zawrzeć kilka niezwykle ciekawych znajomości. Chwilę później wreszcie zobaczyłem Amazonkę. Nie była tu dużo szersza od Wisły, jednak majestat królowej kazał mi usiąść i podziwiać w milczeniu migoczące fale.

Później w porcie wypytywałem ludzi o ceny biletów i trasy statków. Tubylcy nie mogli zrozumieć, że jest mi zupełnie obojętne, dokąd dotrę. A wybór miałem niewielki – w dół lub w górę rzeki. Wybrałem kierunek do Peru. Od kilku miesięcy przemieszczałem się na zachód i tak już zostało. Na pokładzie zaczęto mnie o wszystko wypytywać. Ludzie uśmiechali się życzliwie. Wystarczyło rzucić słowo, aby rozpoczęła się dyskusja o wielkich lub zupełnie małych sprawach. Powoli, z dnia na dzień, coraz więcej rozumiałem, coraz lepiej mówiłem po portugalsku i miałem wspaniały kontakt z otoczeniem. Nieustannie grająca muzyka i piękne twarze w pełni wynagradzały tłuste i niesmaczne żarcie, którym nas karmiono.

Andželika i szczęśliwe prosię

Po kilku dniach dopłynęliśmy do Santarem, drugiego większego miasta na tej trasie. Miałem dość samotnego podróżowania, więc w hoteliku przyłączyłem się do dwóch Brazylijczyków, Belga i kogoś tam jeszcze. Moje pochodzenie było na tyle egzotyczne, że ludzie z ciekawości pozwalali mi się przyłączyć. Brazylijczycy pochodzili z Sau Paulo i byli tu na wakacjach. Wiedzieli gdzie jechać i co oglądać, a ich zainteresowania były bardzo bliskie moim. Na początek udaliśmy się do Alter do Chao, gdzie wynajęliśmy Andželikę, sfatygowaną łódź wiosłową by popływać sobie po dorzeczach Amazonki. Na co dzień chłopak, właściciel Andželiki, przewoził nią turystów z baru na plażę – pokonywał całe dwadzieścia metrów. Turystów było niewielu, więc za cenę kilku transferów chętnie oddał łódź, by przez trzy dni poleżeć w cieniu, kiedy Andželika pracowała na niego. Do obsługi naszego statku potrzeba było trzech marynarzy – jednego do wiosł i dwóch do nieustannego wylewania wody, bo przez szpary między deskami mogły wpływać nawet mniejsze ryby. Na pierwszy nocleg zacumowaliśmy na cyplu przeciwnego brzegu, gdzie Fernando natychmiast spotkał znajomych z położonego 4 tysiące kilometrów na południe, zamieszkanego przez 20 milionów ludzi, Sao Paulo. Ot, przypadek.

Fantastycznie zakręceni kolesie, studenci, od miesiąca podróżowali po rzece wypożyczonym za grosze dwupiętrowym statkiem pasażerskim z kuchnią, gdzie załoga spała w rozwieszonych hamakach. Nie było tu hoteli, zorganizowanej turystyki, naganiaczy. Wystarczyło dogadać z kapitanem i można było spędzić na rzece ile dusza zapragnie, łowiąc ryby i bawiąc się na całego na lokalnych imprezach. Znajomi Fernando zabrali nas ze sobą na statek. Przez kilka godzin skakaliśmy z dachu wysokiej na kilka metrów łajby do wody. Wszyscy mieliśmy po dwadzieścia parę lat, a niczym dzieciaki popisywaliśmy się coraz to wymyślniejszymi skokami z coraz większej wysokości. Niestety, brazylijskim dziewczynom średnio to imponowało, bo robiły dokładnie to samo co my, tylko trzy razy lepiej.

Kiedy zabawa już się nam znudziła, zacumowaliśmy w pobliskiej wiosce, żeby zagrać w bingo. Gra była nadzwyczaj wesoła, a główną nagrodę stanowił porco, czyli żywy prosiak. Osluchiwałem się z portugalskim i uczyłem brazylijskiej lekkości bytu, ze wszystkimi jej urokami. A potem zakochałem się w brazylijskich dziewczynach, na szczęście pojedynczo, bo była to bardzo wyczerpująca miłość. Prosiaka wygrały ostatecznie dwie osoby, więc ktoś próbował go na miejscu podzielić, ale tłum zaprotestował. Wieczór zwierzę spędziło jeszcze w świetle żywych,

odchodząc z jednym
ze zwycięzców.

Różowe delfiny

Mijały kolejne dni beztroskiej zabawy, jedliśmy pyszne tukunare, piliśmy piwo i pływaliliśmy w Amazonce z różowymi delfinami. Sam w to nie wierzyłem, ale na własne oczy widziałem wielkie boto, różowe delfiny. Blisko podpływały i nie bały się ludzi. Prawdziwe delfiny tysiąc sześćset kilometrów od oceanu? Czego szukały w meandrach amazońskich rzek?

W dzień szukaliśmy delfinów, a nocą koczowaliśmy „w terenie przygodnym”, trochę w strachu, czy nie odwiedzą nas tubylcy, by pożyczyć sobie jakieś rzeczy. Najmniej przejmowali się tym Leo i Fernando, bo niewiele już mogli stracić. Kilka dni wcześniej oskubała ich grupa kolesi z maczetami. Codziennie spotykaliśmy nowych ludzi, którzy na krócej lub dłużej przyłączali się do towarzystwa. Gilberto na przykład od ośmiu miesięcy jechał rowerem do Europy. Brakowało mu jeszcze trochę do końca drogi, bo był dopiero w sercu Ameryki Południowej. Nie miało to jednak znaczenia, najważniejsze, że jechał. Okazało się, że jest znakomitym przewodnikiem i zabrał nas Andżeliką do zatopionej dżungli, gdzie las znajdował się metr pod wodą. Muszę przyznać, że nigdy wcześniej nie pływałem łódką po lesie. Gilberto pokazywał nam różne owoce i o nich opowiadał. Nie miał pieniędzy, więc żywił się tym, co znalazł, i sądząc po tych opowieściach, miał spore doświadczenie. Podczas jednej

z wycieczek zawiózł nas do pływającego domu z ogrodem uwiązany na sznurku, którym ktoś podróżował po rzece,

a w zasadzie nie tyle podróżował, co po prostu w nim mieszkał. Tajemniczy właściciel, chyba jakiś szalony Europejczyk, miał w pływającym ogródku marchewki i zioła. Tak sobie żył i płynął z prądem rzeki.

Moja nowa ekipa była wspianała. Opowiadaliśmy sobie różne historie i nieustannie się śmialiśmy. Jak to w Brazylii. Wiedziałem, że muszę nauczyć się tego śpiewnego języka. Wprawdzie chłopaki tłumaczyli mi co nie co, chciałem jednakże wiedzieć wszystko, absolutnie wszystko!

Krwawa biegunka

Po kilku dniach dostałem krwawej biegunki. Każdy miał jakąś koncepcję mojej choroby i wszyscy przerzucali się nazwami tropikalnych epidemii, główkując, co ze mną będzie.

A ja po prostu srałem krwią, więc Leo pojechał ze mną do

najbliższego miasta do szpitala. Działy się tam dziwne rzeczy. Masa ludzi siedziała lub leżała przed budynkiem i rzadko udawało się komuś wdrzeć do środka. Udawało się na przykład pijaczynie, którego pielęgniarze wynosili i z powrotem kładli na schodach. Ten zaś usilnie próbował wrócić. Niewiele rozumiałem z rozgrywających się przede mną scen, nadto miałem niezłego cykora o własne zdrowie. Na zewnątrz na ławce pobierano krew, jak w obozie dla uchodźców. Najdziwniejsze zaś było to, że w takim miejscu wszystkim dopisywały znakomite humory. Jak to w Brazylii! Jak to w szpitalu?

Po godzinie czekania nie wiadomo na co dostałem się do środka, gdzie natychmiast ściągnęli mi gacie i obejrzeni tyłek. Musiał być szczególnie pasjonujący, bo oglądali go chyba wszyscy pracownicy placówki. Następnie zapisali tabletki. Poszedłem do apteki i kupiłem lekarstwo. W pudełku były tylko dwie pigułki, podobne do gigantycznych żelatynowych oliwek. Zażyłem dwie na raz i wszystko przeszło jak ręką odjął.

Do Manaus

Po szczęśliwym uzdrowieniu kupiliśmy bilety na statek do Manaus. W porcie robiło się bardzo tłoczno i dowiedzieliśmy się, że nasz statek przed paroma godzinami nieopodal zatonął, co podobno nie jest niczym

nadzwyczajnym na tych wodach. Na pokład następnego wbiły się więc dwa komplety pasażerów i z braku miejsca musieliśmy się rozdzielić. Nie miało to większego znaczenia, bowiem Leo i tak cały czas spał. Zagęszczenie zaś sprzyjało nawiązywaniu kolejnych znajomości.

Aby podróżować statkiem, trzeba mieć własny hamak. Wpada się z nim na pokład i zarzuca końce na przeciwległych hakach. Trzeba to dobrze rozegrać, aby zmieścić się potem do odpowiednio naciągniętej płachty, a jednocześnie nie skazać się na obijanie przez kilka dni głową o czyjś wielki tyłek. Jakikolwiek zmiany w takim ścisunku były niemożliwe. Jak mówi stare brazylijskie przysłowie: „jak się powieszysz, tak się wyśpisz”.

W południe na pokładzie obowiązywała sjesta. Kiedy jednak mijał największy upał, zbierała się pokaźna gromadka amatorów śpiewania i grania. Zaczynał się koncert, który trwał i trwał, i trwał... Robiło się coraz bardziej rodzinnie. Moi kumple świetnie grali na gitarach, Leo zaś był perkusistą w zespole rockowym. Stopień muzykalności Brazylijczyków sprawił, że moje brzdąkanie wydało się zupełnie obciachowe, więc szybko przerzuciłem się na perkusję, czyli uderzanie dłońmi w kadłub statku.

Wysiedliśmy w Manaus, największym mieście Amazonii. Zrzuciliśmy graty w hotelu i ruszyliśmy do portu, gdzie miałem wybrać sobie kolejny przystanek na mojej amazońskiej trasie. Na ulicy niespodziewanie spotkaliśmy Sabino, kolegę z ostatniego statku, na którym wspólnie śpiewaliśmy wieczorami brazylijskie przeboje. Nasz kolega już dawno byłby w Boa Vista, gdyby nie to, że przydarzyła mu się bardzo nieprzyjemna historia.

Szef wysłał po niego z Boa Vista do Manus samochód. Pocziwy Sabino, jeszcze na pokładzie zgadał się z piłkarzami jadącymi do tego samego miasta, że ich podrzuci. Kierowcy jeszcze nie było, więc zostawił piłkarzom torbę i poszedł odwiedzić mieszkającą w Manaus mamę. Gdy wrócił w umówione miejsce, nie było już ani auta, ani piłkarzy, a tym bardziej torby. Wieczorem zatelefonował do szefa i okazało się, że piłkarze kazali oni szoferowi (który osobiście Sabino nie znał) jechać, a swego dobroczyńcę zostawili w Manaus. Powiedzieli, że zrezygnował z podróży. Kierowca wiedział tylko tyle, że ma kogoś zabrać, więc nawet nie wiedział, że wiezie nie tych, co powinien. Szczęściem zostawili w aucie bagaże naszego kolegi. Sabino w związku z tym spędził więcej czasu z rodziną, bo kolejny transport z firmy jechał za trzy dni. Tu, trzy dni w tę czy we w tę, nie robiło różnicy. Sama historia zaś wydawała mi się tak absurdalna, że kilka razy musieli mi ją opowiadać, żebym był pewien że się nie przesłyszałem.

Na skraju dżungli

W samym mieście ciężko było wytrzymać, więc wybraliśmy się do odległej o kilkanaście kilometrów, dobrze znanej

z przewodników Presidente Figueiredo. Zamieszkaliśmy

w hamakach rozwieszonych na skraju dżungli, skąd robiliśmy wypadki do pobliskich wodospadów i jaskiń.

Wodospadów

w najbliższej okolicy były dziesiątki, małych i dużych, zrzucających wodę białymi strugami z wielkich wysokości i szerokich, rozlanych, pienistych i huczących. Jeśli za bardzo dokuczały nam komary, przenosiliśmy się do namiotu.

Gospodyni przyrządzała nam różne przysmaki. Była zielarką i opowiadała niezwykle rzeczy o różnych roślinach. Ziołami, jak twierdziła, można leczyć wszystko: od potencji do raka. Codziennie poznawaliśmy jakąś nową roślinkę, a obsadzony był nimi cały dom, ogród, a to czego nie było poblizu, można było znaleźć w lesie deszczowym. Pewnego dnia kobieta opowiedziała nam dramatyczną historię. Kiedyś poszła dalej w głąb dżungli. Zbierała zioła i nagle zobaczyła niesamowitą scenę: na polanie dwaj policjanci zatłukli jakiegoś człowieka i zdarli mu skórę z twarzy. Po chwili zniknęli.

Po tej opowieści trudniej mi było mieszkać na skraju interioru, tym bardziej że chłopaki pojechali do domu i zostałem sam. Włóczyłem się jeszcze jakiś czas po okolicy, trochę na stopa, a czasem z kapturą, brodziłem pod wodospadami i zaglądałem do jaskiń. Do jednej z nich, pomimo tabliczek ostrzegawczych, wlałem za daleko. Kiedy w ciemnościach zacząłem macać wnętrze jaskini o dziwnej fakturze, ściana oderwała się i uniosła nade mną chmurą nietoperzy. Przeraziłem się. W biegu biłem rekordy, zaś od tamtej pory wiem, że jeśli ktoś postawi tabliczkę z trupią czaszką, to istnieje duże prawdopodobieństwo, że nie zrobił tego bez powodu.

Miejscowi poruszali się po dżungli ścieżkami, których w ogóle nie widziałem. Nie chodzi o to że nie wiedziałem gdzie są, ale że stojąc na takiej ścieżce, fizycznie jej nie dostrzegałem. Szedłem za przewodnikiem, a gdy spojrziałem za siebie, droga się za mną zamykała. Po prostu już jej nie było. Uczyłem się dżungli i nabierałem do niej szacunku, zaczynałem czytać znaki i odróżniać coraz więcej kolorów, które wcześniej zlewały się w jedno. Nie potrafiłem jednakże oswoić się z hałasem, z nieustającym gadaniem selwy. Brak dźwięków nie jest dziełem przyrody. To charakterystyka studia nagrań. W przyrodzie jest nieustanny ruch, a ten generuje zmiany. Ciszę możemy znaleźć we własnym wnętrzu, ale dżungla często jest znacznie głośniejsza niż miasto. Dopóki nie oswoimy się z jej dźwiękami, nie będzie nam łatwo zasnąć.

Odnosiłem wręcz wrażenie, że przyroda powoli mnie pochłania, małe robaczki zjadają mnie w nocy po kawałku

i w ten sposób nieustannie ubywa mojego ciała. Mimo zmroku nadal wszystko huczało, owady, ptaki, małe gryzonie dawały niesamowity koncert. Po kilku dniach muzyka zdawała się być coraz bliżej, wchodziła niemalże do mojego hamaka. Dźwięki, zapachy, wszystko było tak intensywne, że tęskniłem za chwilą ciszy. Kiedy w lesie zrobiło się zbyt głośno, postanowiłem odpocząć od zgiełku mrówek, liści, żuków, ptaków i wszelkich sąsiadów mojego hamaka i pojechałem na jedną noc do hostelu. Tymczasem „to coś” dawało mi znać, że nadszedł czas by ruszać dalej w drogę. Czekala na mnie Rio Negro.

Alex

Kolejnego dnia zająłem miejsce na pokładzie statku. Pasażerów było jeszcze niewielu. Schodzili się wiele godzin przed czasem żeby zająć dobre miejsce na powieszenie hamaka. Zanim odbiliśmy od brzegu, poznałem na lądzie kolejnego włóczykija. Alex pochodził z Kostaryki i każdą wolną chwilę poświęcał na grę na gitarze. Zapracował na tę swoją podróż (planował że będzie trwał około pięciu lat) pływając na dużych statkach Royal Carribean. Był specjalistą od kasyn. Opowiadał o pracy w kasynach, o stołach, gdzie na wejście stawia się kilkanaście milionów dolarów, zaś krupier dostaje od zwycięzcy, zgarniającego całą pulę, napiwek wysokości jednego miliona. Do dzisiaj nie wiem, czy to prawda, bo przecież nawet James Bond nie grał o taką kasę.

Prawda to czy nie, Alex pobudzał moją wyobraźnię opowieściami o wielkim świecie. Spędziliśmy wspólnie bardzo ciekawy dzień, po czym nasze drogi się rozeszły. Alex miał piękne plany. Choć w muzyce stawiał pierwsze kroki, na gitarze potrafił zagrać dwa proste kawałki z repertuaru Buena Vista Social Club, jego marzeniem było stworzenie kompozycji muzycznej dla Ricky'ego Martina lub Shakiry. Chciał napisać piosenkę, która stanie się światowym hitem. A on, oczywiście, do końca życia będzie żyć z tantiem. A może któryś z przebojów słuchanych w radio to owoc jego podróży? Kto wie.

Tego wieczora, gdy graliśmy z Alexem na gitarach, ukradziono mi aparat fotograficzny i pamiętnik.

Rozmawiałem

z miłymi Brazylijczykami, ponieważ sądziłem, że są pasażerami statku. Byłem wówczas zbyt ufny i przy nich schowałem mój mały plecak do dużego, który mocno przywiązałem do słupa. Nie podejrzewałem, że kiedy tylko pójdę na górny pokład, skoczą i, nie mogąc zabrać dużego plecaka, wyciągną mały, w którym nosiłem dokumenty i pieniądze. Straciłem aparat, notatki z podróży, coś jednakże nade mną czuwało.

Tym razem pieniądze miałem przy sobie. Nawet klisze wcześniej zrobionych filmów jakoś się wysunęły i złodzieje ich nie zauważyli. Nie znaleźli też paszportu, który zostawiłem w dużym plecaku, na samym wierzchu.

Było o włos. Ostrzeżenie? Gdyby chciało im się sięgnąć głębiej, wyciągnęliby paszport i byłoby po podróży. W sumie, gdy podliczyłem straty, tylko się uśmiechnąłem, dziękując losowi za taki fart. Wreszcie mój kolejny statek, najbardziej niezwykły ze wszystkich, odbił od brzegu.

Jak to w Brazylii

Masa ludzi wsiadających na statek była stosowna dla dwóch godzinnego rejsu po Mazurach, ale spędzenie w tym tłumie ponad stu godzin nie zwiastowało pięciogwiazdkowego komfortu podróży. Wszyscy spieszenie zarzucali pętle hamaków na przyczepione pod sufitem haki, rezerwując sobie kuszetkę. Na podłodze nie było miejsca do spania, a jeśli były to zajmowały je pokładowe szczury. Mimo tłumu, rezerwacja przestrzeni odbywała się sprawnie i we wzajemnym zrozumieniu. Po zawieszeniu hamaka należało do niego wejść i sprawdzić czy sąsiad nie będzie obijać się tyłkiem o naszą głowę. Gdyby tak było, warto było dokonać stosownych poprawek natychmiast. Odbiliśmy. Na górnym pokładzie imprezownia, na drugim piętrze setki hamaków i kilka kabin. Na dolnym zaś ładunek i miejsce dla tych, którzy nigdzie nie znaleźli sobie miejsca. Rozwiesili więc hamaki wśród suszących się na słońcu, gigantycznych kawałów mięsa i beczek z paliwem. To taka trzecia klasa: brud, smród i bardzo fajny klimat. Pod tym pokładem są ładownie.

Kiedy statek zatrzymuje się w porcie, dwóch osiłek stara się jak najszybciej przerzucić tony towaru. Im dłużej to robią, tym dłużej trwa rejs. A tu nie dość, że mieliśmy opóźnienie, to jeszcze na brzegu czekała góra towaru. Ludzie stali i patrzyli, jak tragarze rzucili się do roboty. W sumie taką chłopaki mieli pracę. Nie wytrzymałem jednak, zdjąłem koszulkę i wskoczyłem do włazu. Odbierałem gigantyczne worki, pod którymi mało się nie zapadałem. Ale jak zaczniesz, to musisz skończyć. Przeładowałem z chłopakami całą stertę towarów. Czy ktoś powiedział „dziękuję”? Nie, nikt nie powiedział ani słowa. Jak to w Brazylii. Następnego dnia przy obiedzie ci sami majtkowie obsługiwali ludzi przy stole, nakładali wielkimi chochlami na talerze fasolę i ryż, po czym podawali wygłodniałym pasażerom. Nagle na ramieniu poczułem czyjąś rękę. Odwróciłem się. To był jeden z nich. Spojrzał na mnie i podał żarcie. Dostałem pierwszą miskę. To wszystko. W tym spojrzeniu nie było podziękowania, nie było żadnego wzruszenia. Po prostu gest nieprzetłumaczalny na inny język. Jak to w Brazylii.

Faz me um sapo

Nic nie mogłem zrobić! Gdy wróciłem z posiłku, w moim hamaku siedziały trzy krasnoludki z kartkami papieru w ręku. Ich uśmiechy były większe niż Empire State Building i usłyszałem: „Faz um sapo” (Zrób żabkę!). Kilka godzin wcześniej zrobiłem zapłakanemu maluchowi origami, papierową żabkę. Jak widać, wieść się rozniosła. Zrobiłem kolejną. I jeszcze jedną. „Nie mam kartek”, powiedziałem zgodnie z prawdą, bo wcześniej ukradziono mi pamiętnik. Do końca dnia na statku trwało zamieszanie, gdyż dzieciaki biegały, wrywając kartki z wszystkich możliwych książek, i nikt nad szarańczę nie był w stanie zapanować. A ja spokojnie robiłem origami. Z dziećmi rozmawiało się najłatwiej.

Obok mnie wisiał – bo jak inaczej określić koczowanie w hamaku – żołnierz. Czytał książkę o szkodliwości alkoholu i opowiadał mi o niej. Wieczorem spotykałem go na górnym pokładzie lekko zalanego. I tak dzień w dzień. Drugi mój towarzysz, Julian, miał może jedenaście lat. Nie wiem, dlaczego, ale najlepiej ze wszystkich pasażerów rozumiał mój kiepski portugalski. Wszystko mi tłumaczył i bardzo fachowo instruował, jak wrywać laski, na brak których akurat nie można było narzekać. Okazało się, że inicjację przeszedł jakiś czas temu, bo w jego wieku to normalka. Przerażało mnie, że w Amazonii dzieci tak wcześniej rozpoczynały życie seksualne.

Kiedy jego docelowy port był już blisko, Julian podszedł do mnie i zdjął z palca pierścionek który otrzymał od swojej dziewczyny. Podał mi go bez słowa. Jak to w Brazylii. Poprosił, abym odciął nożem kawałek zwykłego sznurka z mojego hamaka. Zawiązałem sznurek wokół wątlego nadgarstka. Chłopiec przycisnął go do serca i nie

próbował nawet powstrzymać łez. Ja powstrzymałem z trudem. Rozstaliśmy się bez słów. Tak odchodzili wszyscy ludzie ze statku. Cała moja wielka rodzina, z którą przez tyle dni byłem tak blisko.

Byłem w podróży, miałem czas i swoje, odmienne od nich życie. Pasażerowie statku często płynęli rodzinami, z całym dobytkiem do Manaus, do wielkiego miasta, aby odmienić swój los, by rozpocząć nowe życie. Na pokładzie byli spokojni, ale kiedy zbliżał się port, wszyscy w podnieceniu szukali czekającej na brzegu rodziny, ze strachem patrzyli na nowe miasto. Wraz z poranną mgłą, kiedy statek wchodził do portu, znikali, a na ich miejsce pojawiali się nowi, z którymi tworzyliśmy przez kolejne kilka dni nową rodzinę.

Trzeci pokład

Dość późno odkryłem trzeci pokład statku, a dokładniej jego dach. Ludzie grali tam w domino, strasznie przy tym krzycząc i rzucając wszystkim co było pod ręką. Żołnierz „dawał w palnik” i nie rozumiał dlaczego mimo iż czyta taką mądrą książkę, wieczorem znowu pije. Reszta pasażerów tańczyła. I to nie żadną tam znaną u nas sambę, salsę czy merengue, ale tańce z regionu – brega i forro. Nazwa „forro” (czyt. foho) pochodzi od angielskiego for all, czyli dla wszystkich. Taniec zaś wymyślono po to, aby żołnierze armii USA stacjonujący w Brazylii byli

w stanie płąsać z miejscowymi dziewczętami na zasadzie:

minimum kroków, maksimum przytulania. Tańczący poruszali się w szybkim rytmie, mocno falując biodrami. Im starsi

tancerze, tym więcej braw otrzymywali od publiczności, zachwycającej się każdym, kto wychodził na parkiet. Po piętnastu minutach obserwacji ruszyłem w tany. Kroki dało się opanować w mgnieniu oka, dalej wystarczyło mocno przywrzeć do partnerki biodrami i dać się unieść rytmom. W zasadzie nie lubię tańczyć, ale tu, identycznie jak na Kubie, jeśli nie tańczysz, to cię nie ma, więc tańczyłem.

Kiedy w nocy nie mogłem zasnąć, schodziłem na dziób statku i obserwowałem, jak kapitan lawirował między płynącymi płotami, kłodami drewna i innymi unoszonymi z nurtem przedmiotami. Kiedy podnosił się stan wody na rzece, często nawet o kilkanaście metrów, nurt zabierał wszystko, co się dało i niósł ze sobą do oceanu. Większe konstrukcje i drzewa unoszone z prądem stanowiły poważne zagrożenie dla płaskodennych, kilkupiętrowych statków. Uderzenie w pień mogło się zakończyć dziurą w burcie i katastrofą. Wielkim szperaczem oświetlano więc powierzchnię wody przed dziobem, najdalej jak to tylko możliwe, a statek starał się płynąć slalomem między przeszkodami. Nie wszystkim się to udawało. Podczas mojej podróży Amazonką zatonięły przynajmniej trzy jednostki.

W Porto Velho

Marny hotelik w Porto Velho kosztował całe pięć dolarów. W mieście nie było nic ciekawego, zatrzymałem się jednak na chwilę, bo potrzebowałem odpoczynku. A nadto, właśnie wtedy, kiedy nic się nie dzieje, można zaobserwować najwięcej. Wszedłem więc z hotelu i kroczyłem główną ulicą jak dumny macho, zbierając uśmiechy okrągłutkich Brazylijek. Wdałem się w rozmowę ze sprzedawcą zegarków, który wcale nie chciał mi nic sprzedać, tylko sobie pogadać. Wzbudził moją ciekawość, gdy zupełnie przypadkiem zaczął mówić o ayahuaska, której od dawna szukałem. Zgodnie więc z jego wskazówkami dotarłem do garażu, gdzie stały liczne półki z książkami, przeróżne rośliny i dziwne urządzenia mechaniczne. Co najbardziej mnie zdziwiło, na szafach leżały pozwijane korzenie drzewa o bardzo jasnej barwie. Zagadnąłem o ayahuaskę. Ogromny mężczyzna z długimi włosami posadził mnie na stołku, a sam z gitarą usiadł naprzeciwko. Zamiast rozmawiać, otworzył niedużą książeczkę i zaczął śpiewać teksty, z których nic nie rozumiałem, ale od samego śpiewu kręciło mi się w głowie. Następnie kazał czekać na siebie w hotelu o godzinie siedemnastej. Wieczorem organizowano spotkanie towarzystwa ayahuaska, podczas którego zebrani pili wywar z korzenia, śpiewali pieśni i „odpływali”. Ayahuaska wówczas nie była mi jeszcze pisana. Niestety, a może na szczęście, spóźniłem się. Upał tak mnie zakręcił,

że zgubiłem drogę, co w tej miejscinie było prawdziwym osiągnięciem. Cóż, pozostało mi oglądanie meczu piłki nożnej

i picie piwa z ekipą dziadków mieszkających w hotelu.

A tu nagle niespodzianka! Wyglądała jak Pamela Anderson. Mieszkała z jakimś gościem w pokoju obok. Claudia przyjechała z wioski do Porto Velho i znalazła pracę. Zarabiała tak mało, że wystarczało zaledwie na jedzenie. Aby się utrzymać, musiała skorzystać z oferty jakiegoś pana, który zaprosił ją do swego pokoju. Kiedy życzył sobie towarzystwa dziewczyny, była na zawołanie. Tego wieczora akurat sobie życzył. Poznawanego świata nie mogłem mierzyć moimi kategoriami. W Polsce moje życie było rajem na ziemi: bezpieczny dom, bezpłatne studia, jedzenie, praca.

Boliwia

Z Brazylii wjechałem w strefę języka hiszpańskiego, do Boliwii. Pożyczyłem od jakiegoś backpackera przewodnik i wybrałem miasto w którym autorzy nie znaleźli nic czemu warto było poświęcić uwagę. I w związku z tym postanowiłem spędzić tam przynajmniej kilka dni.

Riberalta – jazda w kółko

Mój wybór padł na miejscowość Riberalta. Błotniste ulice, parę chałup na krzyż. Miasto wyglądało dokładnie tak jak inne miasta Ameryki Łacińskiej, tylko w wersji mini, a w jego centrum, dokładnie jak w centrum każdego miasta Ameryki Łacińskiej, znajdował się plac. Zaprzyjaźniłem się przy tym placu z właścicielami knajpki i z tej knajpki prowadziłem wnikliwe obserwacje tego czemu według autorów przewodnika nie warto było się przyglądać.

Poranek trącił straszną nudą. Do obiadu pustka. Po obiedzie nic nowego, gdyż upał zabijał wszystko, co próbowało wypełznąć na ulicę. Nic się nie działo, jak w polskim filmie. Jednakże pod wieczór, kiedy temperatura stawała się już do wytrzymania, na placu pojawiały się pierwsze samotne dusze i zaczynały krążyć. Przyjeżdżały samochody i motory, które również rozpoczynały swój rytualny objazd wokół skweru.

Z czasem plac zapełniało mrowie ludzi, którzy przychodzili „dar vueltas”, czyli „robić kółka”. Sądziłem początkowo, że to jakiś żart. Ale skądże, główną atrakcją miasteczka Riberalta jest jazda lub krążenie wokół placu. Wszyscy jeżdżą i trąbią, gwizdzą, krzyczą, hałasują, a potem... rozjeżdżają się lub rozchodzą do domów. I tyle. Przez kilka dni, które tam spędziłem, nic się nie zmieniło. Całe to godowe przedstawienie odbywało się bardzo regularnie i miało każdego dnia ten sam nienaruszalny porządek. Moje dni również nabrały powtarzalności, więc wyruszyłem na poszukiwanie innych form życia poza placem.

Na szczęście trafiłem na okres okręgowych zawodów sportowych i od czwartego dnia pobytu dzienne upały przetrzymywałem oglądając zmagania w różnych konkurencjach: koszykówce, siatkówce, biegach. Boliwijska olimpiada letnia sprawiała, że całe miasto żyło wynikami meczów, kolejnymi rozgrywkami. Rywalizacja podnosiła ogólny poziom podniecenia w miasteczku i również na placu ludzie jakby szybciej jeździli w koło. Wszystko tętniło życiem, aby po zawodach powrócić do stałego rytmu.

Kiedy codzienne atrakcje Riberalty przestały mnie cieszyć, ruszyłem dalej. W autokarze miałem miłe towarzystwo i opiekę już od dworca, na którym poznałem sympatyczną Boliwijkę, która chyba chciała zabrać mnie do domu i pokazać rodzinie. Jechałem do Santa Cruz, spieszyłem się, bo lada dzień miał przylecieć Maciek. Minęły dwa tygodnie, odkąd dowiedziałem się, że przybędzie, a ja musiałem pokonać sporą odległość. Szczególnie podróż do Santa Cruz nie za bardzo mi wyszła, bo obudziłem się jakieś dziesięć godzin dalej, w Trynidadzie, a to było zdecydowanie nie po drodze. Cieszyła się z tego moja towarzyszką podróży, a finalnie i ja, bo w Trynidadzie poznałem jej siostrę.

Bezmyślne autobusy

Podróżowanie autobusami przez boliwijską selwę zawsze obfituje w przygody. Kiedy autobus się zatrzymuje nigdy nie wiesz czy to tu chciałeś wysiąść. Nie wiesz ile godzin zajmie droga, więc nie możesz wyliczyć o której się obudzić. Nie raz zdarzało mi się przespać przystanek i jechałem dalej, wiele godzin w głąb dżungli, do zupełnie nieznanymi miejsc, do których wcale się nie wybierałem. Sama jazda bywała nie lada przygodą, bowiem, po wielkich deszczach drogi andyjskie były w większości nieprzejezdne. Gdy autobus zakopał się w błotnistej mazi, pozostało jedynie czekać w górskim pustkowiu na nierychłą zapewne pomoc lub wziąć sprawę we własne ręce. Wspólne popychanie pojazdu, przy kompletnej bezmyślności kierowcy, kilka razy omal nie zakończyło się wywrotką. Nie raz autokar z dachem wyładowanym bagażami na wysokość kilku metrów niebezpiecznie się przechylał w koleinach błotnistej drogi. Wychodziliśmy i podpieraliśmy mogącą za chwilę runąć burtę pojazdu, zbiorowym wysiłkiem przywracaliśmy go do pionu, by kierowca mógł ruszyć dalej. Gotujące się silniki, zepsute mosty

i wąskie drogi ciągnące się tuż nad przepaścią należały do codziennego repertuaru. Drogi na których wielkie pojazdy mijają się z szaloną prędkością, chociaż kierowcy nie widzieli, co się dzieje za pobliskim zakrętem. Po takiej kilkudniowej przejażdżce niczym mi nie zaimponują miłośnicy sportów ekstremalnych. Na trasie z La Paz do Rurre, aby zapobiec wypadkom, wprowadzono podział godzin, kiedy ruch odbywa się w jedną i w drugą stronę. Podobno wcześniej spadał w przepaść nawet jeden samochód lub autobus tygodniowo.

Zabić gringos

Cały czas spieszyłem się do lecącego z Polski do La Paz Macka. Pośpiech mi nie służył. Nie dość że przespałem przystanek o siedem godzin, to kilka dni później kolejna boliwijska przygoda zabrała mi prawie dwa dni... W drodze wiodącej z Cochabamby do Santa Cruz zepsuł się most. A konkretnie, most został zmyty przez wezbraną rzekę. Autobusy zatrzymywały się około kilkunastu kilometrów wcześniej, gdzie jeszcze jako tako dawało się zawrócić. Nasz kierowca był człowiekiem zdecydowanym, wyprzedził wszystkich wątpiących i jako pierwszy... utknął przed rozwaloną przeprawą. Od jeżdżącej tam i z powrotem policji udało nam się jedynie wydobyć informację, że nie jest dobrze. Kilkaset osób pracowało przy naprawie mostu, która mogła potrwać kilka dni. Pasażerowie, jak to zwykle w takich wypadkach, podzielili się: jedni chcieli wracać, drudzy próbowali podjechać autami jak najbliżej, aby na piechotę przeprowić się przez rzekę. Wprawdzie spieszyłem się, bo niedługo w La Paz miał lądować Maciek, ale nie na tyle, żeby wykosztować się na taksówkę. Upewniłem się, że autobus nie ruszy z miejsca. Przynajmniej tak obiecywali kierowcy. Następnie z zaprzyjaźnionym z Chilijczykiem i dwoma Boliwijczykami z naszego autobusu poszliśmy zobaczyć, co się dzieje. Po pięciu kilometrach marszu spotkaliśmy śliczne dziewczyny na rowerach. W tej sytuacji jednakże niezwykła uroda panienek miała drugorzędne znaczenie, ale rowery dawały nam szansę na szybszą analizę sytuacji. Latynosi wymienili mnie na rowery i pojechali sprawdzić, czy możliwa jest przeprawa przez rzekę. Nie czułem się zbyt podbudowany tym, że stanowią równowartość pary marnych bcykli. Rozmawialiśmy sobie jednak przyjemnie o tym i o owym, a tłumnie zebrani tubylcy jakoś się dziwnie na mnie patrzyli. W pewnej chwili zaintrygowała mnie tablica z rozpisany planem spotkania mieszkańców wioski. Wprawdzie nie mogłem przeczytać treści napisanej w języku keczua, jednakże coś mi się wydawało, że jeden z punktów mógł dotyczyć również mnie. Poprosiłem o objaśnienie, więc śliczne studentki, które wzięły mnie w zastaw za rowery wytłumaczyły mi, że słowo poprzedzające wyraz „gringo”, znaczy „matar”, czyli „zabijać”. Czyli tematem popołudniowego spotkania wioski miało być „zabijanie gringos?” Nie myliłem się. Jakoś nagle zaczęło mi się spieszyć.

Gdy kumple wrócili, bardzo szybkim krokiem udaliśmy się w drogę powrotną. Na miejscu okazało się, że autokaru nie ma. Nikt nic nie wiedział, a było już prawie ciemno. Główny problem polegał na tym, że wraz z autobusem zniknął mój plecak. Nie pozostawało nic innego, jak go gonić. Taksówką pojechaliśmy na dworzec, gdzie wsiedliśmy do innego busa – zaledwie siedem godzin pościgu i... mamy go! Nie łatwo mi było zrozumieć Boliwijczyków. Niby mili i serdeczni, ale

w jakimś momencie wychodził z nich za każdym razem skrajny egoizm i niewrażliwość na los innych. Oddali plecak, nie widzieli jednak problemu w tym, że zostawili mnie i kilku innych pasażerów bez bagażu, być może i bez pieniędzy, w środku dżungli. Po kilku dniach przygód udało mi się dotrzeć do La Paz.

Podróż z Mackiem

Do La Paz przyleciał Maciek. Spotkaliśmy się w hostelu, który parę tygodni później mój wspianiały kolega puścił z dymem. Kilka dni aklimatyzacji, jakieś ogólne plany podróży i ruszyliśmy w drogę. Ledwie wyjechaliśmy z miasta, rozpoczęły się zamieszki. Na ulicy, przy której mieszkaliśmy, zastrzelono kilka osób. A nam, jak zwykle, się upiekło. Byliśmy już daleko, na wyżynach Altiplano.

Kanion Colca

Wybraliśmy się na kilkudniowy spacer do Kanionu Colca, drugiego spośród najgłębszych kanionów na świecie. Niewyobrażalne różnice wzniesień, ściany osiagające w pionie po cztery kilometry. Widoki form skalnych zapierały dech

w piersi, a w dole, niczym ścieżka mrówek, wiła się modra, połyskliwa nitka. Małeńka, gdy spojrzeć na nią ze szczytu,

z bliska zaś Colca jest jedną z najtrudniejszych na świecie rzek, jaką udało się spłynąć człowiekowi. A dokonali tego Polacy: Piotr Chmieliński z ekipą krakowskiego AKK „Bystrze”, podczas sławnej wyprawy Canoandes '79.

Było to jedno z ostatnich wielkich odkryć geograficznych i to zupełnie nieznanne miejsce stało się światową atrakcją turystyczną. Zdobywców, którzy wprawdzie ledwie przeżyli, ale nie omieszkali opracować terenu kartograficznie, gościły władze Peru. Ponieważ w Polsce akurat wybuchł stan wojenny, chłopaki ostro publicznie zaprotestowali. W takiej sytuacji do kraju nie bardzo mogli wrócić, a stąd musieli uciekać w obawie przed partyzantami ze Świetlistego Szlaku.

W każdym razie przeszli do historii Peru.

Miejscowi wspominają ich do dzisiaj. Kiedy przyznawaliśmy się, że jesteśmy z Polski, natychmiast pojawiał się uśmiech i pytanie: „I co, będziecie spływać rzeką?”. Nie rzeka była nam w głowie, wspinaliśmy się coraz wyżej i wyżej, aż po wielu godzinach wdarliśmy się na śnieżne połacie. Za mapę służył nam obrazek narysowany długopisem na kartce przez gospodarza domu, w którym spędziliśmy poprzednią noc. Gość niegdyś pracował w kopalni i przemierzał tę drogę setki razy w drodze do pracy. Punkty orientacyjne, zakręty i ledwie widoczne ścieżki zaznaczone były z taką dokładnością, że nawet w głębokim śniegu bez problemu odnajdywaliśmy szlak. Bez pomocy miejscowych nigdzie byśmy tu nie doszli. W mieście ludzie zapytani o drogę często mówią cokolwiek i często się mylą. W górach są perfekcyjni, znają bowiem wagę błędu, wiedzą, jak wiele może on podróżnego kosztować. Wyruszyliśmy więc rankiem. Pierwsze kilka kilometrów szliśmy z wywieszonymi językami za gospodarzem, który choć szedł wolno, to i tak utrzymywał zabójcze dla nas, na takiej wysokości, tempo. Brakowało nam aklimatyzacji i w naszym tempie przewodnik nie zrealizowałby tego dnia swoich zadań. Wskazał nam palcem punkt, który stał się naszym pośrednim celem, po czym rozpląnął się między skałami.

W cieniu kondorów

Największym marzeniem każdego, kto udaje się do kanionu, jest zobaczenie kondora. Gigantyczne ptaszysko osiąga rozpiętość skrzydeł do trzech metrów. Już sam jego cień budzi respekt. Widzieliśmy go wiele razy. Inkowie wybrali kondora na symbol nieba, górnego świata, obok węża i pumy, symbolizujących świat dolny i środkowy. Trudno się dziwić, majestat tego stworzenia wywołuje niesamowity respekt. Co jakiś czas zerkaliśmy do góry, żeby się upewnić że kondorowi nie pomylimy się z jakimś zającem i nie postanowi nas upolować.

Szliśmy więc w cieniu skrzydeł kondorów i co jakiś czas przyłączali się do nas Indianie, którym nawet przez chwilę nie mogliśmy dotrzymać kroku. Pojawiali się i w mgnieniu oka znikali. Bez względu na wiek mieli nieprawdopodobną wydolność. Patrzyliśmy na nich z zazdrością z czysto sportowego punktu widzenia.

Pewnego dnia minęło nas dwóch z nich. Widzieliśmy że zamiast skręcić w naszą ścieżkę, która prowadziła wzdłuż wąwozu, odbili w lewo. Wiedzieliśmy jak znikają w kolejnej dolinie, idąc w kierunku, w którym na mapie nie było żadnej cywilizacji, żadnej miejscowości, żadnej drogi. Znikali w magicznej przestrzeni gór. Do dzisiaj ciekawi mnie, co jest tam dalej, za górami, w których nie ma żadnej komunikacji. Ile dni drogi mieli przed sobą? Jakie jest życie, zwyczaje, ludzie tam dalej, gdzie nie docieramy my, nie dociera cywilizacja?

Kolejnego dnia wędrówki, nie pamiętam już którego, schodziliśmy w dolinę. Z daleka widzieliśmy małego człowieczka biegającego w tę i z powrotem, w zawrotnym tempie pokonującego strome zbocza Andów. Z bliska okazało się, że dynamiczny młodzieniec ma grubo ponad sześćdziesiąt lat. Nie interesowało go, skąd idziemy i kim jesteśmy, tylko czy po drodze widzieliśmy krowy? Każdą dokładnie opisywał. Nie pamiętałem rozłożenia i kształtu plam na skórze zwierząt, ale jakieś stado szwendało się pół dnia drogi od miejsca spotkania, licząc czas marszu z góry w dół. Bardzo się ucieszył: „To moje krowy”, powiedział z dumą. Dobrze że nie odeszły daleko. Pół dnia drogi, to nie daleko? Przypomniało mi się, jak Jerry w Mongolii zapytał Erdene, który miał się opiekować jego końmi, gdzie jest stado. Erdene odpowiedział: „W stepie”, i uśmiechnął się, co znaczyło, że wszystko jest pod kontrolą.

Stary Indianin postanowił wyprowadzić nas na skrót zejścia do doliny. Ruszyliśmy za nim. Po pół godzinie wspólnego biegu macałem ręką, czy mam jeszcze płuca. Serce wyrывało się z piersi, błagając o litość. Przy takiej kondycji gdybyśmy szli pod górę, momentalnie „zajechałby” nas. Wreszcie stanął na rozstaju kamienistych ścieżek. Mieliśmy iść w lewo, a on w prawo – do jaskini, w której mieszkał. Kiedy zniknął za zakrętem, osunęliśmy się na ziemię ze zmęczenia. Dopiero po piętnastu minutach doszliśmy do siebie, by ruszyć dalej, już własnym tempem. Opowiedziałem historyjkę mojej babci, która też strzelała codziennie rundkę na bazarek, może nie w takim tempie, ale za to obładowana jak wagon z koksem. Ludzie niczym dęby. Szacunek.

Wyspa słońca

Zawsze, kiedy wracałem nad jezioro Titicaca, w pełnym magii miejscu kultu i fantastycznych widoków czułem działanie niezwyklej mocy. Tym razem w naszej części wyspy nie było innych ludzi i mogliśmy wybrać sobie jakieś piękne miejsce do spania. Długo szukaliśmy miejsca na biwak, a kiedy znaleźliśmy kawałek płaskiego terenu, zaczął wiać tak silny wiatr, że przez pół godziny ścigaliśmy się po wyspie z uciekającym z namiotem. Latał w tę i z powrotem, dopóki nie udało się nam przygnieść go kamieniami. Noc aż do świtu była niespokojna, udało nam się jednak utrzymać nogami konstrukcję namiotu. Rankiem obudziła nas cisza. Nadal znajdowaliśmy się na wysokości 3800 metrów nad poziomem morza i mieliśmy problemy z oddychaniem. Przed wyjściem z namiotu rozciągało się legendarne jezioro Titicaca. Byliśmy sami i przyszła najwyższa pora na kąpiel. Woda nawet nie była bardzo zimna. Czułem się, jakby oczyszczała mnie ze wszystkich brudów uzbieranych podczas dotychczasowej podróży. Następnie wyszliśmy na górską grań prowadzącą wzdłuż wyspy, zjedliśmy pyszne jedzonko w towarzystwie osła, który wyjadł nam z garnka wszystko, co w nim zostało po naszej zupie. Zostaliśmy na wyspie jeszcze jedną noc by zobaczyć księżyc w pełni nad Titicaca. Księżyc i słońce były rodzicami pierwszych Inków, którzy wyszli z jeziora, żeby założyć nowe państwo – Tauantinsuyu, ze stolicą w Cuzco. Kto odwiedzi to miejsce, zrozumie, że wszystkie zawarte w legendach inkaskich wydarzenia, zdarzyły się tu naprawdę.

Morderca w tunelu

Są miejsca, które po prostu trzeba odwiedzić. Należy do nich Machu Picchu, dokąd można dotrzeć pociągiem lub z przewodnikiem dojść przez góry. Można też zrobić coś innego i to naprawdę bardzo, bardzo głupiego... Do Machu Picchu szliśmy z Maćkiem, dziewięć godzin po torach kolejowych, w nocy i w deszczu. Najpierw wyruszyliśmy z Cuzco wypchanym busem, z którego przesiadliśmy się do starej,

zdezelowanej ciężarówce. Dojechaliśmy w ten sposób najdalej, jak było można, do jednej ze stacji kolejowych. Stąd według przewodnika rusza turystyczny Inka Trail. Turyści idą dwa dni szlakiem Inków, z przewodnikami, kucharzami i całą karawaną. Do tego udział w wędrówce kosztuje. Dużo? Dla nas to było za dużo.

Staliśmy więc zadumani na stacji. Spoglądaliśmy na zmianę na szlak, na którym mogliśmy wejść bez pozwolenia, ryzykując kłopotami i na tory, które potencjalnie mogły nas doprowadzić do tego samego miejsca. Niespodziewanie podszedł do nas gość z dużym zeszytem. Otworzył go i do szczętu nazwisk na pierwszej stronie dopisał swoje dwa. „Potrzebne są do identyfikacji zwłok”, powiedział z uśmiechem, przekonany, że pójdziemy po torach. Tego nam było trzeba. Potwierdzenia że ktoś to zrobił. To był naprawdę świetny pomysł! Na początek dało się iść wąskimi ścieżkami. Po czterech godzinach marszu górskimi ścieżkami zrobiło się ciemno i zaczął padać deszcz, więc musieliśmy zejść na te cholerne tory, po których codziennie kolejka przewozi setki, a może i tysiące turystów. W nocy wprawdzie pociągów nie ma, ale za to po torach nocą jeżdżą drezy. Mniejsze i cichsze niż pociąg, jednak sporo większe od nas. Trzeba było zachować czujność, żeby nie spotkać się na ostrym zakręcie torów z jedną z nich.

Największe emocje budziło przejście tunelem, w którym było miejsce albo dla nas, albo dla pociągu. Miałem wrażenie, że każdy usłyszany dźwięk oznacza nadjeżdżanie pojazdu mordercy. Nogi więc co chwilę same przyspieszały. Kolejne pięć godzin, krok za krokiem, stąpaliśmy po podkładach kolejowych. Lał deszcz, a kroki zaczynały nam się gubić, bo podkłady nie są stworzone dla pieszych. Rankiem, wykończeni dotarliśmy do Machu Picchu, w naprawdę trudny do powtórzenia sposób. Kilka lat później będę jechał po tych samych torach podczas wyjazdu Incentive, z prezesem jeden z największych firm ubezpieczeniowych w Polsce. Będziemy rozmawiać o życiu, podróżach, będę się uśmiechać, myśląc, jak kiedyś zasuwalimy tu nocą na piechotę, nasłuchując, czy nie zbliża się pociąg turystyczny, jakim właśnie jadę.

Wyzwanie El Misti

Do Arequipa wracaliśmy cztery razy, nie tylko dlatego że leżała na skrzyżowaniu naszych dróg. Poznaliśmy w niej masę fajnych ludzi, znaleźliśmy hotel urządzony w dwóch eleganckich brytyjskich wagonach kolejowych, który sobie bardzo chwaliśmy. Prawdziwym powodem naszych powrotów jednakże było uczucie – zakochaliśmy się bowiem w El Misti, królującym nad miastem potężnym, aktywnym wulkanie. Krater osiągał wysokości ponad 5800 m n.p.m. Chcieliśmy ten szczyt zdobyć, ale wciąż coś stawało nam na drodze. Powinniśmy zaakceptować to, że góra nie była na nas gotowa. A może to my nie byliśmy gotowi...

Wreszcie opuściliśmy Arequipę. Maciek wracał do Polski i ostatniego dnia w La Paz zdążył jeszcze odwalić niezłą akcję. Zamieszkał w tym samym co poprzednio hostelu. Przepakowywał się na podróż do Polski i na chwilę butelkę z gazem do gotowania postawił w łazience. Pech chciał że wyłączyli prąd, a udający się do łazienki Francuz chciał zapalić w ciemnościach świeczkę. Odpalił zapałkę. Maciek zdążył zgasić płonącego Francuza i stłumić ogień zanim osiągnął drewniane elementy konstrukcji hostelu. Sam nie uniknął niestety poparzeń. Tak to jest zostawić kolegę samego, bez opieki. Ja zresztą w tym samym czasie byłem już w drodze by zrobić coś jeszcze znacznie głupszego od akcji Maćka.

Mnie z powrotem zaniósł pod El Misti i rzuciłem górze wyzwanie. Czułem się znakomicie, chociaż dopiero poprzedniego dnia przyjechałem na 3800 m n.p.m. z Limy położonej na poziomie oceanu. Rankiem bussem dotarłem do podnóża góry. Należało szybko pokonać pierwszy kawałek drogi, bowiem zdarzało się, że miejscowi napadali samotnych wspinaczy i zabierali im cenne rzeczy.

Początkowo szło mi się znakomicie, z czasem jednak każdy krok męczył, oddychało się coraz trudniej. Musiałem stawać, siadać, a potem się kłaść. Ostatnie pięćdziesiąt metrów do biwaku pokonywałem przez godzinę, kilka razy zasypiając na kamieniach. Wreszcie dotarłem do rozkładającej się na noc grupki wspinaczy składającej się z Francuza, Kanadyjczyka i ich peruwiańskiego przewodnika. Ten ostatni początkowo patrzył na mnie wilkiem. Nie na rękę była mu opieka nad przybłądą, który nie kwapił się by płacić za przewodnictwo. Uratował

mnie język hiszpański i otwartość, dzięki którym szybko złapaliśmy kontakt i kiedy kładliśmy się spać przewodnik sam zaproponował bym przyłączył się do ekipy. Złapałem jeszcze trzy godziny snu. Wstaliśmy o świcie i ruszyliśmy. Byliśmy dość wysoko, zrozumiałem więc natychmiast, że się jeszcze nie zaaklimatyzowałem i nie dam rady iść w takim tempie, jak pozostali.

Prosiłem, żeby nie czekali i stawiając dwa kroki na minutę, piąłem się w górę. U stóp miałem fantastyczny widok budzącej się Arequipy. Dziś wraca projekcja tamtych chwil: „Idę wolniej, niż stoję. Zaczyna mi się robić niedobrze. Usypiam. Nagle budzę się w śniegu. Jest zimno. Przespałem jakieś piętnaście minut, straciłem dużo ciepła, ale do szczytu już tak blisko. Cały czas wydaje mi się, że już prawie dotykam czubka, a wciąż pozostaje do niego kilkaset metrów, co przy moim tempie oznacza cały dzień drogi. Po kolejnym śnie w śniegu zaczynam sobie zdawać sprawę, że choroba wysokościowa nie puści, że pora się wycofać”.

Decyzja była trudna, bo już trochę majaczyłem i w tym półśnie zmęczenie nie miało znaczenia. Uparcie chciałem iść do góry. Resztki rozumu zdobyły jednak chwilową władzę nad emocjami i zdecydowałem się na odwrót. Z czasem dotarłem na miejsce ostatniego noclegu i czekałem na pozostałych. Zeszliśmy razem. Wróciłem do Arequipy. Tyle słyszałem o wyprawach wysokogórskich, o tym jak ważna jest decyzja o wycofaniu się w odpowiednim momencie. Nie spodziewałem się, jak bardzo może być trudna, kiedy cel widać na wyciągnięcie dłoni. Górę tę widziałem jeszcze nie raz, lądując przy różnych okazjach w Arequipie. Cenniejsza od zdobycia szczytu była jednak lekcja, jaką dostałem od El Misti.

Co dalej?

Kiedy wyleciał Maciek znowu sam musiałem zrobić plan, a plan był tym czego najmniej potrzebowałem podczas mojej wyprawy. Rzuciłem więc monetą wybierając między podróżą wzdłuż zachodniego wybrzeża i powrotem do Brazylii do której bardzo mocno mnie ciągnęło. Ruszyłem na wschód w kierunku Sao Paulo.

Doktor z San Matias

Jechałem przez dżunglę boliwijską do Brazylii kolejnym zdezelowanym autobusem. Choć z autokarami zdarzały różne numery, o czym pisałem wcześniej, to w większości maszyny dzielnie docierały do końca trasy. Tym razem było inaczej.

Nasz autobus zepsuł się w samym sercu dżungli. Wszyscy pasażerowie mieli czekać na miejscu, aż zostanie, nie wiadomo kiedy, naprawiony. Szczęściem, parę godzin później przejeżdżał drogą inny pojazd tej samej firmy. Kto chciał, mógł wsiąść i pojechać do najbliższego przyczółka cywilizacji. Do przepelnionego wnętrza nie pozwolono nam wprawdzie zabrać bagaży, ale nikt nie chciał koczować w interiorze, na jednym z głównych szlaków przemytu kokainy do Brazylii. Dotarliśmy na noc do San Matias i mieliśmy tam czekać na bagaże.

San Matias, niewielka wioska zatopiona w zieleni, nie oferowała nazbyt wielu atrakcji. Cóż, utknęliśmy tak, nie mając

w zasadzie żadnego wyboru. Podróżujący z nami lekarz Miguel pracował w tym uroczym zakątku przez ponad rok, dopóki mu psycha nie siadła. Niejednokrotnie przychodziło mu bowiem ratować ofiary porachunków między miejscowymi handlarzami kokainą. Pewnego razu zaczął właśnie opatrywać postrzelonego, gdy pojawił się gość, który sobie tego nie życzył. Przystawił mu pistolet do głowy i powiedział, że nie ma zamiaru marnować amunicji po to, żeby sobie z doktorkiem grać w ciuciubabkę. Miguel nie potrafił na dłuższą metę praktykować w takich warunkach i wyjechał do Brazylii. Zostawił tu jednak dziewczynę z dzieckiem. Mógł zapomnieć i więcej tu nie wracać, ale to nie był Miguel. Pożyczył pieniądze i wrócił, żeby pomóc dziewczynie. Założył w San Matias aptekę, z której zarówno ona jak i cała jej rodzina mogła godnie żyć. W wiosce znało go i szanowało wiele osób, dzięki czemu i nam było różniej.

Powszednie życie tubylców toczyło się bardzo powoli, nasze zaś, w oczekiwaniu na bagaże, jeszcze dwa razy wolniej. Wreszcie, po kilku dniach plecak dotarł. Nadto, aż nie mogłem uwierzyć, z firmy autokarowej udało się nam wyciągnąć pieniądze na opłacenie noclegów. Miejskowa policja

w ten sposób rozwiązała nasz problem, a ja byłem pewien, że w dżungli nie mamy żadnych praw i że jak pójdę na skargę, to mnie wyśmieją.

Dalej, do granicy ruszyliśmy taksówką, która utknęła po paru kilometrach w gęstym i głębokim błocie. Przed nami stało w tej mazi kilka ciężarówek, które wpakowały się tam kilka dni wcześniej. Jedyne możliwe objazd prowadził przez posesję sąsiadującą z drogą. Wieśniacy postanowili wykorzystać taką szansę i zażądali za udostępnienie własności prywatnej haraczu, na który mało kogo było stać. Znaleźliśmy jednak rozwiązanie – wsiadłem na taczkę, którą ciągnął osiołek i po dwudziestu minutach byłem znowu u siebie... czyli w Brazylii.

Back to Brasil

W Brazylii zabawiłem jeszcze miesiąc, głównie w Sao Paulo, gdzie mieszkałem u znajomych w świecie muzyki, tańca i promiskuityzmu. Kiedy dojechałem po raz pierwszy do miasta świętego Jana wysiadłem z autokaru na jednym z licznych dworców autobusowych z myślą że albo odbiorą mnie stąd znajomi albo spieprzam najszybciej jak się da. Sao Paulo było przerażająco wielkie i obce, miasto wielu miast. Miasto gdzie samochody mogą poruszać się po ulicach w określone dni zależnie od numerów rejestracyjnych, gdzie za co w restauracji można zapłacić czekiem, gdzie mało kto zna więcej niż swoją dzielnicę, a na pytanie gdzie jest centrum miast każdy z moich znajomych udzielał innej odpowiedzi. Nie czułem się tak obco w Mumbaju, ani w Mexico City, ani Nowym Jorku, ani Pekinie, nigdzie. Sao Paulo po prostu nie ogarniałem w żaden sposób. Zadzwoiłem. Chwila oczekiwania. Po godzinie odebrał mnie Leonardo, ten sam z którym kilka miesięcy wcześniej pływalismy po Amazonce. Zamieszkałem nie tylko w jego domu, ale także w jego świecie, świecie brazylijskich studentów i oczywiście studentek. Moja miłość do Brazylii rosła z każdą chwilą.

Już pierwszego wieczoru Leonardo zaprosił swoją dziewczynę, która przyjechała z koleżanką. Koleżanka już nie wyszła. To wszystko działo się tak szybko. Znajomości nawiązywały się w mgnieniu oka, rosło napięcie, następowała eksplozja emocji, a potem momentalnie wszystko rozplywało się jakby nigdy nie miało miejsca. Po trzech dniach z Bel, podczas których spędziliśmy 24 godziny na dobę w swoim towarzystwie, wyszliśmy razem na domówkę do znajomych... Ale wyszliśmy już oddzielnie, bo takie panowały tu obyczaje. Z początku się zdziwiłem, kiedy przyszedłem z dziewczyną, a ona przyszła się nagle pożegnać mówiąc że dzisiaj do domu wraca z innym. Na kolejnej imprezie znałem już zasady gry, która przypominała weselną grę z krzesłami, których nie wystarczy dla wszystkich. Pierwsze co należało robić przychodząc na party to szukać sobie partnerki, bo jak się człowiek chwilę zagapił to wychodził do domu sam, co w kontekście krajobrazu brazylijskich przyjęć było rzadkim i dość smutnym wydarzeniem.

Moi znajomi pokazywali mi miasto które zaskakiwało mnie coraz bardziej. Po zmroku nikt nie śmiał wychodzić z domu, nawet żeby przejść do nocnego sklepu. Zapamiętałem to raz na zawsze kiedy wsiadając wieczorem do samochodu zobaczyliśmy w lusterku mało przyjazne zakapturzone sylwetki zbliżające się do auta z dwóch stron. Wówczas Fernando zdążył ruszyć. Co mogło wydarzyć się dalej? Ta historia była tu wszystkim dobrze znana. Najpierw portfel, później wizyta w domu, potem w banku i oczyszczanie kont do zera. Szczęściarze uchodzili z życiem. Pewne zasady poruszania się po mieście natychmiast wchodziły w krew, a poza tym, jak to w życiu, trzeba było mieć szczęście..

Tymczasem w samochodzie cały czas słuchaliśmy Racionais Mc's, grupy hip hop pochodzącej z faweli, ludzi którzy mimo sukcesu nigdy nie opuścili swoich domów. Moich przyjaciół bardzo interesował świat brazylijskiej biedy i skrajnej sytuacji dzielnic nędzy. Sami pracowali w fawelach prowadząc kursy fotograficzne dla dzieci i młodzieży. Po fawelach poruszali się spokojnie, bez strachu. Wszyscy wiedzieli kim są i nie miało prawa nic im się przytrafić. Z ich wychowankami spotkałem się podczas jednej z wizyt w kinie, które były częścią całego programu. Mali ludzie byli tak pełni ciepła, że nie sposób było wyobrazić sobie że pewnego dnia wyjdą z pistoletem rabować sklepy. Film „Carandiru”, opowiadający o masakrze w więzieniu o tej samej nazwie był przestrogą, był opowieścią o życiu w fawelach i historiach ludzi którzy weszli na drogę przestępstw. Ludzie bali się dzieci koło których siedziałem oglądając film, ale te dzieci bały się dotykać foteli w kinie, czuły się niepewnie

w eleganckim świecie, który ich nie chciał. Po raz kolejny spotykałem się z wykluczeniem, podziałem i nielegalnością człowieka. Zapomniałem o tym w Amazonii, ale tu w wielkim mieście przypomniał mi się świat nielegalnych emigrantów południowej Hiszpanii, Romów z którymi mieszałem na dworcu, aresztowałem w Uzbekistanie. Świat faweli potrzebował miłości i zrozumienia, jak my wszyscy. Zabrałem ze sobą nowe przemyślenia i ruszyłem na południe.

Kroszonkarstwo

W Kurytybie odszukałem polskie korzenie w postaci góralskiej chaty na zaciosy w środku parku im. Jana Pawła II. W chacie zaś spotkałem Polkę sprzedającą pisanki. Rozgrywał się tu wielki konflikt polsko-ukraiński, bowiem Ukraińcy twierdzili, że pisanki to ich wymysł, a my go kopiujemy. Sprawa wydała mi się absurdalna, tu, tysiące kilometrów od polsko – ukraińskiej granicy rozgrywał się konflikt o kroszonki, malowane jajka. W Kurytybie działają polskie zespoły ludowe i koła gdzie pielęgnuje się polską tradycję i kulturę, o której my w Polsce pamiętamy coraz mniej. Może dlatego pani w góralskiej chacie przyjęła mnie jednak z obojętnością. Moich ludzi spotkałem jak zwykle w zupełnie niespodziewanej sytuacji.

Kasia, przyjaciółka z dzieciństwa zawsze męczy mnie przed wyjazdem żebym wysłał kartkę z podróży. Więc jedyne kartki jakie w życiu wysłałem były zaadresowane właśnie do niej. Kasia mieszkała wówczas vis a vis moich rodziców, co ułatwiało w moim mniemaniu także wysłanie kartki do domu. Ponieważ właśnie w Kurytybie nasza mnie ta myśl, więc poszedłem kupić kartkę i znaczek. Kobieta która sprzedawała pocztówki zainteresowała się moim śmiesznym zapewne akcentem. Kiedy dowiedziała się że jestem z Polski wysłała mnie na pierwsze piętro na pocztę, ale nie po kartki, tylko stwierdziła że powinienem poznać Pablo, bo jego ojciec był z Polski. Na pierwszym piętrze siedział w swoim wózku inwalidzkim sprzedawca - nieustannie uśmiechnięty gość, który na wieść że ma przed sobą żywego reprezentanta kraju swojego ojca wielce się uradował. Spędziłem cały wieczór opowiadając o Polsce, oglądając zdjęcia jego rodziny, które miał w pocztowej szufaldzie. Oczywiście w międzyczasie Pablo obsługiwał klientów. Po kilku godzinach ja też sprzedawałem kartki i znaczki, a wszyscy pracownicy poczty się ze mnie śmiali. Mogłem też zaangażować się w wymianę kart telefonicznych, których miałem zebrane kilkadziesiąt sztuk z różnych państw przez które przejechałem. Na poczcie koczowało kilku kolekcjonerów, którzy mnie oblegli i wymienili moje piękne karty, na swoje najbrzydsze i odrapane. Ich radość była wielka, a mój smutek z wymiany znikomy. Spędziłem wiele godzin po prostu siedząc na poczcie i będąc z ludźmi. Na chwilę wszedłem w ich świat, do którego mnie zaprosili. Pablo był szczęśliwy że poznał żywego Polaka, a ja że mogłem popracować w okienku na poczcie. Jak to w Brazylii.

Przejechałem kawał bardzo różnorodnej Brazylii, dzięki amazońskiej i bardziej cywilizowanego południa. Byłem w tym kraju wiele razy, jest szczególny i we mnie na zawsze taki pozostanie. Pewnego wieczoru, niezgodnie z zasadami szedłem małą, ciemną uliczką. Kątem oka złapałem obraz kilkusobowej grupy dwudziestolatków. Słabo – pomyślałem. Za późno żeby się wycofać. W spontanicznym geście uniosłem do góry dłoń zaciśniętą w pięść z wyciągniętym do góry kciukiem. Uśmiechnąłem się na tyle naturalnie na ile było to możliwe. Cała grupa odpowiedziała tym samym gestem i zajęła się dalej rozmową. Ten gest towarzyszył mi wszędzie, to pozytywne pozdrowienie, uśmiech i słowa „tudo bom”, czyli „wszystko dobrze”, pozostaną na zawsze we mnie.

Dalej, przez najpiękniejsze na świecie wodospady od Foz do Ignacu, ruszyłem do Argentyny i Chile.

Miasteczko pełne tajemnic

Przez Andy można przedostać się w bardzo ciekawy sposób. Można podróżować samochodem osobowym jadącym na naczepie ciężarówki. Kierowcy wielkich TIRów ładują gapowiczów do przewożonych osobówek i wiozą na stopa. Kiedy dotarłem do pięknej Mendozy i dalej do małych miejscowości u stóp Andów miałem dość

autokarów i podróż TIRem wydała mi się konieczną odmianą. Zanim znalazłem odpowiednią ciężarówkę, postanowiłem zabawić kilka dni w kolejnym miejscu omijanym przez przewodniki. W miejscowości której nazwy nie pamiętam wynająłem skromny pokój u rodziny. Pokój wychodził na tyle niedrogo że mogłem pozwolić sobie na kilka dni przerwy.

Do domu wpuścił mnie gospodarz, ale od razu było widać że nie jest on głową rodziny. Obowiązki kontaktu ze mną szybko przejął najmłodszy syn – Miguel. Dwunastolatek traktował mnie jak brata. Od pierwszego wieczoru jadłem z rodziną, oglądaliśmy razem filmy, jeździliśmy na ryby, graliśmy razem w piłkę i wiezione przeze mnie od miesiący frisbee, które u zakończyło tu swój żywot upadając kantem na zmrożoną ziemię. Dom miał wiele tajemnic w które wprowadzał mnie Miguel. Moja obecność przydała się jako alibi wujka, brata gospodarza, który miał romans z piękną sąsiadką. Nikt z domowników oprócz Miguela i mnie o tym nie wiedział. Byłem zapraszany na fikcyjne wizyty w miasteczku, jako przykrywką dla tajnych schadzek wujka. Po powrocie zdawałem relację z tego jak graliśmy w bilard, jak bardzo smakowało mi jedzenie w restauracji do której nigdy nie dotarliśmy. Faktycznie siedzieliśmy za rogiem domu, a wujek bzykał sąsiadkę. Poziom konspiracji był na poziomie „top secret”, bo wykrycie romansu przez sąsiada mogło zakończyć się śmiertelną nienawiścią zaprzyjaźnionych od lat rodzin.

Kolejną tajemnicą miłośnicy było to, że zamieszkiwali je bardzo znani aktorzy, o których nikt nigdy nie słyszał. W zasadzie aktorami byli prawie wszyscy mieszkańcy miasteczka. Kto by ich tam oglądał? – zapytacie.

Prawdopodobnie, drogi czytelniku, sam widziałeś większość mieszkańców mojego tajemniczego miasteczka w filmie 7 lat w Tybecie. To właśnie tu w okolicy kręcono oskarową produkcję i potrzebni byli Tybetańczycy... dużo Tybetańczyków! Argentynscy górale chętnie angażowali się do wszelkich dostępnych ról filmowych i do dzisiaj cieszą się ze swej domniemanej sławy.

Ostatnia i największa tajemnica kryła się w ostatnim pokoju, do którego zostałem zaproszony dopiero trzeciego dnia pobytu. Tam leżała chora na raka matka Miguela. Miguel był ósmym adoptowanym i odchowanym przez nią dzieckiem. Kiedy usłyszała że moja mama też walczy z chorobą, przyjęła mnie jak syna. Wychowała już ośmiu, była gotowa przyjąć pod swoje skrzydła kolejnego. Pomimo choroby silna, pełna ciepła i miłości. Byłem przypadkowym wędrowcem, a świat otaczał mnie miłością. Czy potrafię nieść tą miłość dalej w świat...

Wujek i Miguel zaprowadzili mnie na parking TIRów. Długo obserwowali moje wysiłki. Po kilku godzinach dogadałem się z szoferem wielkiego, pięknego TIRa z zieloną naczepą. Bał się że mogę przemycać narkotyki, ale ostatecznie zaufał. Podróż po „El caracol”, wspinaczka na przełęcz i szaleńczy zjazd z Andów na wyżynę do Santiago zapierały dech w piersi. Historie z życia kierowcy TIRa nie pozostawiły wątpliwości że moje przygody były dziecinną zabawą.. Tak dotarłem do Santiago de Chile.

Santiago de Chile - Byłem Brazylijczykiem

Pierwszego dnia podróży w górę Amazonki usłyszałem, że Bóg jest Brazylijczykiem. Pół roku później, tańcząc z brazylijskimi przyjaciółmi sambę na dachu kolorowego autobusu, jadącego ulicami Santiago de Chile, również byłem Brazylijczykiem. A zostałem nim w Santiago de Chile, w najmniej oczekiwany sposób.

Jak zwykle szukałem najtańszych kwater. Wypytyując kolejnych przechodniów trafiłem wreszcie do położonego dogodnie dużego mieszkania z pokojami do wynajęcia. Parę dni pokręciłem się po stolicy z tubylcem Rodrigo, poznanym przy słynnych, argentyńskich wodospadach w Foz do Iguacu, i w zasadzie szykowałem się już do dalszej wędrowki, bo cóż miałem do roboty w tak wielkim mieście.

Z pokoju wyszedłem umyć zęby i zatrzymałem się w pół kroku. Czarnoskóry chłopak stojący bezradnie na korytarzu nie mógł być Chilijczykiem ani Peruwianczykiem. By potwierdzić swe domysły, zapytałem go o godzinę i w nieudolnej próbie odpowiedzi po hiszpańsku wychwyciłem tak dobrze już znany akcent. Natychmiast przeskoczyłem na portugalski: „Skąd jesteś? Co tu robisz?” W ten sposób poznałem Luisa, a za chwilę również Diego, brazylijskich nauczycieli capoeiry, którzy jak tysiące innych ludzi, przyjechali do

Santiago, żeby znaleźć pracę. Chłopaki mieli straszego doła. W Argentynie napadli ich jacyś kolesie. Wprawdzie jednemu zdrowo skopali tyłek, ale drugi uciekł z torbą, w której mieli prawie całą kasę. Nie dość na tym, w Santiago zaliczyli poprawkę – ktoś skroił im aparat fotograficzny.

A teraz nie wiedzieli, jak się ruszyć, i na dodatek mieli kłopoty językowe, więc brazylijskim zwyczajem zaferowałem im pomoc. Znałem już w okolicy parę osób i szybko zlokalizowałem wygodne lokum dla moich nowych kumpli. Za pół godziny mieszkali już kilka ulic dalej, w wynajętym mieszkaniu i mogliśmy wspólnie rozejrzeć się po mieście.

Za trzecią część ceny biletu, dając kasę kierowcy, pojechaliśmy autobusem do centrum. Szliśmy w kierunku Plaza de Armas. Co chwilę zatrzymywali nas rodacy Luisa i Diego. Kolor skóry tego pierwszego był lepszą wizytówką niż flaga narodowa. Niezobowiązujące pozdrowienia i życzliwe pytania o samopoczucie ze strony facetów, którzy również nie wyglądali na ustawionych, były sygnałem: Nie jesteście sami w obcym kraju, w dżungli wielkiego miasta. Odpowiadając na pozdrowienia i patrząc na życzliwe twarze, pomyślałem sobie, że niekoniecznie chciałbym przypadkiem zabłądzić

w jedną z zamieszkiwanych przez tych gości uliczek. Z drugiej strony chciałbym żebyśmy my Polacy, potrafiliby się tak wspierać. Tymczasem nieustannie ze sobą konkurujemy i widząc rodaka za granicą odwracamy wzrok.

Doszliśmy do miejsca, gdzie gromadzili się poszukujący pracy imigranci. Oczywiście w większości Boliwijczycy, Paragwajczycy. Wszyscy nielegalni. Wtem wśród zgromadzonych powstało małe zamieszanie, a po chwili ludzie ucichli wsłuchując się w rytm bębenków i muzyki dochodzącej z zaimprovizowanej sceny. Pincoya libre, grupa chilijskich hip-hopowców z dzielnicy o tej samej nazwie, przysłała dodać otuchy emigrantom, wesprzeć ich w niedoli muzyką i słowem.

A przy okazji wysepścić w życzliwym tłumie parę groszy na piwo. Mała dziewczynka, „skarbniczka” grupy, kręciła się jak fryga między ludźmi, zbierając drobne. Gdy doszła do naszej trójki, utożsamiając się z nowymi przyjaciółmi, powiedziałem, że dopiero przyjechaliśmy, nie mamy ani peso i szukamy pracy. Macarena podniosła palec do góry: „Wiem, co zrobicie: pojedziecie z nami na karnawał”.

Po chwili siedzieliśmy w miejskim autobusie. A zanim drzwi się zamknęły, bębniarki zaczęły nabijać rytm. Pasażerowie

w pierwszej chwili zareagowali na raperów jak na zadzumionych. Tylko przez moment, bowiem „Mujer trabajadora” była pieśnią, a raczej bardziej recytacją, oddającą szacunek pracującej kobiecie. Prosty tekst trafiał do serca i do portmonetek. Kolejny przystanek. Wsiadamy z kapeluszem pełnym monet. Nagle znaleźliśmy się w rozbawionym, kolorowym tłumie. Karnawałowy spektakl poświęcono zamordowanemu Andresowi Perezowi, twórcy specyficznej formy teatru łączonego z elementami cyrku. Wokół roило się od muzyków z bębnami, żonglerów, akrobatów, aktorów, mimów. Wbiliśmy się do kompletnie zdezelowanego, ale bajecznie kolorowego autobusu, który z klekotem i piskiem ruszył w muzycznej karawanie przez miasto. Rzęzenie maszyny zagłuszył rytm samby. Korowód jechał przez całe Santiago. Setki zakręconych kolorowych ludzi tańczyły na dachach autobusów, między ludźmi. Zwariowane ludki ożywiały całe miasto. My także tańczyliśmy z nimi na dachu najbardziej kolorowego pojazdu. Atmosferę podgrzewał napój z winowozu. Z wielkiej beczki na kołach wystawały liczne rurki, do których każdy mógł się przysssać, biegnąc za pojazdem. Zasada była jedna. Muzyka musi grać nieprzerwanie, a wino musi zostać wypite do końca. Dlatego kiedy przejmowałeś rurkę, piłeś tak długo aż znalazłeś następną osobę, bo inaczej wino wylewałoby się na ulicę. Radość i zabawa nie powinny się nigdy kończyć. Tyle zrozumiałem. Byłem za.

Piłem więc wino, gawędziłem z profesorem szkoły teatralnej i usiłowałem tańczyć. Tańczyłem, bo w tym świecie nie ma takiego wytłumaczenia, że ktoś nie tańczy. Chłopaki rapowali z coraz większym entuzjazmem, a dziewczyny tańczyły sambę dla Gran Maestro i dla nas. Tłumaczyły zalotnie, że dla nich Brazylijczyk oznacza todo grande (wszystko duże). A mała Macarena zapytała, jak się mówi po portugalsku enamorada. Gdy przetłumaczyłem, oznajmiła, że się właśnie we mnie zakochała. Chilijki bardzo łatwo zakochują się w Brazylijczykach. Chciała się nawet ze mną całować, ale to się nie spodobało jej chłopakowi.

Karnawał, w którym uczestniczyliśmy, nie miał nic wspólnego z karnawałem w Rio. I zupełnie inaczej brzmiała samba. Kimkolwiek był Andres Perez, musiał być szczęśliwy, patrząc z nieba artystów na naszą zabawę.

Buenos Aires

Uwielbiam Buenos Aires. Byłem w nim wiele razy i wciąż mnie zachwyca. Za pierwszym razem jednak zapamiętałem je jako miasto gejów, komunistów i nieszczęśliwych biznesmenów. Dlaczego tak zawężam perspektywę? Bo każdy z nas inaczej poznaje te same miejsca. Szukamy i znajdujemy innych ludzi i jesteśmy świadkami innych wydarzeń. Często tego samego miasta sami możemy za każdym kolejnym pobytom doświadczać w odmienny sposób. Jakby istniało nie jedno, a nieskończona liczba Buenos Aires, w zależności od tego do którego z wymiarów miasta trafimy. Po raz pierwszy przyjechałem do Buenos razem z Jackiem. Trafiliśmy do taniutkiego hostelu położonego w samym centrum miasta, w którym można było spotkać podróżników z całego świata, a także wielu pracujących w mieście Argentyńczyków.

Pierwsze spotkanie z Fidelem Castro

Na dolnej pryczy mojego łóżka mieszkał zarośnięty trzydziestolatek, młody komunista, zajmujący się promowaniem książki o zbrodniach argentyńskiej policji. Był na bieżąco z informacjami o wszelkich przejawach niesprawiedliwości i nierówności, jakie miały miejsce w jego kraju. Każdego ranka wstawał gotowy do walki. Pewnego dnia od rana czuliśmy jego podniecenie, miotał się po całym pokoju, wreszcie nie wytrzymał i wyapał. Otóż, wieczorem miał wysłuchać przemówienia Fidela Castro, który właśnie przyleciał na zlot prezydentów państw Ameryki Południowej, zaraz po wyborze Nestora Kischnera na prezydenta Argentyny. Postanowiliśmy mu towarzyszyć. Wszyscy mieszkańcy hostelu! Całą brygadą ruszyliśmy na wydział medycyny.

Przed uczelnią stał tłum, ale dopiero w auli było tak ciasno, jakby wszystkich Chińczyków usiłowano upchnąć na wyspie Wolin. Próbowaliśmy wbić się do sali, jednakże po przejściu około pięciu metrów w zwartym tłumie, straciłem oddech. Zawróciłem, a nad moją głową wypływały z sali niesione na rękach ciała tych, którzy zemdleli już w środku. Wydostałem się na dziedziniec. Okazało się, że Fidel jest spóźniony trzy godziny i będzie przemawiać na zewnątrz budynku. Mieliśmy zatem sporo czasu.

Przemówienie trwało cztery godziny, tłum krzyczał, a kubański przywódca opowiadał o swoich wycieczkach w góry z Che i o drodze do sukcesu kubańskiej gospodarki. Tę drogę szczerze polecał Argentynie, która dopiero co przeżyła swój największy kryzys. Zrozumiałem najwyżej czterdzieści procent wystąpienia, jednakże w głosie, w rytmice jego oracji była magia i niezwykła siła, coś, co sprawiało, że wszyscy zebrani byli kompletnie pochłonięci przez płynące z mikrofonu słowa. Tydzień później, już po powrocie do Polski, zobaczyłem w gazecie artykuł o tym wydarzeniu, na zdjęciu zaś Fidela, który sam fotografował otaczających go młodych ludzi. Widać było że sam świetnie się bawił. Skąd mogłem wtedy wiedzieć że Fidel odegra w moim życiu znacznie ważniejszą rolę, kiedy poślubię Kubankę i losy zielonej wyspy staną mi się za wiele lat szczególnie bliskie.

Kolory tęczy

Oprócz uczęszczania na wiece polityczne, chodziliśmy także na bardziej luzackie imprezy. Dziwnym trafem wyszło, że większość z tych, na które prowadzali nas nowi znajomi, była zabawami gejowskimi. Na początku czułem się głupio wśród mężczyzn całujących się na przywitanie. Z czasem dostrzegłem, że to tutaj standard, także wśród hetero. Przez to nie wiedziałem, kto jest gejem. Dla pewności każdą rozmowę starałem się zacząć od

gadania o dziewczynach. Od razu dało się wyczuć czy nadajemy na tych samych falach w tym temacie. Ot, taki mały, niewinny teścik.

Natomiast gejowskie imprezy były świetne i wszyscy znakomicie się bawiliśmy. Jedną z nich zapamiętałem do dziś. Na scenie występował drag queen, który bawił gości. Pięknie śpiewał, żartował. Jednoosobowo budował całą atmosferę która wypełniała nabitą po brzegi salę klubu. Klimat i tak był gorący, a prowadzący był mistrzem w swoim fachu. W pewnym momencie zaproponował grę, do której zaprosił na scenę trzech chłopaków. Zabawa miała polegać na tym, że Dj odtwarzał muzykę, a uczestnicy zabawy za pomocą gestów wyznają miłość sympatycznemu drag queen. Prowadzący przywitał się z każdym, pytając o imię i orientację. Dwóch pierwszych od razu zadeklarowało homoseksualizm, a trzeci odpowiedział, że jest hetero. Wówczas prowadzący spojrzął na niego bacznie, a wraz z nim kilkuset siedzących na sali gejów. Zapytał jeszcze raz o orientację. Chłopak ewidentnie się zawahał i powiedział: „Właściwie, to sam nie wiem. No, nie jestem pewien”. Ja podobnego nawrócenia nie przeszedłem, co nie zmienia faktu że zarówno my, jak i nasze towarzyszki, bawiliśmy się w tym miejscu doskonale.

Tymczasem byłem w Buenos Aires i postanowiłem spotkać Santiago, owego kolorowego ludka obwieszonych naszyjnikami od swoich kobiet, którego poznaliśmy w Laosie. Miałem spotkać siebie po powrocie, miałem spotkać się z osobą którą znałem tylko z czasów podróży, z pełnym bagażem codziennego stresu i zmartwień.

Santiago – obcy znajomy z Laosu

Następnego dnia zadzwoniłem do Santiago, tego samego kumpla, z którym w Laosie graliśmy w piłkę. Uśmiechniętego, pełnego energii Santiago, noszącego na szyi kilkadziesiąt łańcuszków od swoich kobiet. W restauracji pojawił się zmęczony, znerwicowany chłopak. Pracuje w firmie farmaceutycznej ojca. Powodzi im się dobrze. Mają ogromny apartament z widokiem na ocean. Chwilę pogadaliśmy o niczym i musiał pędzić w ważnych sprawach. Nie mógł skoncentrować się na rozmowie i w ogóle jakoś nie łapaliśmy klimatu. Był innym człowiekiem.

Podróż oddala nas od problemów, a tym samym otwiera i ułatwia nam zawieranie przyjaźni i rozszerza nasze możliwości przeżywania. Kiedy wracamy do pracy, do domu, znowu obciążają nas codzienne sprawy, ruszamy w pogoń za kolejnymi celami, myśli zajmuje osiągnięcie i dążenie. Nie łatwo w miejskiej codzienności czuć to samo co czujemy rozkosznie żeglując po morzach świata. Ale być może to jest właśnie wielkie wyzwanie naszego życia, być sobą, być szczęśliwym niezależnie od miejsca i sytuacji... Być może...

Narkosajko

Przez całą książkę przewijają się motywy związane z narkotykami. Faktycznie miałem wiele okazji w swoim życiu doświadczyć prawie wszystkich dostępnych środków halucynogennych. Kiedyś traktowałem to jako zabawę, poznawanie świata, rodzaj buntu. A narkotyki pojawiały się wszędzie, gdzie się nie ruszyłem. W centralnej Azji czekały na każdym kroku, w Laosie i Tajlandii, były dostępne na ulicy, w knajpach i hotelach. W Andaluzji łatwiej można kupić marihuanę niż chleb, w Maroku podobnie, na Karaibach zaś zmotoryzowani rasta podpływali do jachtu, jeszcze zanim zacumowaliśmy oferowali coś do palenia. Chodziłem po cienkiej linii, a często chyba już mocno poza nią.

Raz mało nie narobiłem sobie kłopotów, tylko dlatego, że bałem się latać samolotem. Na Kostaryce poznałem świetnego gitarzystę. Dobrze się dogadywaliśmy. Kiedy opowiedziałem mu o moim problemie z lataniem zaferował wsparcie. Miał ciastka w celofaniku, takie małe, w kształcie gwiazdek. Niby normalne, tylko w każdym z pół grama haszyszu. Nawet były smaczne. Wziąłem kilka do samolotu. Na lotnisku w Panamie

trzymałem je w kieszeni, żeby się znieczulić przed podróżą. Nagle zobaczyłem żołnierzy z psami, które chodziły między ludźmi i wachały ich i bagaże. Stałem przed ladą check in, oko w oko z kamerą, i ze strachu zjadłem wszystkie ciasteczka. To był znakomity pomysł. Psy nawet się nie zatrzymały. Godzinę później usiadłem w samolocie i... włączyłem silniki. Prowadziłem z mojego siedzenia, manewrowałem w wąskich kanionach, śmigłem nad drzewami i między budynkami w centrum miast, strzelałem do innych samolotów i celów naziemnych. Robiłem beczki, pikowałem, by odbić tuż nad ziemią, wykonywałem ewolucje jakie nie udały się jeszcze nikomu przede mną. Byłem niesamowity. Trwało to cały lot do Ciudad de Mexico, czyli trzy godziny. A według mnie zaledwie dwanaście minut. To był mocny lot.

Palenie cracku na Karaibach było przełomem. Po pierwsze zobaczyłem co narkotyki mogą robić z ludźmi. Po drugie doświadczyłem środków, które budowały uzależnienie znacznie silniejsze niż ja, którym nie potrafiłbym się oprzeć. Ten moment był też decyzją o zamknięciu pewnego etapu. Być może gdyby nie stało się to wówczas, gdybym nie odciął tematu narkotyków w moim życiu grubą kreską, wpuściłbym je ponownie w bardzo złym momencie. Szczęśliwie na czas zmańdrzałem.

Cola i ciasteczka

Narkotykowa psychoza towarzyszyła mi w tej podróży niemal od samego początku. Rodzice co rusz bombardowali mnie przez internet podawanymi przez polskie media historiami o rodakach goszczących w więzieniach, rozmieszczonych na całym niemal szlaku mojej wyprawy. Edward Miszczak wykonał kawał dobrej roboty uświadamiając swoimi wywiadami wielu ludziom, że przemykanie narkotyków to łatwy sposób, na zniszczenie sobie życia.

Ameryka Południowa grała grubymi kartami. Tu dominowała kokaina. Dyżurny żart zasłyszany kilkakrotnie na szlaku brzmiał: „W Ameryce Południowej nie ma problemu narkotyków, w Ameryce Południowej jest ich pod dostatkiem”. W dodatku tanie i w wielkich ilościach. Gram kokainy w La Paz można było kupić za kilka dolarów, a jego cena osiąga w Europie czy Stanach Zjednoczonych była kilkadziesiąt razy wyższa. Jak się nie skusić?

Aby rzeka białego prochu mogła płynąć bez przeszkód, do odstrzału wystawia się różnych frajerów. Dzięki tym ofiarom władze odnotowują sukcesy w zwalczaniu białej śmierci.

Pierwszy raz poczułem ciężki, odkładający się na plecach lepki potem strach na skraju dżungli, w Santa Cruz, przez które podróżowałem do San Matias. Ruszyliśmy z dworca. W pełnym niemal autobusie zostały wolne miejsca. W ostatniej chwili zajęli je gruba Indianka i młody chłopak. Ona dosiadła się z opóźnieniem, a młodzieniec wskoczył kilkaset metrów za terminalem. Gdy po chwili wbił się na wolne miejsce koło mnie, zauważyłem, że był dziwnie niespokojny.

Na granicy boliwijsko-brazylijskiej policja wysadziła wszystkich z autobusu i zaczęło się trzepanie... oczywiście ja – gringo szedłem już zasady na pierwszy ogień. Przed wyjściem z hotelu pakowałem się od początku i sprawdzałem mój bagaż dokładnie. Wiedziałem o różnych akcjach i jak mogłem dbałem by mieć własny plecak cały czas na oku. Celnicy wyczuwali mój spokój i szybko odpuszczali. Oni chyba po zapachu wiedzieli czy ktoś jest przemytnikiem. Byli niesamowici. Czuli strach na odległość. Prawdziwi wyjadacze. Pasażer koło mnie, odkąd wsiadł do autobusu, siedział sztywno z zamkniętymi oczami. Podczas kontroli celnicy natychmiast wyczuli niepokój młodego przemytnika i zabrali go ze sobą. Wkrótce wrócili, posadzili wystraszonego chłopaka w autobusie i sfotografowali nas razem, tak jak siedzieliśmy podczas podróży. Na ile mogłem, ukrywałem twarz, by nie zostać uwieczniony na wspólnym portrecie. Przyszła kolej na otyłą kobietę. Spytała, czemu nie ma jej nazwiska na liście pasażerów? Wystarczyło tak niewinne pytanie, by jej psycha zupełnie puściła. Nie potrafiła opanować przerażenia, trzęsła się, nie reagowała na polecenia.

Po kwadransie pertraktacji zniecierpliwieni policjanci wyciągnęli ją siłą z autobusu. W bagażach wprawdzie nic nie znaleźli, ale gdy, podobnie jak chłopak, odmówiła wypicia coca-coli, wszystko było jasne. Cola stanowi bowiem najpewniejszy test. Po wypiciu szklaneczki rozpuściłaby ukryte w żołądku opakowania, co doprowadziłoby do natychmiastowej śmierci z kolosalnego przedawkowania.

Moja samotna podróż dobiegała końca. Stałem z biletem w ręku, odprawiony, przed wejściem do samolotu na lotnisku w Buenos Aires. Wtem w megafonach usłyszałem swoje nazwisko. Chyba z pod ziemi, pojawiło się dwóch panów, którzy natychmiast zabrali mnie na kontrolę do niewielkiego pomieszczenia. Traktowali mnie jak pewniaka, stanowczo i nieco brutalnie. Z trwogą pomyślałem, że znaleźli coś w plecaku nadanym na bagaż. Szalone myśli przelatywały mi przez głowę: kto mi wyciął taki numer i ile za to dostanę? Analizowałem w myślach każdy krok od opuszczenia hotelu i wszystkie okazje, z których mogli skorzystać ci, którzy wepchnęli paczki z białym proszkiem do mojego plecaka.

Dla celników byłem młodym, głupim gringo z wielkim plecakiem wypchanym narkotykami. Prześledzili każdy metr mojej podróży, dwukrotnie tam i z powrotem przez cały kontynent, samotnie, z daleka od turystycznych szlaków. Wiedzieli gdzie kupowałem bilet lotniczy na drogę powrotną do Polski. Kupowanie biletu w Peru, zgodnie z ich doświadczeniem, było kolejnym dowodem na posiadanie narkotyków. Celniczka, spokojnie gawędząca ze mną o książkach, które właśnie przeczytałem po hiszpańsku, była cynicznie sympatyczna, bo wiedziała doskonale, że za chwilę jej koledzy wypatroszą mój plecak i zgodnie z procedurą skują mi ręce kajdankami. Mimo pozorów swobodnej konwersacji wiedziała że się boję i wykorzystywała moją słabość, bacznie obserwując, czy gdzieś popełnię błąd.

Wszystko wysypali na podłogę, sprawdzili szew po szwie, wyciągnęli mi wkładki z butów. Byłem przerażony. Sprawdzili bagaż, ciuchy, książki, płyty, wszystko co tylko możliwe. Kazali napić się coca coli. Emocje opadły dopiero, gdy zapinałem spakowany ponownie toból. Stwierdzono że jestem czysty i mogę iść. Z nagromadzonych nerwów i ciekawości nie wytrzymałem i zapytałem policjantów: „Dlaczego ja? Czy to ma coś wspólnego z wydarzeniami z polskiej telewizji i gazet?”. Odpowiedzieli bardzo poważnie:

„Tak, ostatnio dużo takich łapiemy, młody, student, backpacker z biednego kraju, szuka łatwego zarobku...” Jeszcze sprawdzili butelkę wina, którą kupiłem na tym właśnie lotnisku, i mnie puścili. Wszystko im pasowało, tylko towaru nie było. Kurwa, ale się najadłem strachu. W samolocie lecącym do kraju długo dochodziłem do siebie.

Przez lata podróży przeżyłem wiele ciężkich chwil, w górach umierałem z wyczerpania i zimna, mało nie wykończyła mnie „wysokościówka”, utknąłem beznadziejnie na peruwiańskich mokradłach, ocierałem się o sytuacje, z których wybrnąłem jedynie dlatego, że mówiłem w lokalnym języku i że byłem niemal takim samym obdartusem jak ci, którzy stali po drugiej stronie. Byłem wiele razy aresztowany, nie raz napadany i okradany, zadawałem się z przestępcami, nocowałem w slumsach i na ulicach dużych miast. Przemierzyłem moje małe siedem piekieł, ale dopiero teraz czułem, co znaczy wielki strach, przerażenie połączone z niemocą i świadomością, że nasze przygody to nie film Holywood i nie zawsze muszą kończyć się happy endem. Życie nie jest zabawą, jest naprawdę.

Po dziewięciu miesiącach wróciłem do domu. Pełen energii, z uśmiechem od ucha do ucha szybko znalazłem wspaniałą pracę jako pilot wycieczek zagranicznych, a potem organizator wyjazdów incentive. Z czasem założyłem własne biuro Akokan, które jest moją platformą przez którą dzielę się pasją z podróżami z innymi. Czas, który można określić doskonałą zabawą, zaprocentował jako niezwykle wartościowe doświadczenie w moim życiu zawodowym.

W drodze nauczyłem się bardzo wiele – samotności, wsłuchiwania się w siebie, bycia jedynie ze swymi myślami. Zdobyłem także umiejętność nawiązywania dobrego kontaktu z innymi ludźmi, kimkolwiek są. Nauczyłem się także, że bycie w drodze, to stan w którym wiesz, że jesteś szczęśliwy, że jesteś sobą i wszystko, co cię otacza, ma sens, że jesteś częścią wszechświata. Prawdziwa droga ukryta jest w nas samych, naszym zadaniem jest ją odnaleźć. Ja odnalazłem swoją, podróżując „stopem przez Atlantyk”.

